O administracyi francuzkiéj.

Rewolucya roku 1848 i spowinowacony z nią socyalizm, poruszyły do dna dwie umiejętności we Francyi: ekonomią polityczną i administracyą publiczną. Socyalizm uderzał na ekonomią polityczną jako na teoryą angielską, opartą na indiwidualizmie, a bronił administracyi centralnéj, jako podstawy stowarzyszenia społecznego. Stronnictwo jemu przeciwne broniło ekonomii politycznéj jako opartéj na wolności, a uderzało na administracyą centralną jako na nieprzyjaciółkę wolności. Walka na gruncie ekonomicznym wywołała wiele pism, mniéj więcéj trafnych, i przyczyniła się do ustalenia kilku zasad nauki politycznéj. Walka na gruncie administracyjnym była mniéj płodna, jednakże jéj skutki nie są do pominięcia. Walka ta ukazała nową erę dążności Francyi: pogodzenia wymagalności stowarzyszenia narodowego z wymagalnościami wolności człowieka, gminy albo prowincyi. Walka ta poruszyła zasady, na których opiera się każda społeczność, każdy naród, każdy rząd. Walka ta wywołała porównanie instytucyi francuzkich z angielskie-

mi i amerykańskiemi, rozszerzyła po raz pierwszy krańce nauki administracyjnéj tak ciasnéj we Francyi.

Nauka administracyjna liczyła się zawsze do nauk stanu, ale dziś, z przyczyny rewolucyi i dążeń socyalistowskich, odebrała znaczenie, jakiego nigdy nie posiadała. Francya spostrzegła, że zbytek wpływu rządowego na administracyą krajową, czyli nadużycie centralizacyi, tępiąc indywidualność departamentu, gminy i człowieka, prowadzi koniecznie do socyalizmu, to jest do pochłonienia człowieka przez zbiorowość, i że aby osłabić socyalizm i dać zachętę działalności człowieka, należy zmniejszyć przewagę rządową nad departamentami i gminami. Takie jest dzisiaj przekonanie wielu. Czy to przekonanie wywoła zdecentralizowanie Francyi? Nie sądzimy. Francya znajduje się w tak wielkiém zakłóceniu, że dla niéj każda zmiana w machinie rządowéj grozi niebezpieczeństwem. Stronnictwo umiarkowane widzi niedogodności centralizacyi, ale potrzebuje jéj, bo centralizacya ułatwia środki obrony tak wewnętrznéj jak zewnętrznéj. Ze swéj strony, socyalizm wynosi centralizacyą administracyjną na wysokość zasady stowarzyszenia społecznego, które znajduje miliony stronników w klasach niższych, nawet w takich, których właściwy socyalizm do swych szeregów nie liczy.

Jakikolwiek może być skutek walki prowadzonéj dziś żarliwie po wszystkich kończynach Francyi, kwestya *centralizacyi* i *decentralizacyi administracyjnéj* jest ciekawą. Narody rzadko pokazują przykłady tak śpiesznych następstw myśli politycznéj rzuconéj przez ludzi genialnych w toku potrzeby czasowéj. Centralizacya administracyjna, zaszczepiona przez Napoleona, liczy zaledwie lat pięćdziesiąt, a oto owoce jéj leżą już dojrzałe, niektóre piękne, dobroczynne i wzniosłe; niektóre niebezpieczne i zaraźliwe. Kwestya centralizacyi i decentralizacyi jest tém ciekawszą dla Polski, że Napoleon zaszczepił na ziemi naszéj zasady, które do ostatnich następstw posunął potém we Francyi. Czy Polska ma postępować w myśl Napoleona, czy przeciwnie ma chwycić się dąże-

nia, jakie dziś objawia się we Francyi? Odpowiedź na to pytanie ułatwi rys dziejów i zasad dzisiejszéj administracyi francuzkiéj.

I.

Administracya znajduje podstawę swego bytu w polityce; dla tego rozdział prawa administracyjnego od prawa politycznego jest trudny. Rozdział ten jest jednak podobny. Prawo polityczne jest nauką organizacyi i atrybucyi władz ustanowionych dla zarządu krajowego. Prawo administracyjne przeciwnie jest uauką akcyi a zarazem kompetencyi władz krajowych i miejscowych w ich stosunku z mieszkańcami. Prawo administracyjne, uważane jako umiejętność, ma początek świeży i ograniczony tylko do stałego lądu. Wszędzie i zawsze były reguły administracyjne, podług których postępowali urzędnicy, ale prawo administracyjne nie istniało. Anglia i Stany Zjednoczone nie znają dotąd administracyi jako umiejętności. Toż samo działo się w dawném państwie rzymskiém. Gajus pisał *de Publicanis*, Kallistrat *de Jure fisci*, Ulpian *de Officio proconsulis* i *de Censibus*, Digesta zawierały rozdziały o przychodach publicznych, o skarbie. o drogach, rzekach, municypiach i t. d.; były to reguły wysnute w toku potrzeb i okoliczności, ale nie oświecała ich żadna stała i racyonalna zasada. Administracya, jako umiejętność, nie istniała także do ośmnastego wieku we Francyi, albowiem kształt jéj zmieniał się co chwilę, bez planu i ładu, w miarę przechodzenia ducha publicznego od zwyczajów prowincyonalnych do narodowych. Król panował, a kraj sam się administrował. Była to wówczas jedyna zasada objęta w wyrażeniu: *Administration au pays, le Gouvernement au roi.* Roku 1413, uniwersytet paryzki domagał się reformy administracyi krajowéj pojętéj podług jednéj myśli; podobne dążenia objawiły stany jeneralne roku 1483, ale żądaniu temu oparł się duch prowincyonalny. Za Ludwika Czternastego, administracya o-

trzymała większą ścisłość, bo władza królewska była olbrzymia, wszelako i wtenczas, przy źle oznaczonym rozdziale władz, zarząd krajowy był w zamęcie a gminy w ubóstwie. Administracya prowincyonalna kierowała się wówczas podług potrzeb miejscowych, daleka od filozoficznéj doktryny, na któréj wzniosła się niegdyś w państwie rzymskiém piękna nauka prawa cywilnego.

Administracya, jako umiejętność, jest dziełem ducha filozoficznego wieku ośmnastego. Pojął ją po raz pierwszy cesarz Józef Drugi, w zamiarze zrównoważenia narodowości składających Austryą. Zgromadzenie konstytucyjne francuzkie naśladowało go roku 1789 w zamiarze przeprowadzenia rewolucyi. Zgromadzenie konstytucyjne waląc historyczne instytucye prowincyi, a wznosząc nowe na zasadzie filozofii politycznéj, oznaczyło syntezę administracyjną, podług któréj myśl encyklopedystów miała być wprowadzona w zastosowanie. Ze złego dążenia, przeobrażonego w praktyce stosownie do kształtu rządu i rewolucyi wewnętrznych, przez jakie przechodziła Francya, wyrodziła się umiejętność administracyjna, nauka ogromna, dotykająca praw cywilnych i politycznych, wiążąca się z ekonomią polityczną i fiinansowością, przenikająca się filozofiią, narodowością i usposobieniem moralném całego kraju. Administracya stanowi dziś we Francyi umiejętność rzeczywistą i zupełną; ma ona swoje prawa, które chociaż nie są ukodeksowane, są obowiązujące i uczące, ma swoją jurysprudencyą opartą na dobrze oznaczonych prejudykatach, nieustępującą w niczém jurysprudencyi sądu kasacyjnego; ma swą jurysdykcyą, która, wyjąwszy nienaruszalności sędziów, używa téj saméj rękojmi jawności i obrony co trybunały; ma procedurę krótką, prostą, jasną, prawie bezkosztowną, lecz ścisłą, bezstronną, wstrzemięźliwą w wyjątkach i pełną szacunku dla rzeczy osądzonéj; ma swe katedry po uniwersytetach, ma swą literaturę, ma zbiory dekretów i wyroków, ma komentarze praw i rozporządzeń rządowych, ma swą historyą i filozofią, ma nawet swą poezyą, —

Poezya administracyi francuzkiéj leży w skutkach, jakie sprowadził podział kraju na departamenta i w centralizacyi ustalonéj przez Napoleona. Administracya, jaką zaprowadziło zgromadzenie konstytucyjne, uważaną byłaby za czyn niesłychany w Anglii, bo tutaj postęp szedł z dołu, drogą zwyczajową i w skutek usiłowań prywatnych. We Francyi wzbudzała uwielbienie, bo tutaj usiłowania prywatne były zawsze niedołężne, bo naród przywykły był do dyrekcyi rządowéj i nie umiał korzystać z wolności. Anglia i Stany Zjednoczone dążyły do jedności w różności, a Francya do jedności w jednostajności. Anglia postępowała drogą historyczną, drogą wolności i różności właściwéj protestantyzmowi, a Francya drogą katolicką, rządową, a nakoniec filozoficzną. Administracya centralna, jakkolwiek ją osądzimy, wzbudza zadziwienie. Politycy starożytni nie pokazali nigdy takiéj sztuki w wzmacnianiu i uwiecznianiu władzy krajowéj, w usadowieniu jéj na urzędach dobrze określonych i ustopniowanych, zależnych od siebie, a trzymających się razem jak ogniwa jednego łańcucha, jak pokłady jednéj piramidy. Zdobywcy starożytni gromadzili w swych państwach królestwa i rzeczypospolite, cywilizacyą i barbarzyństwo; składali prowincye na prowincye jak się składa łupy, bez troski o utworzenie z nich jednéj całości. To też państwa macedońskie i rzymskie łatwo się rozpadły.

Francya potrzebowała piętnastu wieków, aby przyszła do administracyi jaką dziś posiada. Wiadomo, że państwo Karóla Wielkiego byłoby się rozpadło, gdyby go nie zasilił feudalizm, który pan Cormenin nazywa centralizacyą *cząstkową i względną* 1). W skutek feudalności wielka część władzy koronnéj przeszła w ręce prowincyi, ale król mógł rozpostrzeć swą opiekę na wszystkich mieszkańców, emancypować gminy, wsie królewskie i trzymać na wodzy nadużycia szlachty. Była to opieka pośrednia, ale dawniéj i takiéj nie było. W feudalności

1) Droit administratif. Introduction p. II.

król dozierał wassali koronnych, wassalowie baronów, a baronowie resztę mieszkańców. Pod taką hierarchią ustaliły się pewne reguły, samowolność sejmów szlacheckich zmniejszyła się i gmin doznał niejakiéj opieki. Zdarzały się bunty potężnych wassali, atoli zazdrość mniéj silnych nie pozwalała się im długo utrzymać na zdobytém stanowisku. Przy takiém zespoleniu interesów pod jedną głową, a pod wpływem kościoła, siła feudalności osłabła. Feudalność upadła, jako władza polityczna, przez powiększenie władzy królewskiéj, jako władza sądowa, przez zaprowadzenie stałych parlamentów, a jako władza wojskowa, przez zaprowadzenie stałego wojska. Feudalność upadła w opinii przez światło Paryża i współzawodnictwo duchowieństwa; w swéj władzy dworskiéj, przez emancypacyą miast i wsi koronnych; a w swym uroku, przez utworzenie tytułów i urzędów królewskich, przez komendy wojskowe, przez uczty i wykwintność dworu, co tak trafnie wykazał p. Mignet.

Podobną koleją przyszła Francya do *centralizacyi politycznéj*. Jedność terytoryalna nastąpiła w skutek małżeństw, śmierci, zdobyczy, traktatów, darowizn, testamentów, zwrotu apanagiów wydzielanych dzieciom królewskim; jedność religijna, w skutek mianowania biskupów przez królów, a instytuowania ich przez papieżów; jedność sądowa przez zaprowadzenie parlamentów, przez kupno urzędów i przez prawo, jakie należało każdemu z mieszkańców, apelowania do sądu koronnego. Z przeobrażeniem instytucyi politycznych, administracya także mogła przyjść do pewnéj jedności. Zostawała ona zawsze w ręku prowincyi, ale władza królewska coraz bardziéj ją krępowała wprawiając jakby w jedną formę. Zczasem zaprowadzono żandarmeryą (Maréchaussées), izby obrachunkowe, policyą, i podatek pogłówny nałożony był na cały naród nieszlachecki. Siły żywotne Francyi uczyniły tym sposobem postęp i rozwinęły się. Było to dzieło monarsze, ale jeszcze więcéj narodowe, bo lud francuzki, kierowany usposobieniem centralném, starał się wszelkiemi sposoby wzmacniać władzę królewską. Zwycię-

ztwa i los ułatwiły jéj zaprowadzenie jedności terytoryalnéj; stałe wojsko dało przewagę na wewnątrz i zewnątrz; parlamenta podnosząc majestat sprawiedliwości, zaszczepiły wyobrażenie równości wszystkich mieszkańców w obliczu korony; ulepszenie administracyi i zaprowadzenie *administration des vingtièmes*, ułatwiły podciągnięcie większej części głów pod ogólne ciężary, a blask Paryża zaćmił życie dworskie szlachty prowincyonalnéj. Szlachta francuzka, niegdyś tak dumna, czołgała się po progach królewskich żebrząc o urzęda i łaski. Dwór rozdzielał sam bogactwa i pobierał podatki. Budżet ówczesny był tajemnicą zawartą między królem a podskarbim koronnym. Dyplomacya była tajemnicą zawartą między królem a ministrem spraw zewnętrznych. Sejmy poszły w zapomnienie. Potęga królewska przyszła do tak wysokiego szczebla, że przed *lettres de cachet* drżała cała szlachta. Parlamenta, duchowieństwo, mieszczanie, zawarli się, w obliczu dążeń monarszych, w poszanowaniu milczącém, lud zaś uwielbiał z daleka wielkość, któréj rozciągłości nie pojmował.

Była to centralizacya polityczna, ale despotyczna. Skorzystała na tém Francya, ale centralizacya polityczna nie wymaga despotyzmu, a naród światły obejść się bez wolności nie może. Zresztą, mimo wysokiéj władzy koronnéj, administracya pozostawała zawsze w rękach prowincyi, despotyzm zaś królewski wyrodził różne nadużycia. Finanse krajowe posunięte były do wysokiéj doskonałości, jednakże brak określenia władz i urzędów, wtrącał mieszkańców w zamęt atrybucyjny. Parlamenta, nie podległe, bo dziedziczne, opierając się despotyzmowi korony, paraliżowały podskarbich, a podskarbiowie i intendenci paraliżowali jurysdykcye sądów morskich, wojskowych, skarbowych i izb obrachunkowych. Parlamenta, obok władzy sądowniczéj, dzierżyły władzę administracyjną a nawet polityczną. Francya dzieliła się na prowincye, oddzielone od siebie granicami, na których wznosiły się komory wewnętrzne, mieszkańcy zaś dzielili się na klasy płacące podatki albo nie. Prowincye posiadały

władze różnorodne, ich parlamenta miały różnorodne prawa i przywileje, w obronie, których garnęli się mieszkańcy powodowani to interesem, to wspomnieniem historycznem, to próżnością. Cyrkulacya wewnętrzna była utrudzona z przyczyny rozlicznych opłat celnych. Przemysł leżał w stanie osłupienia, bo go krępowały cechy wzniesione na zasadach uciążliwych; miasta, źle administrowane, były obdłużone. Turgot, umiarkowany zwolennik filozofii ośmnastego wieku, starał się usunąć nadużycia stopniowo, bez nadwerężenia przeszłości historycznéj. Gdyby go była usłuchała, Francya przyszłaby w ówczas do administracyi podobnéj do angielskiéj; ale przeciwko niemu wystąpiły parlamenta, intendenci i wszyscy interesowani piastujący godności zyskowne. Turgot upadł; jednakże potrzeba reform dała się czuć po nim jeszcze silniéj. Nadużycia zaś były tak zakorzenione, że władza królewska nie była w stanie ich usunąć. Taki stan rzeczy sprowadził rewolucyą roku 1789.

Zgromadzenie konstytucyjne, aby wyjść z chaosu polityczno-administracyjnego, chwyciło się téj łatwéj zasady, że lepiéj jest wszystko obalić aniżeli poprawić. Do téj zasady przyłączyły się myśli filozoficzne i naśladownictwo Józefa Drugiego. Mieszczanie, stanowiący grunt zgromadzenia, pragnęli zburzenia dawnéj budowy narodowéj, bo ta budowa dawała tylko schronienie nadużyciom szlachty. Zgromadzenie konstytucyjne miało wówczas trzy rzeczy na myśli: zniszczenie dawnych przywilejów prowincyonalnych, na których opierały się obyczaje możnowładztwa, wydobycie administracyi z chaosu władz i ustalenie wolnéj administracyi w miejsce szlachecko-prowincyonalnéj. Jak się to zwykle dzieje we Francyi, ci co dawniéj bronili z zapamiętałością nadużyć, widząc się przegórowanymi, podpisywali co żywo na najradykalniejsze reformy. Szlachta i duchowieństwo rozdarły w nocy czwartego Sierpnia ostatnie swoje przywileje. Różnice urodzenia zniknęły i naród francuzki zlał się w jedną rodzinę. Ze zrównaniem mieszkańców musiała się zrównać ziemia francuzka. Na wniosek Sieysa, zgromadzenie kon-

stytucyjne zniosło dawne prowincye z ich komorami i rozdzieliło Francyą na ośmdziesiąt sześć drobnych departamentów, którym nazwiska dało od rzek albo od położenia jeograficznego. Departamenta podzielone zostały na kantony, obejmujące w sobie kilka wiosek, na wzór parafii angielskich (parish) a *townships* amerykańskich 1). Aby wyjść z chaosu władz, zgromadzenie konstytucyjne oddzieliło władzę administracyjną od władzy sądowniczéj i prawodawczéj; aby zaś zaprowadzić administracyą wolną, podało pod zarząd zbiorowy *dyrektoryatów*, tak departamenta jak kantony. (Prawa z 14 Grudnia 1789 i 20 Sierpnia 1790). Zaprowadzenie rad kantonowych podkopywało dawną indywidualność wiosek i właściwość ich władz, poddawało je nawet pod wpływ miast, ale przy administracyi wolnéj, wioski tak małe i biedne jak francuzkie rządzić się osobno nie mogły. Zgromadzenie konstytucyjne uzupełniło reformę uchwalając odpowiedzialność ministrów, sekularyzacyą dóbr duchownych, likwidacyą długu publicznego, płatność urzędów, jednostajność podatku, dozór nad drogami i spławami, dyrekcyą prac publicznych i t. d.

Co uczyniło zgromadzenie konstytucyjne było centralizacyą polityczno-rewolucyjną. Rozdział na departamenta zniósł granice prowincyonalne, przeciął rzeki, otworzył góry, obalił wewnętrzne komory tak celne, jak drogowe i mostowe. Równość mieszkańców w obliczu prawa zastósowaną była w rozdziale ziem gminnych, w sukcesyach, w aktach stanu cywilnego, w wyborze władz administracyjnych, sądowniczych i prawodawczych, a nawet finansowych. Podatek osobisty pobierany był od wszystkich głów tak szlacheckich jak gminnych, podatek sprzętowy od wszystkich mieszkań, a ziemski od wszystkich bez wyjątku własności tak świeckich jak duchownych. Dawne parlamenta upadły pociągając za sobą izby obrachunkowe, Cours des Aides, les Juridictions de l'Amirauté, des

1) Zgromadzenie konstytucyjne pożyczyło również od Anglii instytucyi sędziów pokoju, *judges of peace.*

Maréchaux, des Echevinages, des Consulats, des Trésoriers. Nie było już innéj rady królewskiéj prócz rady ministrów, nie było już pays d'Élections ani pays d'État, lecz administracye kantonowe i departamentowe, poddane pod dozór komisarzy przysyłanych przez władzę centralną. Nie było już des Gardes-du-corps, des Gardes-françaises, des Gardes de la Porte, des Chevau-légers, des Mousquetaires noirs et gris, była tylko armia narodowa. Nie było już ni Normandyi, ni Langwedocyi, ni Pikardyi, ni Bretanii, ni Burgundyi itd., była tylko Francya.

Przeprowadzona rewolucya wydała zarząd krajowy w ręce stanu trzeciego, ale stan ten okazał niepospolite zdolności i olbrzymią energią. Dzięki jedności terrytoryalnéj, Francya, atakowana od północy i południa, od lądu i od morza, mogła się skupić, otoczyć żelazem i ogniem jak karabatalion. Na znak odebrany z Paryża, poruszały się departamenta, każdy kanton trząsł się i rzucał iskry, podobny do ogniwa długiego łańcucha napojonego płynem elektrycznym. Konwencya podniosła do exaltacyi takową jedność narodową. Dzięki jedności politycznéj, mogła ona zagarnąć w swe ręce wszystkie władze. W komitecie wojennnym organizowała armie, kreśliła plany kampanii, dyktowała instrukcye wojenne, nakazywała przebywanie rzek, zasypywanie wąwozów, przechodzenie gór, zabieranie miast; ona zrzucała i mianowała jenerałów, pisała buletyny zwycięzkie, wzmiankując która armia, która dywizya, który kapitan, który żołnierz zasłużył się ojczyźnie. W komitecie zbawienia publicznego przepisywała środki ogólnéj policyi, nakazywała aresztowania albo wyjmowała z pod prawa niechętnych. W komitecie finansowym biła asygnaty, przyspieszała pobór podatków albo sprzedaż dóbr narodowych. W komitecie prawodawczym dozierała list emigrantów, kasowała wyroki sędziów albo decyzye administracyi kantonowych, wyrokowała o konfliktach władz, przywoływała przed siebie trybunały, decydując wszechwładnie i bez apelacyi w sprawach politycznych. Konwencya dzierżąc w swym ręku władzę prawodawczą, wykonawczą i są-

dową, podniosła do poezyi jedność narodową, poezyi okropnéj, częstokroć zbrodniczéj, ale która ocaliła Francyą.

Administracya konwencyi wzbudza uwielbienie w p. de Cormenin, bo dla niego wspomnienia owéj epoki są drogie; ale każdy bezstronnny wie, że nie była to ni administracya normalna, ni centralna. Był to stan rewolucyjny, despotyczny, górowany przez teroryzm towarzystw ludowych. Co się działo wówczas we Francyi, nie było dziełem administracyi. Konwencya i komitet zbawienia publicznego, przepisywały środki, atoli administracye miejscowe rzadko je wykonywały, a jeżeli je wykonywały, oczyniły to przez obawę towarzystw ludowych. Były okolice, w których brak towarzystw ludowych, wydawał zarząd departamentów w ręce dawnéj szlachty, co zmusiło konwencyą do użycia krwawych środków przeciw Bretanii i Wandei. Złe ówczesne pochodziło ztąd, że władze tak departamentowe jak kantonowe były obieralne, wydane na nieznaczący wpływ rządu centralnego. Władze te administrowały miejscowości, wybierały podatki i rekruta, raczéj podług własnego widzimisię, niż podług przepisów rządowych. Aby temu zapobiedz, konwencya zawarowała sobie prawo kasowania postanowień władz miejscowych albo zrzucanie z urzędu samych władz. Był to postęp, lecz słaby i niedostateczny. To nam przecież tłómaczy przyczynę licznych destytucyi władz wyrzeczonych przez komitet prawodawczy; to tłómaczy także przyczynę użycia przez konwencyą towarzystw ludowych. W istocie, administracya zgromadzenia konstytucyjnego i konwencyi wymagała teroryzmu. Skoro za dyrektoryatu zużył się teroryzm, administracya została zwichniętą. Niezawisłość administracyi departamentowych wyrodziła anarchią, podatki nie były pobierane przez władze miejscowe w kwocie przynależnéj, skarb stał się pustym, bankructwo postępowało po bankructwie, bandy łotrów przeciągały prowincye szerząc rabunki i mordy, i kraj, mimo tylu zwycięztw, mimo tylu wolności któremi go ozdabiano, broczył w barbarzyństwie.

W takim stanie znalazł Francyą Bonaparte roku 1799. Prawo ustanawiające konsulat, poleciło mu „przywrócić porządek we wszystkich gałęziach administracyi publicznéj.“ Nieład był wtenczas tak powszechny, że nikt nie wykonywał praw. Nabywcy dóbr narodowych niepłacili należności, kantony nie pobierały podatków, rząd nieposiadał listy imiennéj wojska, albowiem za konwencyi i dyrektoryatu, organizowanie batalionów po departamentach zapomocą *bons des fournitures*, odbywało się najczęściéj bez kontroli a nawet bez wiedzy rządu. Złe pochodziło z błędu tak ekonomicznego jak admininistracyjnego jaki popełnił Sieyès i zgromadzenie konstytucyjne roku 1789. Błąd ekonomiczny dotyczył obalenia podatków niestałych, bez których żaden kraj dotąd obejść się nie może. Błąd administracyjny był jeszcze ważniejszy. Obalając administracyą szlachecko-prowincyonalną a zaprowadzając wolną, zgromadzenie konstytucyjne uległo powszechnemu wówczas złudzeniu. Sądziło, że mieszkańcy, przejęci duchem obywatelskim, odpowiedzą sami przez się wszystkim a nieraz uciążliwym obowiązkom publicznym. Nieszczęściem, doświadczenie pokazało, że tak się nie dzieje, i że, w kraju nawet najwolniejszym, nieobejdzie się bez przymusu, ile razy idzie o pobór wojskowy i podatkowy. Zgromadzenie konstytucyjne wydało administracye departamentowe w ręce rad, podzieliło zaś departamenta na kantony. W tych kantonach, których liczba była około pięć tysięcy, władza centralna miała swych komisarzy obowiązanych doglądać władz miejscowych i zachęcać do wykonywania praw. Otóż wpływ komisarzy, dla tego, że był tylko *doradzczy*, okazał się żadnym. W przedmiocie poborów rekrutowych, mieszanie się towarzystw ludowych zmniejszało złe, ale namiętności towarzystw były bezsilne przeciw niechęci płacenia podatków.

Wiadomo, że pobór podatków stałych, do których wówczas była ograniczona Francya, wymaga tabelli własności z obliczeniem ich przychodów, tabelli imiennéj kontrybuentów z wykazaniem ich zamożności. Aby pobór był sprawiedliwy, potrzeba poprawiać corocznie tabelle

podług kupna i sprzedaży własności, podług urodzenia, śmierci i miejsca pobytu kontrybuentów; potrzeba nakoniec rozkładać stosunkowo i co rocznie tak na osoby jak na własności uchwalone przez władzę prawodawczą podatki. Taka praca przygotowawcza, nosząca we Francyi nazwisko *confection des rôles*, była powierzona przez zgromadzenie konstytucyjne pieczy władz kantonalnych. Otóż skutek okazał, że ufność zgromadzenia była zupełnie mylna. Rady kantonalne nie wykonywały prawa. Napróżno rząd kasował rady niechętne, napróżno komisarze kantonalni błagali o zajęcie się rzeczą niecierpiącą zwłoki. Aby głos komisarzy mógł być skuteczny, trzeba było, aby mieli moc układania tabelli bez współudziału władz miejscowych, a prawo wyraźnie się temu sprzeciwiało. To stało się powodem, że w chwili zaprowadzenia konsulatu, tabelle z roku 1797 nie były jeszcze ukończone, z roku 1798 nie były ułożone nawet w połowie, a z roku 1799 były zaledwie zaczęte. Każdy odgaduje jak mało, przy takim stanie rzeczy, musiały przynosić podatki francuzkie. Przychód był tém mniejszy, że pobór podatków, wymagający roztropności i ścisłości, zostawał w zupełnym nieładzie. Pobór wypuszczony bywał przez licytacyą tym, którzy się go podejmowali za mniejsze wynagrodzenie. Tacy spekulanci działali zwykle nierzetelnie, korzystając z niedokonania tabelli i z braku dawnéj organizacyi finansowéj, *administration des vingtièmes*, którą obaliło zgromadzenie konstytucyjne.

Aby wyjść z nieładu, zarazem politycznego i finansowego, trzeba było poprawić administracyą krajową. Dokonał tego Bonaparte przez prawa z 28 pluviose an VIII, prawo sławne, albowiem od niego poczyna się we Francyi *właściwa administracya centralna*. W tym prawie, Bonaparte oznaczył po raz pierwszy dualizm administracyjny, którego zgromadzenie konstytucyjne nie spostrzegło. W rzeczy saméj, dwa rodzaje interesów stanowią w każdym kraju podstawę administracyi publicznéj: *interesa narodowe*, to jest, pobór wojskowy i podatkowy, prace publiczne i wymierzanie sprawiedliwości; *interesa depar-*

tamentowe i gminne, to jest, zawiadywanie potrzeb miejscowych. Doświadczenie pokazało, że we Francyi, jeżeli mieszkańcy byli zostawieni samym sobie, czyli, jeżeli kraj nie był rządzony przez administracyą ogólną, zarazem światłą i silną, interesa narodowe nieotrzymywały zaspokojenia; interesa miejscowe znajdowały w życiu prowincyonalném i gminném żywioł czujności, ale czujności fantastycznéj, nierównéj, niesprawiedliwéj i rzadko światłéj. Administracye prowincyonalne i gminne mają zwykle wiele ponęty do zajmowania się miejscowemi interesami, atoli są rozrzutne, uciążliwe i niechętne regule jednostajnéj. Anglia i Stany Zjednoczone, dzięki szczególnym przymiotom mieszkańców, uniknęły tych niedogodności, kiedy na lądzie stałym złe przyszło do zgorszenia. We Francyi roku 1789, wszystkie municypalności, używające pewnéj niezawisłości, były w stanie bankructwa. Pokazało się roku 1803, że w tym samym stanie znajdowały się wolne miasta niemieckie, że na lądzie stałym, bez administracyi czujnéj i centralnéj, interesa narodowe nie były wcale załatwione, a interesa miejscowe były załatwione źle. Zgromadzenie konstytucyjne i konwencya przewracając organizacyą Francyi, przemieniły tylko anarchią. Administracye zbiorowe departamentów obradowały bezprzestannie a nic nie czyniły mimo dozoru komisarzy rządowych. To złe powiększone było przez zaprowadzenie kantonów. Prawda, że dozór czterdziestu tysięcy gmin wiejskich był trudny, a chłopstwo było za ciemne, aby się samo rządzić mogło. Zredukowanie gmin do pięciu tysięcy kantonów zdawało się być obiecujące; skutek przecież pokazał, że z téj przemiany wychodził właśnie zaród anarchiczny. Administracye kantonowe były jeszcze za liczne i za bardzo oddalone od miast departamentowych, aby dozór rządowy był podobny, zniesienie zaś dawnych władz wiejskich, pozbawiło włościan administracyi ojcowskiéj do jakiéj byli przywykli od czasów niepamiętnych. Zarząd wiosek wymaga władzy miejscowéj, dozorowanéj przez samych włościan, zwyczajnie nieufnych i skąpych. Urzędnik, który trudni się spisywaniem aktów u-

rodzenia, śmierci, małżeństw, który trudni się policyą i zdrowiem gminy, który dozoruje studnie, kościół, szpital, winien mieszkać we wsi lub mieście, w pośród swych współobywateli. Administracye kantonalne zniosły administracyą domową, a nie zbliżyły się dosyć pod oko rządowe, aby mu było podobna na nie spoglądać.

Nieład organizacyi rewolucyjnéj pochodził jeszcze z braku sprawiedliwości administracyjnéj. Niedość bowiem zarządzać miasta i wioski, trzeba jeszcze sądzić sprawy ile razy obywatele podają skargi przeciw urzędnikom o przęciążenie w podatkach albo o naruszenie własności przy robieniu dróg, kanałów, albo o niewykonanie warunków zawartych z przedsiębiercami prac publicznych. Za dawnéj Francyi, juryzdykcya administracyjna była w ręku parlamentów. Prywatni znajdowali tym sposobem rękojmią, lecz rząd jéj nieznajdował, gdyż sądy cywilne źle sądzą sprawy administracyjne dla braku stosownych znajomości. Zgromadzenie konstytucyjne rozumiało że uniknie trudności, oddając sprawy administracyjne, *le contentieux administratif*, administracyom kantonalnym, ale to, złe jeszcze powiększyło. W istocie administracye kantonalne były ciałem podwójném: rozpatrywały interesa miejscowe i narodowe; byli to prywatni czuwający nad swojém mieniem, a zarazem urzędnicy publiczni obowiązani wykonywać rozkazy rządowe. Oddać w takiém położeniu radom kantonalnym sprawy administracyjne, było to poddać interesa narodowe pod kaprys prywatny i miejscowy. Tak było w rzeczy saméj. Dzięki organizacyi zgromadzenia konstytucyjnego, tabelle podatkowe nie były układane, pobór podatków był zaległy, skarbowość narodowa i miejscowa była w stanie bankructwa, a armia bez obuwia i chleba.

Prawo z 28 Pluviose an VIII. wyprowadziło Francyą z tak zawikłanéj organizacyi. Umysł Bonapartego czynny, śmiały a światły, odkrył przyczynę złego w administracyi ówczesnéj. Aby dokonać reformy, Bonaparte zastosował tylko myśl nowéj konstytucyi (konstytucyi z roku VIII.) do administracyi departamentowéj. Konstytucya

ta, do której tło dał Sieyès, stawiała na czele narodu władzę wykonawczą i władzę prawodowawczą. Władza wykonawcza składała się z trzech konsulów, ale w gruncie rzeczy z jednego; władza zaś prawodawcza, z kilku zgromadzeń obradujących. Bonaparte, uzupełniając takowy stan rzeczy, chciał mieć nad każdym działem administracyjnym organ władzy wykonowczéj (prefekta), obowiązany do działania, a obok niego, dla dozorowania tylko i oświecania, małe zgromadzenie obradujące (radę departamentową, *conseil général*). Z téj prostéj á płodnéj myśli, wyprowadzoną została cała dzisiejsza administracya francuzka. Bonaparte stawił na czele każdego departamentu prefekta, który nie prosił już administracyi miejscowéj o zajęcie się interesami narodowemi, ale sam się niemi zajmował; który zajmował się także interesami departamentowemi, z różnicą tylko, że w tym razie działał wspólnie z radą departamentową i zawierał się w granicach budżetu jaki ona naznaczała. Sieyès, przekonawszy się o niedogodności administracyi kantonalnéj, zamieścił w konstytucyi z roku VIII. podział departamentów na obwody. Bonaparte chwycił się tego środka, aby znieść administracye kantonalne. Powrócił władze gminne tam gdzie zostawać powinny, to jest do miast i wiosek, a między gminą a miastem departamentowém, utworzył, jako punkt połączenia, miasto obwodowe (chef lieu d' arrondissement). Nad obwodem stał podprefekt, zawiadujący interesami kilkudziesięciu gmin przy pomocy rady obwodowéj (conseil d' arrondissement), a nad każdą gminą stał mer (maire), zawiadujący miastem lub wioską, przy pomocy rady municypalnéj (conseil municipal). Prefekt, podprefekt i mer mianowani przez rząd, reprezentowali w departamentach interesa narodowe, a rada departamentowa, rady obwodowe i municypalne, mniej więcéj obieralne, reprezentowały interesa miejscowe.

Pozostawała organizacya sprawiedliwości administracyjnéj, za pomocą któréj prywatni mogli znaleźć sędziego bezstronnego i światłego. W tém miejscu, rozdział władzy sądowniczéj od administracyjnéj ułatwił rozwiązanie

trudności. Sądownictwo cywilne było wykluczone od sprawiedliwości administracyjnéj jako nieumiejętne; prefekci, podprefekci i merowie byli także wykluczeni od niéj jako organy akcyi, a zatém jako stronni; tożsamo rady departamentowe, obwodowe i municypalne, reprezentujące interes miejscowy. Zresztą wymierzanie sprawiedliwości jest pracą długą i ciągłą, niezgodną z radami departamentowemi, obwodowemi i municypalnemi, którym Bonaparte nie pozwalał obradować bezprzestannie jak dawniéj, lecz tylko przez dni piętnaście na rok, czas dostateczny na rozstrzygnienie potrzeb i ułożenie budżetu departamentu i gmin. Bonaparte zaprowadził więc stały sąd administracyjny w każdém mieście departamentowém, złożony z trzech albo pięciu członków, zasiadający pod bokiem prefekta, ale sądzący *bez niego*, rodzaj małéj rady stanu, oświecającéj prefekta jak rada stanu oświeca ministrów, sąd poddany pod dozór rady stanu za pomocą prawa apelacyi tak od strony prywatnéj jak prefekta. Taki sąd, którego usługa okazała się w krótce ogromną, wziął nazwę: rady prefekturalnéj, *Conseil de préfecture*. Było to uzupełnienie organizacyi administracyi, administracyi niezrównanéj, słynnéj z energii akcyi, z dokładności rachunków i porządku, a jak na owe czasy, z trafnego pogodzenia interesów narodowych z miejscowemi. Prefekci, podprefekci i merowie załatwiali interesa bieżące; rady departamentowe, obwodowe i municypalne radziły nad potrzebami miejscowemi i uchwalały na ten cel fundusze; małe sądy administracyjne wymierzały sprawiedliwość rządowi i prywatnym. Prefekci, podprefekci i merowie byli bezwzględnie posłuszni rządowi ile razy szło o interes państwa; ile razy zaś chodziło o interes miejscowy, działali *podług przepisów rządowych, ale wspólnie* z radami departamentowemi, obwodowemi i municypalnemi.

Uważając prefektów, podprefektów i merów jako organa rządowe, pierwszy konsul wyprowadził potrzebę mianowania ich przez władzę wykonawczą. Rady prefekturalne były także mianowane przez niego, z przyczyny porównania ich z radą stanu. Rady miejscowe win-

ny być z natury swojéj obieralne, ale wówczas obieralność, mocno sponiewierana, zastąpioną była, nawet w polityce, przez listy znakomitszych obywateli, *listes des notables*. Listy te były przyjęte za radą Sieyèsa, na podstawie, że *la confiance doit venir d'en bas, le pouvoir doit venir d'en haut*. Mieszkańcy układali listy *des notables*, rząd zaś obierał z listy departamentowéj, radę departamentową; z listy obwodowéj, radę obwodową; a z listy gminnéj, radę municypalną. Podobny skład rad nie odpowiedziałby przeznaczeniu w czasach zwyczajnych, ale wówczas chętnie był przyjęty, bo elekcye wynosiły tylko same ostateczności opinii, przy których administracya interesów tak narodowych jak miejscowych była trudna. Trybunał, rozstrząsając prawo z dnia 28 pluviose an VIII, nie był przeciwny tworzeniu rad miejscowych z list znakomitszych obywateli; uderzał jedynie na zaprowadzenie władz wiejskich, uważając je za niepodobne: z przyczyny, jak mówi Thiers, „braku usposobienia włościan 1)." Thiers nie rozumiał w tém miejscu znaczenia opozycyi trybunału i ważności kwestyi. Szło tutaj nie tyle o brak władz usposobionych, ile o naśladownictwo Anglii. Trybunał wychodził z przykładu Anglii, gdzie wioski nie posiadają władz osobnych i łączą się w parafie, a Napoleon wychodził z kilkunastowiekowéj tradycyi Francyi. Ale przykład Anglii nie stosował się do Francyi. W istocie, w Anglii klasa włościańska, niegdyś zamożna i dzielna, jak podaje Disraeli, została zniszczoną i zamienioną w wyrobniczą, kiedy przeciwnie we Francyi stała się właścicielką. Zgromadzenie konstytucyjne, czyniąc włościan właścicielami a odbierając im ich władzę, popełniło anachronizm, który należało usunąć. Bonaparte pozostał dla tego przy swéj opinii, i skutek okazał że się nie pomylił, władze bowiem gminne, władze domowe i opiekuńcze, oddane pod dozór rządowy, wiele się z czasem przyczyniły do edukacyi administracyjnéj narodu, bez któréj wolność prawdziwa ostać się nie może.

---

1) Histoire du consulat et de l'Empire I. 162.

Przy takiéj reorganizacyi administracyi francuzkiéj, poprawienie poboru podatków było nietrudne. Zaiste, sprawiedliwość w poborze nie mogła być zupełna, bo kadastra (cadastre), dzieło czterdziestu lat późniejszych, nie była jeszcze zaczęta, wszelako ulepszenie było znaczne. Bonaparte dając organom władzy wykonawczéj, prawo układania tabel podatkowych, utworzył pod dozorem prefektów a pod kierunkiem ministra skarbu, agencyą kontrybucyi stałych (agence des contributions directes), naśladowaną z dawnéj *Administration des vingtièmes*. Agencya ta składała się z dyrektora i inspektora na departament, i 840 kontrolerów rozsypanych po obwodach. Ona miała rozkaz układania tabel, oznaczania zmian własności w skutek śmierci, sprzedaży i t. d. Tym sposobem skarb otrzymał rękojmią, że odbierze podatki w danym czasie i w oznaczonéj kwocie. Zaprowadzenie agencyi było zyskiem dla skarbu, a zarazem oszczędnością dla kontrybuentów, gdyż agencya kosztowała tylko trzy miliony franków, kiedy dawni komisarze kantonalni kosztowali pięć milionów.

Pozostało uorganizowanie obrotu i kontroli wybieranych podatków. Bonaparte zastał po kantonach poborców kantonalnych (percepteurs), a po departamentach poborców departamentowych (receveurs généraux). Ostatni gromadzili pobory i przelewali sumy podług rozkazów rządowych. Była to organizacya prosta, ale nie odpowiadała potrzebom skarbowym. Skarb ówczesny, a nawet dzisiejszy, aby sprostał obwiązkom, musiał wiedzieć kiedy i w jakiéj wysokości będzie miał sumy do rozporządzenia. W tym celu Bonaparte, na wniosek Gaudin'a, zaprowadził tak zwane *obligations des receveurs généraux*, to jest, weksle, wystawione przez poborców departamentowych co miesiąc, w sumie równéj podatkom departamentowym, i z obowiązkiem zapłacenia ich na terminie. Obrot pieniężny odbywał się wówczas, jak następuje: poborcy kantonalni wlewali do kasy poborców departamentowych sumy w miarę ich pobierania; poborcy departamentowi byli bankierami państwa, centralizującymi

pobory i wydającymi je stosownie do rozkazów; skarb debitował każdego w oznaczonéj sumie, ale przypuszczał, że suma nie była ściągniętą aż po dwóch miesiącach czasu. Za pomocą tego przypuszczenia godziły się dwa interesa: poborca departamentowy mógł oszczędzać kontrybuentów, a korzystać jeżeli na czas zapłacili, bo wtenczas skarb płacił mu procent od sumy wniesionéj przed czasem. Jeżeli zaś po upłynieniu dwóch miesięcy, sumy leżały u niego, on płacił procent skarbowi. Co każdy miesiąc, w dniu przypadającéj raty podatkowéj, poborca departamentowy wydawał obligacye, które uiścić musiał na terminie. Aby ułatwić uiszczenie poborców, Bonaparte przypuścił, że każda dwunasta, czyli miesięczna rata podatkowa, nie wpływała całkowicie do kasy poborcy departamentowego aż po czterech miesiącach. Za pomocą tego nowego przypuszczenia, skarb mógł sprzedawać obligacye bankierom w miarę potrzeb publicznych. Żeby zaś nadać obligacyom wartość niemylną i tracić nie wiele na sprzedaży, ustanowił z kaucyi poborców departamentowych, kasę umorzenia (caisse d'amortissement), która miała obowiązek uiszczać obligacye niezapłacone na terminie.

Dzięki obligacyom, Bonaparte mógł w chwili każdéj nadchodzącéj raty, trzymać w swym ręku dwunastą część całego podatku. Rachunkowość genialna, poddana pod dozór Izby obrachunkowéj (Cour des comptes), dodała wszystkiemu regularności. Jednakże kontrola nie była jeszcze zupełna. Między poborcami kantonalnemi (percepteurs) a departamentowemi (receveurs généraux), nie było innych pośredników, prócz ajentów mianowanych przez poborcę departamentowego, zdających jemu tylko prawdziwy rachunek ze wszystkiego. Tym sposobem skarb nie mógł mieć pewności kiedy i w jakiéj sumie wchodziły podatki do kasy poborcy departamentowego; w jakiéj kwocie przypadał mu rzetelny procent od sum wcześniéj wybranych. Aby ten niedostatek zapełnić, Bonaparte utworzył poborców obwodowych (receveurs particuliers), mianowanych przez rząd, zależnych

od niego; obowiązanych zdawać mu rachunek z sum przesłanych do poborcy departamentowego, świadków dobrze zainformowanych ruchu wszystkich sum, świadków bezstronnych, albowiem nie korzystali z przypadających mu procentów. Zresztą prefekci i podprefekci mieli prawo przeglądać księgi podatkowe poborców obwodowych.

Zaprowadzone reformy w administracyi departamentowéj i finansach przyniosły przewidziane skutki. W miejsce nieładu administracyi zbiorowych, prefekci wnieśli regularność, szybkość wykonania, następstwa jedności władzy. Zyskały na tém tak interesa narodowe jak miejscowe, albowiem urzęda zajmowały się niemi ze znajomością rzeczy i z należną względnością. Po kilku miesiącach czasu, renta, od dwunastu franków podniosła się do pięćdziesięciu; wkrótce skarb nie płacił jéj w *bonach* ale w pieniądzach. Francuzi brali to za cud, kiedy był to owoc zdrowego sensu, skutek usunięcia zarodu nieładu. Ajenci kontrybucyi stałéj, dozierani przez prefektów, spisali tabelle podatkowe. Po raz pierwszy od lat dziesięciu, tabelle roku bieżącego były doręczone poborcom pierwszego Stycznia. Poborcy wybierali podatki z łatwością i starannie. Obligacye były przez nich płacone na dzień terminu. Rząd sprzedawał je z łatwością bankierom. Niedostatek skarbowy pochodził wówczas z niedostateczności podatków stałych, z obalenia podatków niestałych przez Zgromadzenie konstytucyjne. Aby przysposobić zwolna opinią publiczną do podatków niestałych, Bonaparte zaprowadził po miastach opłaty rogatkowe, przeznaczając je na szpitale, które rewolucya ogołociła ze wszelkich przychodów. Opłaty te, zrazu cząstkowe, czasowe i szczupłe, zamienione były późniéj w stałe, przez utworzenie agencyi kontrybucyi niestałéj (agence des contributions indirectes), obowiązanéj pobierać podatki od stępla, ceł i konsumpcyi. Wtenczas utworzono nowy rodzaj poborców, poborców kontrybucyi niestałéj, którzy wlewali pobierane summy, za pośrednictwem poborców obwodowych, do kas poborców departamentowych. Wydawa-

nie obligacyi miesięcznych na takie pobory było niepodobne, gdyż opłaty od stępla, konsumpcyjnego i t. d. są z natury swojéj niestałe. Bonaparte postanowił, że poborcy departamentowi mieli wydawać na przychody niestałe *bons à vue* dopiero po wpłynieniu sumy do kasy.

Taka była w krótkości administracya zaprowadzona przez Bonapartego, *administracya centralna*, krępująca władze miejscowe, ale któréj Francya winna swą pomyślność i wielkość. Do podobnéj administracyi mógł dać pobudkę jeden tylko człowiek i taki geniusz jak Napoleona. Za pomocą administracyi centralnéj, Napoleon schodził we wszystkie szczeliny narodu, zaglądał do strzechy i do pałacu, opiekował się tak biednym jak bogatym, tak proletaryuszem jak właścicielem; zapomocą téj administracyi, Napoleon mógł wymierzać bezstronną sprawiedliwość, dozierać sądów cywilnych i administracyjnych, upowszechniać zasadę równości w obliczu prawa, strzedz każdy grosz dawany w podatku, wybierać rekrutów, wznosić olbrzymie armie, trząść dyplomacyą europejską i prowadzić wojny których operacyjną była linia idąca od Lizbony do Petersburga i Moskwy. Administracya centralna wyszła z zasady wojennéj, zastosowanéj do narodu. Napoleon wiedział, że w wojnie siła *nie zależy na liczbie lecz na łatwości ruchu.* Żyjąc w stanie wojennym, zastosował tę zasadę do całéj Francyi. Dzięki administracyi centralnéj, Francya mogła, prędzéj niż każdy inny naród, stawić na daném miejscu dostateczną liczbę ludzi, pieniędzy i zapasów wojennych. Skoro Napoleon zadecydował wojnę, minister rozsyłał rozkazy, prefekt je doręczał, mer wykonywał, rekrut wychodził, pułk się formował i Francya była gotowa.

Administracya centralna pozostała niezachwianą przez cały ciąg konsulatu i cesarstwa, wyjąwszy, że w skutek zniesienia *listes des notables*, rady departamentowe, obwodowe i municypalne stały się obieralnemi. Restauracya Burbonów, zaprowadzając różne ulepszenia, zachowała zasadę nietkniętą. To nam tłómaczy łatwość, z jaką Francya podniosła się po klęskach roku 1815. Za pomocą

administracyi centralnéj, Ludwik Filip uspokoił w miesiąc całą Francyą, zacierając ślady rewolucyi roku 1830. Za panowania jednak Ludwika Filipa, administracya francuzka z wojennéj zamieniała się coraz bardziéj w pokojową. Centralność była zwolnioną w tém co miała w sobie uciążliwego; atrybucye rad departamentowych, obwodowych i municypalnych zostały nieco zwiększone, merowie mianowani byli jeszcze przez króla, lecz z listy ułożonéj przez gminy. Przemiany te pokazywały, że pięćdziesięcioletni wpływ rządowy rozprzestrzenił w mieszkańcach wyobrażenia administracyjne, że administracya centralna wyprowadziła miasta z bankructwa a ucywilizowała wioski. Taki sam skutek, chociaż w mniejszym stopniu, przyniosla w Polsce administracya zaprowadzona roku 1807, przez Napoleona. Za Ludwika Filipa interesa narodowe pozostały pod wyłączną pieczą rządową i jego organów, ale interesa miejscowe odebrały rękojmią, jakiéj pod Napoleonem nie miały. Administracya francuzka z roku 1847. może być uważana, jeźli nie za normę, to za uzupełnienie administracyi centralnéj, za umiejętność, dla któréj wypadki olbrzymie nakreśliły wydatne zarysy. Spojrzyjmy na tę administracyą, w niektórych szczegółach i w teoryi jaką dla niéj zakreśliła nauka.

II

Kiedy wspomnienia początku administracyi centralnéj osłabły, teoretycy znaleźli, że Francya uorganizowaną została podług syntezy właściwéj każdemu człowiekowi, a którą oznacza filozofia 1). Organizacya ta ma za zasadę: *osobistość, rozum* i *wolę*. Osobistość, tłómaczy się przez *jedność terytoryalną;* rozum, przez *ciała obradujące*, a wola przez *rząd*. Administrować jest to *żyć*. Aby żyć potrzeba *przechować swą istotę i rozwijać ją* tak pod wzglę-

1) Cours de droit public et administratif, par M. F. Laferrière.

dem materyalnym jak umysłowym. Administracya ma więc cel podwójny: zachowawczy i postępowy. Jednakże Francya, uważana jako osoba moralna, składa się z mieszkańców żyjących życiem własném, równie zachowawczém jak postępowém. Mieszkańcy, uważani jako obywatele, mają interesa narodowe; uważani jako właściciele, mają interesa miejscowe, a uważani jako ludzie, mają interesa osobiste dotyczące ich sumienia, wolności i bezpieczeństwa. Cel więc administracyi jest rozliczny, obowiązki są wielkie a zawód trudny, albowiem wszystkie interesa są ważne a wszystkie się z sobą krzyżują. Aby mówić o wszystkich gałęziach administracyi francuzkiéj odpowiadających celowi i interesom tak narodu jak mieszkańców, potrzebaby dzieła. Ograniczmy się więc na tém co jest najwydatniejszém i co nam posłużyć może do ocenienia skutków centralizacyi.

Francya składa jedność zupełną. Dzieli się na 86 departamentów, 363 obwodów, 2,834 kantonów, a 37,187 gmin. Gmina, pierwszy zawiązek społeczny, ma mera czuwającego nad administracyą miejscową; kanton ma sędziego pokoju; obwód ma podprefekta i trybunał pierwszéj istancyi; departament ma prefekta, radę prefekturalną i sąd kryminalny. Powyższy podział jest tylko polityczny. Pod względem duchownym, Francya dzieli się na 14 arcybiskupstw, 66 biskupstw; biskupstwa dzielą się na parafie, nad któremi stoją proboszcze. Pod względem sądowniczym, Francya dzieli się na 27 juryzdykcyi apelacyjnych. Pod względem wojskowym dzieli się na 20 dywizyi; pod względem morskim, na 6 obwodów; pod względem prac publicznych, na 14 dywizyi dróg i mostów; pod względem kopalni, na 18 obwodów; pod względem celnym, na 26 dyrekcyi; pod względem leśnym, na 32 obwody; pod względem oświecenia publicznego, na 26 akademii; pod względem skarbowym, na poborstwa różnego rodzaju (recettes, directions, perceptions i t. d.) Powyższe podziały mają na celu ułatwienie administracyi kraju liczącego trzydzieści trzy miliony ludności. Francya dzieli się jeszcze na 86 miast departamen-

towych z ludnością 3,000,000, głów; na 435 miast średnich (przechodzących 3,000, dusz) z ludnością 3,000,000, i na 36,666 gmin wiejskich 1) liczących około 26,000,000 mieszkańców. Podług tego rachunku, liczba ludności rolniczéj składa pięć szóstych ludności ogólnéj.

Hierarchia administracyjna we Francyi idzie od władzy wykonawczéj, dawniéj od króla a dziś od prezesa rzeczypospolitéj. Król nie administrował i tylko delegował władzę, prezes zaś rzeczypospolitéj administruje, dla tego też jest odpowiedzialny. Ministrowie tworzą drugi stopień hierarchii. Trzeci tworzą prefekci, posłuszni nie samemu ministrowi spraw wewnętrznych, lecz wszystkim ministrom. Czwarty stopień tworzą podprefekci, a piąty merowie, czyli burmistrze i wójci. Ostatni dotykają już administracyi miejscowéj, dla tego noszą charakter podwójny: są administratorami municypalnymi i urzędnikami rządowymi. Jako pierwsi, reprezentują władzę gminną, jako drudzy, reprezentują akcyą ogólną państwa. To czyni, że pod ostatnim względem zależni są od prefekta, ministra spraw wewnętrznych i władzy wykonawczéj. Dawniéj król przelewał akcyą (procurait l'action) a nie wykonywał jéj; ministrowie tylko przelewali ją i wykonywali. Dziś prezes rzeczypospolitéj przelewa i wykonywa władzę. Toż samo czynią ministrowie i prefekci. Merowie odbierają i wykonywają akcyą, ale już jéj nie przelewają. Na nich zatrzymuje się akcya.

Od czasu Napoleona, akcya administracyjna polega na *jedności wykonania* (unité d'exécution) i dla tego powierzona jest jednéj osobie bez różnicy stopnia hierarchii administracyjnéj. Obok każdéj akcyi administracyjnéj jest dodana *rada* dla jéj oświecenia. I tak, każde ministeryum ma komitet złożony z kilku członków rady stanu; każdy prefekt ma radę prefekturalną, każdy mer ma radę rozkładaczy podatków (conseil des répartiteurs pour l'asiette des impots). Przy pomocy tych rad, administracya działa i wydaje rozporządzenia; rady zaś sądzą tylko sprawy

---

1) Zawierają one częstokroć po parę wiosek.

administracyjne. *Działać* (agir), *radzić* (conseiller), oto są warunki administracyj francuzkiéj; ale nie na tém jeszcze koniec. Potrzeba jeszcze *rękojmi* (garantie), że władza działa stosownie i prawnie. Na ten cel są ustanowione obok ministrów, izby albo zgromadzenie narodowe; obok prefektów, rady departamentowe; obok podprefektów, rady obwodowe, a obok merów, rady municypalne. Tym sposobem akcya, rada i rękojmia postępują po jednéj i téjże saméj linii.

Aministracyą francuzką podzielić można na administracyą *narodową*, *miejscową* i *sądownictwo administracyjne*. Pierwsza trudni się przechowaniem i postępem społeczności. Określają je prawa dotyczące z jednéj strony własności narodowéj (domaine national), podatków, obrony krajowéj i instytucyi dyplomatycznych, a z drugiéj rękojmi praw indywidualnych, politycznych, naukowych i materyalnych. Własność narodowa, temu lat dwa, różniła się na własność koronną, publiczną i państwa. Własność koronna podług prawa z Marca 1832, administrowana przez intendenta listy cywilnéj, była *inaliénable et imprescriptible*. Należała jako *dominium utile* do narodu, a król miał tylko *usumfructum*. Lasy koronne były poddane pod te same przepisy co lasy państwa; wycinania nadzwyczajne mogły mieć miejsce tylko na mocy pozwolenia izb. Przepisu tego nie wykonał Ludwik Filip, to téż nam tłómaczy słuszność reklamacyi opozycyi roku 1845. Własności koronne były wolne od podatków krajowych, wyjąwszy ciężarów departamentowych i gminnych. Od roku 1830, lista cywilna monarchy była *insaisissable*, ale nie tak się działo z jego własnością prywatną, albo z własnością, którą mógł nabyć z sum oszczędzonych. Pod tym względem, król uważany był za prywatnego. Była to ważna zmiana zaprowadzona w dawném prawie francuzkiém, która pociągnęła za sobą nieodpowiedzialność narodu za długi koronne. Za to dzieci króla nie miały prawa do dotacyi albo *rentes apanagères*, chyba gdyby własność prywatna korony była niewystarczająca. Ostatni warunek sprawił, że książę Nemours nie otrzymał do-

tacyi. Łamało to dawny zwyczaj i przykład Anglii, ale izba deputowanych była w prawie kiedy broniła się zasadą *ubi commoda, ibi et onus*.

Własność publiczna odpowiada we Francyi rzymskiéj zwanéj *quaedam publica*. Składa się ona z rzeczy nie należących do nikogo, a z których korzystają mieszkańcy każden z osobna, *ut singuli*. Do niéj należą brzegi morskie, porty, drogi, rzeki. Własność państwa, *quaedam universitatis*, składa się z rzeczy dających pewny przychód, należących do państwa, a z których korzystają mieszkańcy za pośrednictwem władzy, *ut universitas*. Tu należą lasy, budowle rządowe, kościoły, kanały, drogi żelazne. Nad pierwszemi rząd ma tylko prawo dozoru, a nad drugiemi, ma prawo właściciela. Własności państwa są administrowane przez różne ministerya, stosownie do przeznaczenia, jakie im były nadane, pod ogólnym dozorem ministra skarbu. Po departamentach są poddane pod zarząd dyrektorów *de l'enregistrement et des domaines*, a pod dozór prefektów. *Les directeurs de l'enregistrement et des domaines* odpowiadają komisarzom, a prefekci plenipotentom. Pierwsi pobierają przychody, a drudzy sprzedają i zawierają kontrakty w imieniu państwa. Wyjątek od téj reguły stanowią lasy narodowe, które są administrowane przez urzęda osobne i reguły opisane w postanowieniu królewskiém z roku 1827.

Podatki dzielą się we Francyi na *impôts de répartition* i *impôts de quotité*. Pierwsze uchwala władza prawodawcza w sumie ryczałtowéj, z oznaczeniem części jaką ma dać każdy departament; władze i rady miejscowe rozdzielają tę część na obwody, gminy i osoby. Tego rodzaju podatki, z natury rzeczy niedosięgają nigdy prywatnych w części pewnéj i zależą od bogactwa obwodów, gmin i prywatnych. Drugie przeciwnie nakładane są na każdą osobę w części niezmiennéj. Wysokość przychodu z pierwszych jest pewna dla skarbu, a wysokość przychodu z drugich jest niepewna. Podatek gruntowy jest podatkiem *de repartition*, a patentowy jest podatkiem *de quotité*. Podatki francuzkie dzielą się jeszcze na stałe (di-

rects) i niestałe (indirects). Do pierwszych należą podatki gruntowe, od drzwi i okien, od osób i mebli, od patentów, od min, szkół, i ciężary dotyczące dróg wiejskich (les prestations pour les chemins vicinaux). Do drugich należą podatki konsumpcyjne, rogatkowe, celne, stęplowe i t. d. Podatek gruntowy jest oparty na *przychodzie* kiedy stosuje się do roli, a na cenie *własności* kiedy stosuje się do budowli. Rozdziela go na departamenta władza prawodawcza podług tabelli ludności i przychodów układanéj co lat pięć. Rady departamentowe rozdzielają go na obwody podług tabel przedstawianych przez *Direction des contributions*. Gdyby rady nie chciały tego czynić, zastępuje ich sam prefekt. Rady obwodowe rozdzielają go na gminy, a *Commissions des répartiteurs*, z radą municypalną, rozdzielają go na osoby. Podstawą ostatniéj a najmniejszéj czynności w tym względzie, bo dotykającéj własności osobistéj, jest *kadastra* oznaczająca rozciągłość każdego majątku, rodzaj przychodu i jego wysokość. Podatek tak zwany *des portes et fenêtres*, czyli podatek od światła i powietrza, pobierany jest stosownie do ludności gminy, ilości drzwi, okien i liczby piątr. Płaci go właściciel, ale ma prawo odebrać go od lokatora. Podatek osobisty (personnel), odpowiadający dawnemu pogłównemu. a wynoszący trzy dni pracy, któréj cena różni się od 50 centymów do 1 franka 50 centymów, płacony jest, jeżeli nie w czynie to w teoryi, przez wszystkich mieszkających na ziemi francuzkiéj, czy to krajowców czy cudzoziemców. Podatek od mebli (impôt mobilier) pobierany jest stosownie do wysokości komornego.

Podatkami stałemi trudni się *l'administration des contributions directes* która ułatwia rozkład i przygotowywa środki poboru, i *l'administration du trésor,* która dokonywa poboru i centralizuje sumy. Obie administracye zależą od ministra skarbu. Pierwsza ma dyrektora jeneralnego w Paryżu, dyrekcyą w każdym departamencie złożoną z dyrektora, inspektora i kontrolerów; druga ma poborców departamentowych (receveurs généraux), obwodowych (receveurs particuliers) i kantonalnych (percépteurs).

Pierwsza trudni się układaniem tabeli podatkowych. Ukończone tabele przesyłane są do prefekta, który czyni je obowiązującemi (qui rend les rôles executoires). Wtedy dyrektor kontrybucyi przesyła je poborcy departamentowemu, a ten poborcom obwodowym i kantonalnym. Podatek stały, dawany w dwunastéj części, winien być płacony przy końcu każdego miesiąca. Poborca zawiadamia o tém osobę przez zawezwanie bezpłatne; jeżeli po ośmiu dniach podatek nie jest zapłacony, następuje zawezwanie płatne (sommation avec frais), potém przymus wojskowy (contrainte par garnison), a nakoniec zajęcie ruchomości lub nieruchomości. Wrazie złego oznaczenia kwoty podatkowéj, w razie nieurodzaju, pożaru, upadłości handlowéj, kontrybuent może żądać od prefekta uwolnienia od podatku (la décharge) albo zmniejszenia jego (la reduction).

Podatki niestałe dotyczące konsumpcyjnego, pobierane są we Francyi od napojów, od soli i cukru burakowego. Dwa pierwsze zostały zniesione od pierwszego Stycznia 1850. roku, jako uciążliwe i niesprawiedliwe, ale bardzo być może, że z przyczyny potrzeb skarbowych, władza prawodawcza w części je przywróci. Podatek od napojów tyczy się wódki, piwa, cydru i cieczy fermentowanych. Od piwa i likworów płaci się podatek fabryczny i konsumpcyjny (de fabrication et de consommation), a od wina, cydru i wódki, podatek cyrkulacyjny (de circulation). Podatek od fabrykacyi płacony stosownie do ilości wyrobu napoju, pociąga za sobą *exercice*, to jest dozór przez urzędników właściwych. Wino, wódka i cydr płacą podatek cyrkulacyjny a nadto rogatkowe (droit d'entrée) i szynkownicze (droit de détail). Od soli pobierany podatek konsumpcyjny ciąży wprost na konsumentach. Płaci je kupujący w fabrykach solnych, które zostają dla tego pod szczególnym dozorem. Podatek od cukru burakowego pobierany jest w formie konsensowego (de licence) i fabrycznego (de fabrication), a fabryki poddane są pod *exercice*. Do podatków niesta-

łych należy także monopolium tabaczne, opłaty od kart i bižuteryi, od dyliżansów i spławów.

Rogatkowe (octrois) jest głównym środkiem poboru podatków niestałych. Zrazu przywrócił je Napoleon tylko w części, pod pozorem zasilenia funduszów szpitalnych, ale dekret z 17 Maja 1809 całkowicie je urządził. Skarb pobierał odtąd dziesiątą część rogatkowego dla siebie, reszta zaś obracana była na potrzeby miejscowe. Rogatkowe płaciły napoje. żywność, opał, materyały budowlane i furaże. Pobór tego podatku był dawniéj puszczany przez licytacyą, co pociągało nadużycia. Aby temu przeszkodzić, Napoleon oddał rogatki pod administracyą przychodów niestałych (regie des contributions indirectes) co pociągnęło inne złe, bo odebrało gminom dozór nad przychodami. Dopiero postanowienie królewskie z roku 1814 i prawo z roku 1816 ustanowiły stałe zasady w tym przedmiocie. Podług nich, minister skarbu nominuje poborców rogatkowych, ale merowie przedstawiają kandydatów. Rady municypalne układają same tabele opłat. Dziesiąta część rogatkowego dawana jest skarbowi niby jako wynagrodzenie za chleb zupny, który niegdyś winny były dawać gminy przechodzącym żołnierzom (pour le pain de soupe des troupes). W miastach, w których stoi wojsko, rady municypalne winny nadto ponosić koszta koszarowe z tytułu, że konsumpcya wojska powiększa przychody rogatkowe.

Podatki celne (droits des douanes) pobierane są od towarów zagranicznych wprowadzanych do Francyi i od krajowych wyprowadzanych za granicę. Trudni się ich poborem dyrekcya celna złożona z dyrektora i czterech poddyrektorów w Paryżu, a na prowincyach z dwudziestu sześciu dyrekcyi szczegółowych, których organizacya jest cywilno-wojskowa. Jako cywilni, celnicy mają prawo spisywania protokułów, a jako wojskowi składają cztery legiony, wschodni, zachodni, południowy i północny. Dozór celny odbywa się na linii granicznéj, szerokéj na dwie mile, tak na ziemi jak na morzu. Na téj linii są oznaczone komory (bureaux des douanes), przez

które mogą wchodzić towary. Przywożący albo wywożący towary winien uczynić deklaracyą ich ceny i uiścić podług niéj opłatę, jeżeli podana cena jest uznana za słuszną. Od tego obowiązku wolne są tylko towary złożone w składach (entrepôts) bądź publicznych (entrepôts réels) bądź prywatnych (entrepôts fictifs). Podatek celny oznacza sama władza prawodawcza, albowiem od niego zależy postęp pracy publicznéj, przemysłowéj i handlowéj. Do podatków niestałych należą jeszcze opłaty od stępla i zmian własności (droits d'enregistrement et de mutation), któremi trudni się osobna dyrekcya.

Obrona krajowa dzieli się na policyjną i wojenną. Policyjna strzeże wolności handlu zbożowego, obmyśla środki zdrowia i spokoju wewnętrznego. Temu obowiązkowi oddaje się cała hierarchia administracyjna, stosownie do praw właściwych, a dotyczących stowarzyszeń, afiszów, sprzedaży broni i prochu, zgromadzeń ulicznych, paszportów, dozoru zbrodniarzy, żebraków, szpitali, fabryk niezdrowych, sprzedaży lekarstw, miar i wag, druku, rycin, teatrów, więzień itd. Obrona wojenna trudni się poborem rekrutów, organizacyą i utrzymaniem armii, strażą twierdz i przywiązanych do nich służebności. *Instytucye dyplomatyczne* dotyczą legacyi i konsulów z trojakim ich charakterem: administracyjnym, sądowym i dyplomatycznym, i stosunkiem, jaki mieć mogą z marynarką handlową i wojenną.

Administracya francuzka trudni się *postępem* narodu dając rękojmią prawom indywidualnym. Tu należą środki dążące do zapewnienia każdemu własności przemysłowéj, artystycznéj, literackiéj i praw politycznych. Administracya trudni się spisywaniem list elekcyjnych, zwoływaniem oborców, odbieraniem kaucyi od notaryuszów, meklerów, wydawaniem dyplomów kwalifikacyjnych, oświatą publiczną, instytucyami kredytowemi, wywłaszczeniami z tytułu użytku publicznego, robieniem dróg, mostów, kanałów i kolei żelaznych, dozorem spławów, kopalni, suszeniem bagien i wielu innemi przedmiotami, których porządny przegląd wymagałby obszerniejszego miejsca. W całym

swoim zawodzie, administracya francuzka baczy na interesa indywidualne, ale interesa narodowe tak ją zajmują, że możnaby powiedzieć: iż Francya żyje raczéj życiem narodowém niż indywidualném. Na dowód tego, dość byłoby przytoczyć ostrożności jakie bierze administracya w celu utrzymania dróg, kanałów i spławów, ostrożności tak szczegółowe, tak poddane pod dozór władzy centralnéj, że najmniejszy krok prywatny, n. p. moc ścięcia drzewa naddrogowego, przechodzi przez kilkanaście władz i wymaga kilku raportów.

Administracya miejscowa dotykająca najbardziej interesów przeciwnych centralizacyi, wymaga obszerniejszego rozbioru. Mówiliśmy już, że zgromadzenie konstytucyjne roku 1790, obalając dawne prowincye, oddało każdy departament pod administracyą miejscową i zbiorową. Administracya departamentowa, złożona z trzydziestu sześciu członków, a wybrana przez mieszkańców, wyznaczała ze swego grona *dyrektoryat* (z ośmiu członków i prokuratora-syndyka) i *rady*. Dyrektoryat miał w swych atrybucyach administracyą czynną, prokurator-syndyk *la suite des affaires*, a rada czyniła projekta, przedstawienia, itd. Każden kanton miał podobnież władze zbiorowe z różnicą, że władze te podlegały władzy departamentowéj. Do dyrektoryatów kantonalnych należało wykonanie (exécution). Jak widzimy Zgromadzenie konstytucyjne położyło zasadę administracyi dzisiejszej oddzielając *radę* od *wykonania*, ale zbłądziło powierzajac wykonanie władzy zbiorowéj. Konwencya zniosła rady zostawiając same dyrektoryaty, co sprawiło, że z dekretu roku 1790 przechowało się tylko same złe, władza wykonawcza zbiorowa. Dopiero Napoleon powrócił do zasady Zgromadzenia konstytucyjnego, ale czyniąc to, usunął zarazem złe: rozdzielił radę od wykonania; radę ograniczył do rady departamentowéj, a wykonanie powierzył w jedne ręce, w ręce prefekta.

Podług dekretu z roku 1790, król miał prawo znosić tylko decyzye dyrektoryatów departamentowych skoro je znajdował przeciwne prawu, a do izby prawodaw-

czéj należało prawo kasowania dyrektoryatów, skoro się okazywały nieposłusznemi. Napoleon poszedł daléj, albowiem mianując sam prefektów, dał sobie prawo dowolnego zmieniania administracyi departamentowych. Zgromadzenie konstytucyjne uchwaliło: że „Francya składa jedną całość, a departamenta są tylko częściami całości.“ Z téj zasady wyprowadzono wniosek: że departamenta nie mogą być *właścicielami*, przymiot bowiem właściciela przypuszcza indywidualność, osobistość moralną, jaką noszą na sobie gminy. Zgromadzenie konstytucyjne uznało zatém tylko własności gminne a nie departamentowe. Roku 1811, Napoleon, chcąc zrzucić na administracye miejscowe koszta utrzymania gmachów sądowych i administracyjnych, oddał je na własność departamentów. Z tego czynu wyszło uznanie własności departamentowéj. Rewolucya roku 1830 nienaruszyła w niczém zasad naznaczonych przez Napoleona dla administracyi francuzkiéj. Powiększyła tylko atrybucye rad departamentowych i municypalnych, co dało mieszkańcom rękojmią bezpieczeństwa (1)

Prefekt trudni się administracyą ogólną w interesie narodowym, a miejscową w interesie mieszkańców. Jest on w stosunku do departamentu, reprezentantem państwa a w stosunku do państwa, reprezentantem departamentu. W razie sprzeczki między temi interesami, prefekt reprezentuje państwo, a departament, nie rada departamentowa, lecz najstarszy członek rady prefekturalnéj. To pokazuje do jakiego kresu zależności doprowadziła administracya centralna interesa miejscowe. Rada prefekturalna trudni się także dwoma interesami: interesami państwa, kiedy sądzi sprawy administracyjne podług praw ogólnych, i interesami miejscowemi, kiedy się opiekuje gminami, kiedy przegląda budżeta municypalne i ich rachunki. Ile razy działa jako reprezentant państwa, prefekt stanowi *sam*, ile razy zaś działa jako reprezentant

1) Lois du 22 Juin 1833, sur l' organisation, et du 10 Mai 1838, sur les attributions des conseils généraux.

departamentowy, stanowi w radzie prefekturalnéj, *au conseil de préfecture*. Rady departamentowe nie mają tego dwoistego charakteru, lecz jeden, to jest miejscowy; o ile razy zajmują się kwestyami dotyczącemi administracyi ogólnéj, uchwały ich są tylko *zdaniem* albo *prośbą* które prefekci przesyłają do ministrów. Rady obwodowe nie mają prawa przesyłania swych zdań, gdyż obwód nie tworzy osoby moralnéj, nie ma własności, i jest tylko częścią jedności departamentowéj.

Rada departamentowa zarządza własnością departamentową, jednakże władza jéj w tym względzie nie jest tak obszerną jak gmin, bo własność departamentowa wzięła początek z darowizny państwa. Ztąd wypadło, że kontrakta dotyczące najmu albo utrzymania własności departamentowych zostały poddane pod potwierdzenie ministra, a w razie tylko nagłéj potrzeby, prefekta. Prefekt może dać upoważnienie radom departamentowym do przyjmowania darowizn prywatnych, ale, aby departament mógł wymienić albo sprzedać własność, potrzeba decyzyi władzy wykonawczéj danéj w radzie stanu. Drogi departamentowe nie tworzą własności departamentowéj, chyba gdyby przeznaczenie ich ustało. Departamenta, dopóki były częścią całości, nie miały swoich budżetów. Otrzymały to prawo dopiero kiedy przyszły do prawa własności. Budżet departamentowy składa się z pięciu części: z wydatków *stałych, zwyczajnych, dowolnych, szczególnych* i *nadzwyczajnych*. Pierwsze wydatki, obejmujące płacę prefekta i jego urzędników, nie są od roku 1817 zamieszczone w budżetach departamentowych lecz państwa, bo dotyczą interesu narodu. Drugie wydatki mają użytek podwójny: miejscowy i narodowy, np. naprawę i utrzymanie budynków departamentowych, koszar żandarmeryi, więzien it. d. Te dwa rodzaje wydatków pokrywane są przez centymy dodatkowe uchwalane przez władzę prawodawczą. Wydatki dowolne, mające na celu użytek samego departamentu są pokrywane przez centymy dobrowolne uchwalane przez rady departamentowe za upoważnieniem władzy

prawodawczéj. Tym samym sposobem pokrywane są wydatki szczególne dotyczące utrzymania szkółek i dróg wiejskich, i wydatki nadzwyczajne, n. p. zapłata pożyczki zawartéj w zamiarze robienia dróg wiejskich, stawiania budowli i t. d. Upoważnienie władzy prawodawczéj, ile razy szło o wydatki dowolne i nadzwyczajne, było niezbędném, bo rady departamentowe okazywały dążenia rozrzutne i zbytkowne, które, przypuściwszy że nie poprowadziłyby departamenta do bankructwa, powiększyłyby ciężary biednego ludu. Obwody nie mają budżetów bo nie są osobami moralnemi. Bogactwo departamentów francuzkich jest różne: są departamenta zamożne, są i biedne. Aby wesprzyć biedne albo dotknięte nieszczęściem, prawo z roku 1821 utworzyło kassę wspólną, *le fonds commun*, opatrywaną za pomocą zatrzymywanych centymów dodatkowych a centralizowaną w ministeryum skarbu. Władza wykonawcza rozdziela między departamenta takie fundusze, ale dawać je tylko może na pokrycie wydatków zwyczajnych.

Atrybucye rad departamentowych są różne. Rady te są *mandataryuszami państwa* kiedy rozdzielają podatki między obwody, kiedy przeglądają żądania redukcyi czynione przez rady obwodowe, kiedy uchwalają centymy dodatkowe, kiedy stawiają domy dla obłąkanych, albo kiedy znoszą się w tym celu z departamentami sąsiedzkiemi. Takie czynności niepotrzebują potwierdzenia żadnéj władzy. Rady *kontrolują administracyą miejscową* kiedy przeglądają budżet przedstawiony przez prefekta. W tym razie obecność prefekta jest potrzebną. Inaczéj się dzieje kiedy rady przeglądają rachunki. Wtedy za pośrednictwem swego prezesa, mogą czynić skargi wprost do ministra. Rady kontrolują jeszcze kiedy czynią inwentarze archiwów i ruchomości departamentowych. W tym razie także droga skargi jest im zupełnie otwarta. Rady departamentowe są *legalnemi reprezentantami departamentu* ile razy czynią procesa w interesie jego własności. Jeżeli są zapozwane, dają prefektowi upoważnienie do prowadzenia sprawy, ale jeżeli chcą pozywać, potrzeba im

upoważnienia króla albo prezesa rzeczypospolitéj, danego w radzie stanu. Wyjąwszy spraw posesyjnych, nikt nie może pozywać departamentów bez poprzedniego przedstawienia prefektom objaśniającego memoryału. Rady są jeszcze reprezentantami departamentowemi kiedy uchwalają centymy nadzwyczajne i pożyczki, kiedy proponują dyrekcyą dróg, kiedy rozkładają na obwody koszta utrzymania domów obłąkanych. W téj atrybucyi, wola ich nie jest niczém krępowaną, żadna władza nie może zmienić ich uchwał, ale uchwały, aby były obowięzujące, potrzebują potwierdzenia prefekta, ministra albo władzy wykonawczéj stosownie do ważności interesu. Rady departamentowe są *radą władzy centralnéj* ile razy prawo nakazuje rządowi zasięgać woli miejscowéj, albo ile razy rząd czyni to sam przez się. Wyjąwszy powyższych atrybucyi, rady departamentowe nie mogą sobie dawać żadnéj innéj. Jeżeli to czynią, król albo prezes rzeczypospolitéj mają prawo kasować ich uchwały. Rady nie mogą się zbierać kiedy nie zostały legalnie zwołane przez władzę wykonawczą, nie mogą także znosić się z radami innych departamentów tylko za pośrednictwem prefekta. Gdyby postąpiły inaczéj, prefekt w radzie prefekturalnéj ma moc unieważnienia uchwały. Król albo prezes rzeczypospolitéj może rozwiązać radę, ale w tym razie obowiązany jest zwołać inną w przeciągu trzech miesięcy. Rząd ma także środek na ukrócenie niedbałości rad. Gdyby rada nie chciała płacić swych długów, rząd z władzą prawodawczą ma moc nałożenia na ten cel centymów dodatkowych. Gdyby rada nie zebrała się, albo gdyby się rozeszła bez dokonania powinności, prefekt ma moc jéj zastąpienia, ułożenia budżetu, który staje się obowiązującym skoro jest potwierdzony przez władzę wykonawczą.

Atrybucye rad obwodowych są szczupłe. Są one reprezentantkami gmin w stosunku do departamentów, a reprezentantkami departamentów w stosunku do gmin. Z téj przyczyny mają dwa posiedzenia co rok. Na pierwszém, poprzedzającém zwołanie rad departamentowych, rozstrzą-

sają żądania o redukcyą podatków, które czynią gminy, i ustalają stosunek ich zamożności. Jest to praca przygotowawcza, z któréj korzystają rady departamentowe, Na drugiéj sesyi, mającéj miejsce po skończeniu obrad rad departamentowych, rozkładają podatki między gminy. Jako reprezentantki gmin, rady obwodowe przesyłają żądania co do poprawy granic i dróg, co do targów i t. d. Jako stróże administracyi miejscowéj, rady obwodowe, za pośrednictwem swych prezesów, mogą przesyłać swe żądania i skargi wprost do prefekta. W ogóle, rady obwodowe nie mają indywidualności jak obwody, są tylko pośrednikami. Kiedy rozkładają podatki na gminy, czynią to jak przepisały rady departamentowe, i gdyby oddaliły się w czémkolwiek od ich woli, prefekt miałby prawo ich zastąpić.

Administracyą dotyczacą gmin opisują prawa z dnia 21 Marca 1831 i 18 Lipca 1837. Gmina jest uważana za *osobę moralną* a przytém za *jednostkę* państwa. Może być podzielona na sekcye, sekcye mogą mieć między sobą różne interesa, atoli w oczach rządu, gmina jest jednostką nierozdzielną. Administracya gminna dzieli się na *wykonawczą* i *obradującą*. Jak w departamencie prefekt, tak tutaj mer, ma dwa charaktery: jest organem rządowym i jako taki poddany jest pod *rozkazy* władzy centralnéj; i jest organem miejscowym, i jako taki poddany jest tylko pod *dozór* władzy centralnéj. Administracya gminna zawisła od różnych wpływów: *od mera* do którego należy zarząd gminny i policya miejscowa; *od rady municypalnéj*, reprezentacyi interesów gminy; *od prefekta*, dozorcy postępowania mera i rady municypalnéj; nakoniec *od rady prefekturalnéj* i *rady stanu*, legalnych opiekunek wszystkich gmin państwa. Na czterech wpływach polega administracya gminna, złożona jak widzimy *z akcyi*, *obrady, dozoru* i *opieki*.

Gminę francuzką można uważać jako osobę moralną i jako stowarzyszenie. Jako osoba moralna, ma ona prawo do własności. Własność składa się z kościoła, ratusza, szkoły, a często z lasu, gruntu, łąk, bagien i t. d. Na-

poleon wychodził z zasady, nieodzownéj we Francyi, że administracya narodowa jest wyższą od miejscowéj, i że gmina winna być uważana jako *w stanie małoletności.* Prawo z dnia 18 Lipca emancypowało nieco gminy, bo dało im, co do zarządu miejscowych interesów, prawo obszerniejsze niż małoletnim, a często nawet wyższe niż emancypowanym małoletnim. I tak rada municypalna ma moc upoważnienia, a mer podpisania kontraktów dzierżawnych na lat dziewięć kiedy idzie o domy, a na lat ośmnaście kiedy idzie o role. Takie kontrakty nie potrzebują potwierdzenia prefekta. Skoro kontrakt przechodzi lat ośmnaście, artykuły jego opisuje postanowienie władzy wykonawczéj za poradą rady stanu. Gmina sama ma prawo rozdzielania przychodów z gruntów które posiada. Prawo jednak dzisiejsze chce, aby ten rozdział nie odbywał się podług ilości posiadanego majątku (pro modo jugerum), jak się to działo za czasów feudalnych, ni na głowy jak roku 1793, lecz na kominy, czyli familie. Lasy gminne są poddane pod przepisy lasów narodowych, ale rozdział suchego drzewa dzieje się także na kominy.

Kontrakty sprzedaży, kupna i zamiany przedstawia mer, rada decyduje, a władza centralna upoważnia. Prawo z roku 1791, wymagało upoważnienia władzy prawodawczéj, co pociągało za sobą trudności i stratę czasu. Dziś upoważnia prefekt w radzie prefekturalnéj kiedy wartość rzeczy nie przechodzi 3,000 fr. w gminach mających mniéj niż 100,000 przychodu, a 20,000 fr. w gminach mających 100,000 przychodu. Kiedy idzie o kupno, sprzedaż, albo wymianę rzeczy przechodzącéj tę kwotę, potrzeba postanowienia władzy wykonawczéj. Aby to nastąpiło, prawo wymaga pięciu aktów: protokułu oznaczajacego cenę rzeczy, badania *de commodo et incommodo,* uchwały rady municypalnéj, zezwolenia właściciela rzeczy w razie kupna albo wymiany, a nakoniec zdania podprefekta i prefekta. Władza centralna może odmówić upoważnienia, *ale nie może narzucić swéj woli.* Pod tym względem, gminy mają tęż samą swobodę co

departamenta. W ogóle prace albo dostawy gminne puszczane są przez licytacyą, po poprzedniém spisaniu obowiązków przedsiębiercy. Licytacye są potwierdzane przez prefekta. Ugody dobrowolne mają miejsce, kiedy idzie o sumy nie przechodzące 3,000 fr., ale potwierdzenie prefekta jest zawsze nieodzowne. Przyjęcie darów i legatów wymaga upoważnienia władzy centralnéj albo prefekta stosownie do natury przedmiotu albo trudności obowiązków. Gmina potrzebuje upoważnienia rady prefekturalnéj albo rady stanu, kiedy chce prowadzić proces; ale skoro otrzymała upoważnienie, każdy z mieszkańców może popierać sprawę w interesie gminy. Przepisuje to artykuł 49 prawa z roku 1837, uchwalony w celu obudzenia ospałości wielu rad municypalnych i zapewnienia mieszkańcom korzyści gminnych. W takim razie, jeżeli prywatny proces przegrywa, ponosi sam koszta, a jeżeli wygrywa, zyskuje gmina. Kto chce zapozwać gminę, winien ją ostrzedz o tém zawczasu i przesłać prefektowi stosowny memoryał. Rada prefekturalna potwierdza albo odrzuca decyzyą rady municypalnéj, ale jeżeli nie pozwala na obronę, gmina ma prawo apelować do rady stanu. Decyzya rady prefekturalnéj jest upowodowana, a rady stanu nie, a to dla tego, aby sąd cywilny miał wolność roztrzygnienia sprawy podług własnego przekonania. W ogóle, upoważnienie władzy centralnéj jest nieodzowne w każdym procesie obchodzącym gminę; kiedy go nieotrzymała, gmina może żądać kasacyi wyroku, ale strona przeciwna nie może zarzucać braku upoważnienia, chyba *in limine litis.* Wyjątki przeciw temu prawu, uchwalonemu w celu łatwiejszego opiekowania się gminami, są liczne. I tak, gmina może sama przez się prawować się: 1) przed sądem administracyjnym, bo rada prefekturalna jest pierwszą jéj opiekunką; 2) przed sądem kasacyjnym, bo sąd ten nie jest nową instancyą; 3) o akcye posesyjne, bo one dążą do zabezpieczenia interesu gminy; 4) o odpowiedzialność kryminalną, bo tutaj prokurator publiczny poszukuje.

Uważana jako stowarzyszenie, gmina francuzka ma wszystkie warunki potrzebne do życia społecznego. Ma swą cyrkonskrypcyą czyli granice, ma swe przychody i wydatki, ma swe władze i organa ze ściśle oznaczonemi atrybucyami; ma stosunki zewnętrzne ze stowarzyszeniami téjże saméj natury, wreszcie ma swą odpowiedzialność na wewnątrz i na zewnątrz. Ogół tych warunków stanowi życie społeczne gminy, prawa jéj i obowiązki. I tutaj władza centralna opiekuje się gminą. Granice gmin nie mogą być zmienione bez upoważnienia władzy prawodawczéj. Inaczéj się dzieje kiedy idzie tylko o działy wewnętrzne, np. o podział na sekcye. Wtedy upoważnienie prefekta jest dostateczne.

Przychody i wydatki oznacza budżet gminny. Wydatki *obowiązujące* wymienione w prawie z 18 Lipca 1837, zajmują w nim najpierwsze miejsce. Jeżeli ich nie chce ponosić rada municypalna, władza centralna ma prawo zamieścić je w budżecie, a nawet nałożyć na ten cel podatek. Od rady municypalnéj zależą tylko wydatki dobrowolne. Wydatki obowiązujące dzielą się na cztery klasy: 1) wydatki niezbędne na zewnętrzne utrzymanie i służbę administracyjną gminy, jak: utrzymanie ratusza i jego biór, abonament na dziennik praw, pensya poborcy gminnego, dyrektora rogatek i koszta poboru podatków, pensya leśniczego, stróża wiejskiego, komisarza policyi, koszta gwardyi narodowéj i na utrzymanie cmentarzy. 2) Wydatki dotyczące moralnego istnienia gminy jak: utrzymanie szkół, probostw, kościołów, sądu pokoju. 3) Wydatki dotyczące stosunków gminy z państwem, jak: płacenie do skarbu z przychodów gminnych części oznaczonéj przez prawa, koszta miernicze, spisu ludności, utrzymanie aktów stanu cywilnego i podrzutków. 4) Wydatki za pomocą których pokrywają się długi. Inne wydatki nazywają się *dobrowolnemi* (facultatifs), bo dotyczą interesu saméj gminy, jak: brukowanie dróg i ulic, stawianie targowisk, szlachtuzów, fontann, szpitali.

Przychody gminne są *zwyczajne* albo *nadzwyczajne* (ordinaires et extraordinaires). Do pierwszych należą

przychody: 1) z gruntów które wynoszą we Francyi około dwudziestu pięciu milionów franków; 2) z rogatkowego, które nieliczące Paryża wynosi czterdzieści ośm milionów franków; 3) z poboru centymów zwyczajnych (centimes ordinaires) obracanych na potrzeby gminy; 4) z części kar nakładanych przez policyą prostą i poprawczą a ustępowanych gminom; 5) z opłat miejskich i policyjnych upoważnionych przez prawa. Do przychodów nadzwyczajnych należą opłaty nadzwyczajne i pożyczki. Jeżeli idzie o pokrycie wydatków obowiązujących, upoważnienie prefekta jest dostateczne do nałożenia opłat nadzwyczajnych albo do zawarcia pożyczki, ale jeżeli idzie o pokrycie wydatków dobrowolnych, potrzeba na to albo postanowienia władzy wykonawczéj, albo prawa, stosownie do mniejszéj lub większéj ludności gminy. Potrzeba nadto aby rada municypalna przywołała do swego grona kilku mieszkańców płacących najwięcéj podatku, a to, aby ci, na których spada opłata, mogli objawić swe zdanie.

Budżet gminy, przedstawiony przez mera, przyjęty przez radę municypalną, musi być potwierdzony przez prefekta albo przez władzę wykonawczą. Prefekt albo władza wykonawcza mogą odrzucić czyli zmniejszyć wydatki, *ale nie mogą ich powiększyć,* bo by to było rozkazywać gminom. W razie nie objęcia w budżecie wydatków obowiązujących, prefekt sam je zamieszcza po poprzedniém zniesieniu się z radą municypalną, Pobór ułożonych przychodów odbywa się przez poborcę kantonalnego a w gminach większych przez municypalnego, *mianowanego przez władzę centralną z listy trzech kandydatów przedstawionych przez radę municypalną.* W tym drobném zdarzeniu widać wielką różnicę między gminami francuzkiemi a amerykańskiemi. „W Stanach Zjednoczonych, mówi p. de Tocqueville, gminy nie wyprowadzają swéj władzy od państwa, ale ustępują część jéj na korzyść państwa. We Francyi, poborca rządowy wybiera podatki gminne; w Ameryce, poborca gminny wybiera podatki rządowe. We Francyi, rząd użycza swych

urzędników gminom, a w Stanach Zjednoczonych, gmina użycza ich rządowi. Powyższa różnica charakteryzuje administracyą dwóch narodów" (1). Jeżeli gmina ma swego poborcę, poborca municypalny poszukuje sam niepłacących, na mocy tabelli podatkowéj ułożonéj przez mera a zatwierdzonéj przez podprefekta. Mer jest *ordonateur* a poborca *comptable*; funkcye o różnicy ważnéj, albowiem odpowiedzialność jest różna. Mer nie może się mieszać w pobór podatków, ale zdaje sprawę ze swéj administracyi. Zdanie sprawy składa następnego roku radzie municypalnéj przed rozprawą nad nowym budżetem. Rada ocenia administracyą, nie wchodząc w liczby, albowiem z liczb rachuje się sam poborca. Zdanie sprawy mera, przyjęte przez radę municypalną, jest ostatecznie stwierdzone przez prefekta albo przez ministra spraw wewnętrznych, stosownie do mniejszéj lub większéj ludności gminy. Rachunek poborcy jest czysto liczbowy. Przegląda go rada municypalna, stwierdza zaś ostatecznie rada prefekturalna, jeżeli przychód gminy nie przechodzi trzydziestu tysięcy franków; albo izba obrachunkowa, jeżeli przychód jest wyższy. Zdanie rachunków obchodzi wszystkich mieszkańców, dla tego budżet i rachunki może przeglądać każdy z kontrybuentów. Gminy posiadające sto tysięcy franków przychodu, obowiązane są nawet je drukować.

Atrybucye mera, powiedzieliśmy, są dwojakie: jako organ rządowy, jest on pod *władzą* administracyi centralnéj, a jako reprezentant gminy, jest tylko pod jéj *dozorem*. Działając w pierwszym charakterze, jest albo wykonawcą praw, albo delegowanym od rządu, albo delegowanym od władzy sądowniczéj. Jako wykonawca praw, mer jest urzędnikiem stanu cywilnego; jako delegowany od rządu, strzeże bezpieczeństwa publicznego i ogłasza prawa; jako delegowany od władzy sądowniczéj, jest sędzią policyi prostéj, poszukuje zbrodniarzy, spisuje protokuły; jest także sędzią administracyjnym o

1) De la Démocratie en Amerique I. 101.

podatki niestałe. Działając w charakterze reprezentanta gminy, mer ma policyą municypalną i prawo ogłaszania rozkazów (arrêtés), które jeżeli zamykają się w przepisanych atrybucyach, są obowiązujące i poddane pod sankcyą artykułów 471 i 480 kodeksu kryminalnego. Rozkazy mera są dwojakie: chwilowe i stałe. Pierwsze są obowiązujące natychmiast, wszelako prefekt ma prawo je znieść gdy je znajduje niestosownemi; drugie potrzebują potwierdzenia prefekta. Prefekt ma prawo *zawieszenia* albo *zniesienia* rozkazów, ale nie ma prawa ich *poprawiać*, albowiem kto poprawia, rozkazuje. Tym sposobem gmina zachowuje i tutaj swoją indywidualność. Ma ona *inicyatywę* a prefekt tylko *veto*. Na téj różnicy, jak to pokazuje raport P. Vivien, polega cała administracya francuzka w materyi gmin. Mer administruje czynnie sam, dla tego ma prawo mianowania na urzędy gminne. Wrazie przeszkody lub słabości, może przelewać swą władzę. Przelanie jest dwojakie: *legalne*, kiedy mer jest zastąpiony we wszystkich czynnościach, i *dobrowolne*, kiedy jest zastąpiony tylko w niektórych. Prefekt, który nie może rozkazywać z siebie, ma moc zastąpienia mera, kiedy ten nie wykonywa rozkazów władzy centralnéj albo praw.

Atrybucye rady municypalnéj są także rozmaite: 1) jeżeli idzie o czas obecny, np. o podatki bieżące, o płody rolnicze, o kontrakty, o rozdział łąk i drzewa, rada ma prawo bezwzględnego regulowania (droit de reglement); 2) jeżeli idzie o przyszłość, ma prawo obradowania i inicyatywę (le droit et l' iniciative de délibération), ale jéj uchwała potrzebuje potwierdzenia prefekta, rządu, albo władzy prawodawczéj; 3) jeżeli idzie o dozór mera i przeglądanie jego rachunków, ma prawo kontroli (le droit de controlle); w tym razie, mer nie może być obecnym głosowaniu; rada obiera sobie prezesa, który wrazie złéj administracyi mera, przesłać winien decyzyą rady wprost do prefekta, w celu uniknienia waśni między radą municypalną a merem; 4) jeżeli idzie o ciężary gminne, rada ma prawo upomnienia się (le droit de ré-

clamation); 5) nakoniec, jeżeli idzie o rzeczy obchodzące gminę pośrednio, ma prawo objawienia swego zdania (le droit d' avis). Prawa francuzkie nie dozwoliły jawności posiedzeń rad municypalnych, ale mieszkańcy gminy mają prawo czytać w ratuszu protokuła obradowe. Rada municypalna może się tylko zajmować interesami gminy, wszelka zatém uchwała przechodząca jéj atrybucye jest uważana za niebyłą (nulle de plein droit). Prefekt w radzie prefekturalnéj decyduje w tym względzie, rada zaś może apelować do władzy centralnéj. Sądy municypalne nie mogą, jako ciała ukonstytuowane, czynić odezw, powinszowań albo protestacyi. Ludwik Filip przyjmował jednak powinszowania po każdym ataku na jego osobę, na co ówczesna opozycya powstawała. Rada municypalna może się zbierać tylko w czasie oznaczonym przez prawo. Nie wolno jéj znosić się bezpośrednio z innemi radami. W razie przekroczenia tego zakazu, władza wykonawcza rozwiązuje radę i nakazuje obór inny w przeciągu trzech miesięcy. Na kilka lat przed rewolucyą 1848 roku, wytoczyła się kwestya, czy, w razie systematycznéj niezgody rady municypalnéj (obieranéj przez mieszkańców) z merem (mianowanym przez władzę wykonawczą z przedstawionych kandydatów), władza centralna powinna zmienić mera. Gminy opierały się tutaj na zasadzie parlamentarskiéj, podług któréj minister winien być wyrazem opinii izby, ale P. Duchatel, ówczesny minister spraw wewnętrznych, nieuznał téj zasady. Utrzymał on przewagę wpływu państwa na gminy, zostawiając radom municypalnym rozważenie: czy niezgoda systematyczna, nie wystawi na szkodę interesów miejscowych.

Władza gminna, jakkolwiek krępowana, ma wolne ręce ile razy idzie o spokojność i bezpieczeństwo gminy. Ztąd wypływa odpowiedzialność gmin za szkody, jakie zaburzenia wewnętrzne mogą czynić mieszkańcom. Odpowiedzialność ustaje, kiedy władza gminna użyła wszystkich środków aby zaburzeniu przeszkodzić; kiedy ludzie czyniący zaburzenie nie należą do gminy, wreszcie, kiedy zaburzenie ma na celu atak na władzę cen-

tralną, bo wtenczas rząd sam winien czuwać nad spokojnością. Poszukiwanie gminy o odpowiedzialność idzie drogą trybunałów cywilnych. Jeżeli gmina przegrywa, wyrok się doręcza prefektowi który czuwa nad jego wykonaniem. Rada municypalna ma prawo zmusić dwudziestu największych kontrybuentów do awansowania sumy na którą gmina została skazaną. Suma ta wlewa się do kasy poborcy departamentowego, a potém rada municypalna wybiera ją od wszystkich mieszkańców.

Gminy mają Towarzystwa dobroczynności, sale ochrony, szpitale, i t. d.; administracya ich zależy od mera i rady municypalnéj, ale i tutaj władza centralna doziera. Towarzystwo dobroczynności (bureau de bienfaisance) składa się z pięciu członków mianowanych przez prefekta albo władzę wykonawczą, odnawianych corocznie w piątéj części. Mer jest legalnym prezesem towarzystwa i pośrednikiem. Towarzystwa mają różne przychody: sumy udzielane przez rady municypalne, przychody z własności i kapitałów, a wreszcie dary. Dary pieniężne muszą być obrócone na kapitał w rentach. Aby można za nie nabyć nieruchomość, potrzeba pozwolenia władzy centralnéj. W tém samém położeniu znajdują się sale ochrony, instytucye dobroczynne poświęcone dla dzieci. Tym samym sposobem administrowane są szpitale i lombardy (Monts-de Piété). Każden z powyższych instytutów jest pod osobną radą, ale każdą radę prezyduje mer, a każden budżet jest poddany pod głos rady municypalnéj a potwierdzenie prefekta albo władzy centralnéj.

Administracya kościołów francuzkich jest urządzona inaczéj; kościół tworzy gminę osobną, złożoną z wiernych, którą władza municypalna wspomaga. Administruje nim tak zwana Fabryka (la Fabrique), złożona ze świeckich. Jest ona właścicielką funduszów, które posiada. Co do budowli kościelnéj, gmina jest jéj właścicielką a fabryka tylko z niéj użytkuje. Gmina obowiązana jest reparować kościół i obmyślić dla proboszcza mieszkanie. Kontrakty jakie zawiera fabryka są poddane pod zdanie rady mu-

nicypalnéj a potwierdzenie prefekta. Organizacya fabryki dzieli się na radę, która obraduje i na biuro, które działa; podskarbi reprezentuje biuro w stosunku do osób trzecich. Rada składa się z dziesięciu, albo pięciu członków, stosownie do ludności gminy. Biskup mianuje pięciu albo trzech, a resztę prefekt. Odmiana odbywa się w trzeciéj części co lat trzy, przez głosowanie członków pozostających. Jest to ślad organizacyi sięgającéj czwartego wieku, którą kościół przechował. Członkowie wychodzący mogą być na nowo obrani. Proboszcz i mer są legalnymi członkami fabryki. Mer może mieć swego zastępcę; musi zaś go mieć kiedy nie jest religii katolickiéj. Biuro składa się z proboszcza i trzech członków. Co rok wychodzi jeden członek, którego rada zastępuje innym. Rada rozbiera budżet fabryki, rozstrząsa coroczne rachunki podskarbiego, czyni kontrakty, najmy i t. d., wszystko z wiedzą rady municypalnéj i za potwierdzeniem prefekta; biuro zaś układa budżet, czyni projekta, wykonywa uchwały, strzeże porządku kościoła i rozdaje jałmużny.

Pozostaje jeszcze powiedzieć o trzeciéj gałęzi administracyi francuzkiéj, to jest *o sprawiedliwości administracyjnéj.* Podstawą juryzdykcyi administracyjnéj jest rozdział władzy sądowniczéj od administracyjnéj, ogłoszony przez dekret z dnia 16 Sierpnia 1790 roku. Administrować, jest to zapewnić wykonanie praw i opiekować się interesami tak narodowemi jak miejscowemi. Aby sprostać temu, potrzeba usuwać przeszkody i słuchać skarg. Administrować, jest to więc nie tylko wykonywać, ale rostrzygać i sądzić. Juryzdykcya administracyjna trudni się: 1) albo sądzeniem spraw zachodzących między administracyą centralną a departamentami, gminami i prywatnymi; 2) albo sprawami, w których administracya centralna nie jest stroną, skargami gmin przeciw prywatnym, lub prywatnych przeciw gminom. To stanowi przyzwoitość sprawiedliwości administracyjnéj (du contentieux administratif), materya trudna, albowiem rozdział władzy ad-

ministracyjnéj od cywilnéj jest nieraz niepodobny do oznaczenia.

W organizacyi sprawiedliwości we Francyi, sądy dzielą się na zwyczajne i nadzwyczajne. Pierwsze sądzą i baczą na wykonanie wyroku; drugie sądzą tylko, bez mocy przymuszenia do wykonania wyroku. Sądy administracyjne należą do drugich. Wyroki ich nie zawierają rozkazu wykonania, czyli *exequatur:* trudnią się tém sądy cywilne. Juryzdykcya administracyjna dzieli się na niższą i wyższą, a niższa na zwyczajną i nadzwyczajną. Juryzdykcyą zwyczajną tworzą rady prefekturalne złożone najmniéj z trzech członków. W braku radzców prefekturalnych, przywoływani są członkowie rady departamentowéj. Juryzdykcya nadzwyczajna dzieli się na juryzdykcyą pierwszéj i ostatniéj instancyi. Juryzdykcyą pierwszéj instancyi dają prawa prefektom, kiedy idzie o dostawy, o rogatkowe, o naprawę dróg. Tęż samą moc mają ministrowie, kiedy idzie o likwidacyą długu publicznego, pensyi, przedsiębierstw w pracach publicznych i t. d. Tęż samą moc mają jeszcze rada wychowania publicznego (le Conseil de l'Instruction publique), kiedy idzie o zarząd szkół. Juryzdykcyą nadzwyczajną ostatniéj instancyi ma izba obrachunkowa (Cour des comptes), rada rekrutowa (conseil de révision) i sąd gwardyi narodowéj (jurys de révision). Juryzdykcya administracyjna wyższa mieści się w radzie stanu (conseil d'État). Tutaj wszystkie juryzdykcye jednoczą się. Dla juryzdykcyi nadzwyczajnéj, rada jest sądem ostatniéj instancyi, a dla juryzdykcyi nadzwyczajnéj i ostatecznéj, jest sądem kasacyjnym. Procedura administracyjna w juryzdykcyach niższych jest bardzo prosta. Interesowany podaje na piśmie petycyą do prefekta, prefekt komunikuje ją przeciwnikowi, co staje za zapozwanie. Inkwizycya idzie drogą administracyjną. Przeciwnik składa obronę, a rada prefekturalna albo prefekt sądzą. W radzie stanu procedura jest więcéj zbliżona do procedury cywilnéj.

Rada stanu, obok juryzdykcyi administracyjnéj, ma juryzdykcyą rządową. Trudni się sądzeniem spraw kor-

sarskich (des prises maritimes) i duchownych, zwanych *appel comme d'abus*. Ona rozstrząsa, w razie wielkiéj naturalizacyi, czy cudzoziemiec oddał znakomite usługi Francyi, a w razie żądania zmiany nazwiska, czy krajowiec ma słuszne powody do tego. Ona także wywiera opiekę nad przemysłem, handlem i gminami. W tym celu rozstrząsa statuta spółek bezimiennych (sociétés anonymes,) bada czy założenie fabryki nie ogołoci miejscowości z wody albo opału; czy gminy mają słuszny powód do prowadzenia procesów. Rada stanu baczy, aby odpowiedzialność urzędników nie zamieniła się w próżne waśnie. Dla tego to, po rozpatrzeniu skargi, ma prawo odmówić pozwolenia zapozwania urzędnika. Prawo pociągnięcia do odpowiedzialności urzędnika jest rękojmią sprawiedliwości administracyjnéj. Na mocy tego prawa, urzędnik dozorowany przez rady municypalne, obwodowe i departamentowe, przez rady prefekturalne, ministra i radę stanu, może być jeszcze zapozwany przez prywatnego.

Administracya nie tworzyłaby całości i stałéj juryzdykcyi, gdyby nie było władzy regulacyjnéj, która mogłaby baczyć na zachowanie granicy między juryzdykcyą administracyjną a cywilną. Napoleon powierzył spory między juryzdykcyą administracyjną a cywilną (conflicts d'attributions et de juridiction) sobie samemu w radzie stanu. Krok ten zagroził sądownictwu cywilnemu zwrotem do dawnych *évocations au conseil*, atoli usunęły obawę postanowienia królewskie z dnia 1 Czerwca 1828 i 12 Marca 1831, ścieśniające wpływ monarchy i ministrów. Powyższe postanowienia przepisując jawność obrad rady stanu w téj materyi i zwołanie wszystkich sekcyi rady, dały sprawiedliwości cywilnéj rękojmię bezpieczeństwa a władzom publicznym pewność juryzdykcyi.

(Dokończenie późniéj.)

Dzieła Williama Shakespeare, przekładał Ignacy Kefaliński, Tom I. Wilno 1840 (Hamlet, Romeo i Julia, Sen w Wigilią św. Jana) — Tom II. 1841 (Makbet, Król Lear, Burza) — Tom III. (Henryk IV, dwie części) przekład Johna of Dycalp. —

Puste kobiety z Windsoru, przełożył John of Dycalp, wydanie Adama Zawadzkiego, Wilno, nakładem i drukiem Józefa Zawadzkiego.

Dwieście trzydzieści trzy lat ubiegło od śmierci wielkiego poety, którego dzieła po raz pierwszy, nie już pojedyńczo lecz całkowicie (1) zaczynają w polskiém tłomaczeniu wychodzić. Kto tylko tłomaczenia te, jakkolwiek słabe, jakkolwiek niedostateczne uważnie przeczyta, ten uczuje spólnie z nami żal głęboki, że poeta, który tak potężny wpływ wywarł na nowożytną poezyą, dziś dopiero staje się dostępnym ogółowi czytelników polskich; ten razem z nami dziękować będzie tłomaczom za czas

(1) Z dawniejszych tłomaczeń sztuk pojedyńczych znane są: *Hamlet* Bogusławskiego, *Makbet* Stanisława Regulskiego. *Romeo i Julia* Chodźki, *Król Jan* Józefa Korzeniowskiego, Franciszek Gąsiorowski przełożył *Makbeta* z Ducisa i na scenie warszawskiéj przedstawił. J. N. Kamiński tłomaczył *Hamleta*. Przytém wiemy o wielu przekladach dotąd nie wydanych. Pojedyńcze ustępy i sceny tłomaczyli Mickiewicz, Franciszek Morawski i inni.

poświęcony przepolszczeniu nieśmiertelnych utworów największego dramatycznego pisarza.

Moda i choroba wieku skłaniały dotąd większą część naszych poetów i rymotworców, z natury do tłomaczeń zbyt pochopnych, do zajmowania się przepolszczaniem dzieł, których znajomość albo bezużyteczną, albo szkodliwą dla nas była, z zaniedbaniem właśnie utworów, zdolnych rozbudzić drzymiący geniusz, i całe pokolenia popchnąć ku krainom rzeczywistego natchnienia i poezyi. Bo oprócz Homera, który w nieszczęśliwém tłomaczeniu Dmochowskiego stracił cały urok swojéj szczytnéj prostoty, próżnobyś szukał w foliałach tłomaczeń polskich innego poety, wznoszącego się nad pospólstwo podrzędnych pisarzy, panującego głębokością uczucia i myśli, znajomością świata i ludzi a pięknością formy nie nad swoim tylko, ale nad wszystkiemi wiekami. Sofokles i Eurypides są nam dotąd zupełnie obcy; nie mamy tłomaczenia Danta, tak dobrze jakbyśmy nie mieli tłómaczenia Miltona, a Shakespeare był dotąd nam znajomy jedynie z lichych obrabiań Ducisa i innych francuzkich bazgraczy. Ale za to wszystkie wodewile podrzędnych paryzkich teatrów, ba, nawet Kotzebuego komedye, wszystkie niedorzeczne romanse po całéj publikowane ziemi, karmiły i karmią młodzież naszą nieużyteczną strawą, każą błąkać się jéj bez celu po jałowych gruntach fałszu, przesady, lub chorowitéj sentymentalności. Mieliśmy wprawdzie od bardzo już dawna wzorowe tłomaczenia, pewnéj przynajmniéj części, uroczych fantazyi Ariosta i epopei Tassa, ale oba te dzieła żadnego wpływu nie wywarły i wywrzeć nie mogły na kierunek polskiéj myśli, bo rycerskość polskiego narodu nie miała nigdy nic wspólnego z awanturniczą rycerskością zachodu, a przodkowie nasi, bliżéj swojego byli domu w poważnych utworach rzymskich pisarzy, jak lekkich lub fantastycznych włoskiego geniuszu igraszkach. Tak więc, długie wieki prowadzeni mdłym odblaskiem cudownéj greckiéj literatury w rzymskich pisarzach, wpadliśmy, na domiar nieszczęścia, z całą prawie Europą, pod żelazne berło fran-

cuzkich arystarchów, goniąc za cieniem cienia, naśladując wyrodnych naśladowców kopiowanéj już literatury. Długo czekaliśmy na człowieka, któryby nas z tych bezdroży, z tych obłąkań wysuszających mózg i serce, na dobrą wyprowadził drogę. Coraz głębiéj nurzaliśmy się w błocie nienaturalności i rymowanego prozaizmu. Dopiero Adam Mickiewicz odwrócił się od literatury francuzkiéj i w bujno kwitnącéj pod ów czas literaturze niemieckiéj, znalazł obfitsze dla młodych natchnień żywioły.

Jeżli trudno wątpić, że Göthe i Schiller wykołysali Mickiewicza, mniéj jeszcze wątpliwą jest rzeczą, że wielka reforma literacka w Niemczech z końcem przeszłego wieku dokonana, była głównie owocem obznajmienia się Niemców z dziełami Shakespeara. Niemcy, mimo całéj swojéj zarozumiałości, przyznają się do tego, a trudno im nie wierzyć. I oni hołdowali Francyi, i oni zbierali długo nieliczne, puste kłosy, na jałowém polu pisarzy z wieku Ludwika XIV, dopiero tłomaczenie Shakespeara otworzyło im oczy, i poniosło ku wysokościom, na których widzimy ich dzisiaj. „Shakespeare jest chrzestnym ojcem naszéj dramatycznéj literatury,“ powiedział Gervinus, a my byśmy się nielękali dodać: Shakespeare jest chrzestnym ojcem całéj nowéj literatury niemieckiéj, a pośrednio, całéj nowéj literatury naszéj.

Jeżli taki jest wpływ Shakespeara, dla czegóż, zapyta nie jeden czytelnik, światło to ukrywało się tak długo pod korcem? W epoce działalności Shakespera (1590 — 1615), język angielski mniéj bez wątpienia był znany na stałym lądzie, jak jest dziś arabski lub chiński, a Anglia ówczesna niemogła sama oddać mu zupełnéj słuszności, bo poeta jego potęgi, w tamtym wieku, był zbyt nadzwyczajném zjawiskiem, aby mógł być od razu pojętym i ocenionym. Do téj ważnéj przyczyny, dodać należy drugą równie ważną historyczną przyczynę. Ledwo dzieła Shakespeara drukiem ogłoszono, wybuchły krwawe wojny, w których religijny pierwiastek tak wielką odgrywał rolę. Poezya w ogólności, a nadewszystko poezya dramatyczna, prześladowana jako szatański wymysł, ucichła na

pół wieku, a gdy z powrotem Szluartów ozwać się znowu było jéj wolno, olbrzymia Shakespeara postać mogła tylko przestraszyć skarłowaciałe dusze dworaków Karola II. Lekki francuzki dowcip, wymuskana rozwiozłość, a późniéj francuzka pompatyczność, rozpanoszyły się w Anglii, i chwastem swoim przygłuszyły na wiek cały piękny kwiat narodowéj poezyi. Kiedy z początkiem XVIII wieku zaczęto się zajmować dawniejszą literaturą, pisma Shakespeara stały się dla samych już Anglików do zrozumienia trudne. Aby piękności jego ocenić, trzeba było naprzód usunąć językowe trudności. Od czasów Popa, co lat dziesięć prawie wychodziła nowa edycya Shakespeara z nowym komentarzem, w którym głównie toczyła się sprawa o znaczenie pewnych wyrazów, o sens pewnych frazesów. Ledwo tu i owdzie napotkać można jaką psychologiczną lub estetyczną uwagę; żadnemu komentatorowi niemarzyło się nawet o pojęciu poety w całości. Dopiero gdy drobnostkowe te na pozór poszukiwania ułatwiły zrozumienie poety, krytyka dzieł jego na wyższe posunęła się stanowisko.

Historya europejskiego gustu, zapisana jest w historyi szekspirowskiéj krytyki, a jedném z dzieł najciekawszych i najużyteczniejszych, byłby obraz przemian opinii publicznéj w sądzie o Shakespeara dramatach.

W samym zaraz początku, krytyka Shakespeara była zwichnioną przez zastosowanie dowolnych zasad, wyciągniętych naprzód z greckich a następnie francuzkich dramatów. Była to właśnie epoka odrodzenia się starożytnéj literatury. Uczeni łakomo pożerali arcydzieła rzymskich i greckich pisarzy, a zachwyceni ich pięknością, popadli w łatwy do pojęcia i przebaczenia, jakkolwiek opłakany błąd jednostronności. Na domiar nieszczęścia, pojawiły się, w swoim czasie zbyt wysoko, jak dziś zbyt nsko cenione *klasyczne* tragedye Rasyna i Kornela. Odtąd przez długie lata zamknęła się krytyka w ciasnych granicach, dowolnie w dziedzinach sztuki pociągnionych, potępiając wszystko co przechodziło szczupłą skalę francuzkiego dramatu. Owcześni literaccy sędziowie najfał-

szywiéj pojęli przeznaczenie krytyki, i rolę sędziów gwałtem chcieli na rolę prawodawców przemienić, gdy krytyka nie może i niepowinna praw stanowić lecz tłómaczyć je tylko i do zachowania ich, o ile można, zbyt rozbujałe wyobraźnie przymuszać. Bo w rzeczy saméj, nigdzie jeszcze dla utworów sztuki nie pisano praw *a priori*, i choć był Homer, łatwo mogło nie być Arystotelesa. Zjawienie się każdego nowego oryginalnego poety może dać początek nowym prawom, którym nowego Arystotelesa potrzeba będzie. *Przepisy sztuki* nie mają, w sobie nic absolutnego, nic obowiązującego wszystkie pokolenia; są one tylko *wnioskami* od czasu do czasu przez myśl filozoficzną z doświadczenia wyciągniętemi a chwilowo uznanemi za najlepszy środek do osiągnienia *celów* poety. Jeśli publiczność wykształcona może się przez wieki zachwycać dziełami, którym zbywa na pewnych warunkach przez panujące krytyczne i estetyczne wyobrażenia za *konieczne* uznanych, nie dowodziż to fałszu mniemania *konieczności*? Nie dowodziż to raczéj, że warunki te są przypadkowemi nie istotnemi, że zależą od gustu, od zwyczajów epoki lub kraju, a nie od fundamentalnych zasad sztuki? „Jeźli szkoła romantyczna ma swoje piękności, mówi P. Guizot w przedmowie do tłomaczenia Shakespeara, więc musi mieć swoją sztukę i swoje prawidła. Cokolwiek ludzie uznają za piękne w sztuce, winno effekt pewnym kombinacyom, których tajemnice rozum nasz zawsze odkryć może, a o których potędze uczucie nasze najlepszym jest świadkiem. Użycie lub umiejętność tych kombinacyi stanowi to, co nazywamy sztuką. Shakespeare ma swoją własną; w dziełach jego odkryć ją należy, tam trzeba śledzić środki, których używa i cele do których dąży.“ O prawdach słowami P. Guizota objętych nikt dziś prawie nie wątpi, ale długie wieki zaprzeczała je zuchwale krytyka francuzka i samowładnie całą rządziła Europą. Dopiero od jéj upadku ustalać się poczęło mniemanie, że Shakespeare, jakkolwiek różny od Rasyna, równie jak on troskliwym był artystą, a nie ślepym, nieregularnym geniuszem, przypadkowo na piękne miejsca

natrafiającym, jak de Voltaire w swoich spółczesnych wmówić potrafił. Wszystkie ludy ugięły czoło pod jarzmem francuzkiéj krytyki. „Rzym niezupełniéj podbił świat swoim orężem, w dniach swojéj potęgi, mówi *Przegląd Edymburgski,* jak Francuzi europejską literaturę. Lecz ogólne panowanie na kruchéj stoi podstawie. Najście Germanów miało w obu przypadkach położyć koniec nienaturalnéj potędze, wrócić wolność Europie, a narodom narodowość. Lessyng był Attilą téj literackiéj rewolucyi." On pierwszy wskazał Niemcom miejsce na którém Shakespeare stać powinien, przez niego rozpoczęta reakcya do dziś dnia nie ustała. Tłomaczenie Wielanda przyszło w pomoc Lessyngowi; odtąd Shakespeare znalazł drugą ojczyznę w Niemczech. Göthe mistrzowską charakterystyką Hamleta przyłożył się najwięcéj może do okazania całéj głębokości poety, zamilkł późniéj, czy przestraszony jak to złośliwe utrzymują języki, wielkością ducha którego wywołał a przed którym własna jego bladła wielkość (1), czy dla jakiéj innéj przyczyny, ziarno raz rzu-

(1) Dziwne jest w tym względzie podobieństwo Göthego do Woltera. Göthe otworzył oczy Niemcom na cuda zamknięte w dramatach Shakespeara, a przerażony nagłym entuzyazmem swoich rodaków do angielskiego poety, którego tajemnice w części odsłonił, zaczął w starości pisać rozprawy dowodzące, że Shakespeare nie jest dramatycznym poetą. Usiłowanie było bez skutku; głos powszechny — niesłychana rzecz między Niemcami — przyznał właśnie pod względem dramatyczności wyższość Anglikowi nad Niemcem. Wolter także pierwszy między Francuzami zaczął mówić o Shakespearze, i wydał nawet *poprawne* tłomaczenie Juliusza Cezara. Na dany przez niego popęd, Francuzi zaczęli uczyć się po angielsku, a w 1776 Le Tourneur ogłosił pierwsze tłomaczenie Shakespeara. Publiczność, zwłaszcza młoda, chciwie rzuciła się do utworów wprowadzających ją na zupełnie nowy horyzont. Zabawną jest rzeczą czytać w korespondencyi Woltera gniew jego, na te wyraźne oznaki niknącéj chwały poetycznéj jego i jego poprzedników. Le Tourneura nazywa on „un misérable, un impudent imbecile, un faquin, ale to wszystko nic nie pomogło. Shakespeara czytamy i odczytujemy ciągle, kto dziś czyta dwa razy tragedye Woltera?

cone nie zostało bez owocu; dzień każdy zwiększał chwałę poety, a prelekcye Schlegla *o sztuce dramatycznéj* ugruntowały ją na zawsze. On dowiódł, że co drobne umysły za bezkształtność, za dzikość, za nieumiejętność uznawały, było dziełem głębokiego przekonania i najwyższéj sztuki, dla któréj jedynym, świętym celem jest poezya, a błyszczenie pożyczoną umiejętnością, a błędy chronologii lub geografii najobojętniejszą są rzeczą; on dowiódł, że Shakespeare nie był dzikim, potwornym geniuszem, lecz mistrzem niezrównanym, który na wszystkich dziełach swoich wyrył piętno najgłębszéj rozwagi, że jeśli dzieła jego dla małéj tylko liczby czytelników dostępne były, to dla tego jedynie, że świat cały obejmując, koniecznie wyższego umysłu w czytelnikach wymagały. Schlegel rozpoczyna właściwie zupełnie nową krytyczną szkołę, słusznie noszącą nazwę, *szkoły niemieckiéj.* Ma już on w sobie wszystkie przymioty i wady niemieckiéj natury: prawdziwą głębokość przy mglistych, dzwięcznych dla ucha lecz czczych dla myśli, bo w rzeczy saméj nic nie znaczących ogólnikach; zastosowanie oderwanych pryncypiów do dzieł, którym artyści sami żadnéj. niemieli pretensyi dawać nazwiska utworów filozoficznych *Filozofia sztuki* nikomu podobno bardziej jak nam Polakom niezaimponowała; zdaje się nam przecie, że zbyt daleko posuwając się po téj drodze ujmującéj nowością, możemy popaść w błąd równie niebezpieczny jak ślepe hołdowanie ojców naszych krytyce francuzkiéj. Korzystajmy z rad *filozofii sztuki*, lecz przedewszystkiém rozważajmy *dzieła sztuki*, a zgłębiając utwory szczęśliwe, wyprowadzajmy z nich prawidła ogólne bez względu na to, czy się zgadzają czy są przeciwne filozofii sztuki. Strzeżmy się mądrości, która w polityce umie wszystkie łotrostwa swoim dziurawym płaszczem osłaniać, a w literaturze znajduje formuły na obronę najwyraźniejszych usterków genialnego poety, jak n. p. gdy Ulrici dogmatycznie utrzymuje: że igraszki słów, na nieszczęście tak częste w Shakespearze *mają zawsze znaczenie a bardzo często bardzo głębokie znaczenie, bo są objawieniem głębokiéj, fun-*

damentalnéj i przyrodzonéj niezgody między życiem ludzkiém a prawdziwą jego myślą.

Do istniejących już tłomaczeń Wielanda i Eschenburga, Schlegel przydał swoje pod każdym względem wzorowe tłomaczenie, które jednak nie odstraszyło licznych następców od probowania sił swoich na utworach genialnego mistrza. Voss, Benda, Körner, Kauffmann, Tieck, Falk i. t. d. występowali ciągle z nowemi przekładami, a zawsze znajdowali chętnych czytelników, coraz nowe, w samém porównaniu tłomaczeń odkrywających piękności.

Przy coraz lepszém zrozumieniu poety, ostateczny sąd o jego utworach coraz wyższe przybierał stanowisko. Zbiór wszystkich pism krytycznych o dramatach Shakespeara znaczną utworzyłby już dziś bibliotekę, a długie, długie ubiegną jeszcze lata, nim się w nich ludzie jak w najkosztowniejszéj kopalni zagłębiać przestaną, bo dotąd najgorliwsi w téj pracy nie lękali się ze skromnością oświadczyć, że ledwo jednę żyłę z téj bogatéj miny wyczerpać im się udało. Każdy nowy krytyk odkrywa nową wartość, nową piękność, rozpędza jednę chmurę przesądów, która dotąd szpeciła i osłaniała szlachetną postać poety. Göthe, Herder, Lenz, Merk, Gerstenberg, Schleglowie, Tieck, Schiller, poeci, krytycy i filozofowie pracowali spólnie a wytrwale nad wykazaniem całéj wartości szekspirowskich dramatów. Przed kilku laty ogłoszone dzieło Ulricego *Dramatyczna sztuka Shakespeara i jego stosunek do Calderona i Göthego,* wielkie zrobiło w Niemczech i Anglii wrażenie; dziś angielscy krytycy zarzucają mu zbytek filozoficzności, a *Przegląd Edymburgski* utrzymuje, że pismo to przepełnione kwintessencyą filozofii niemieckiéj, rozprawiające wiele o stosunkach Shakespeara do chrześciaństwa a mało o jego stosunkach do sceny, powinno tytuł swój zmienić na „Kazania o Shakespearze.“ Gervinus znany zaszczytnie z swojéj historyi poezyi niemieckiéj, ogłosił, po ukończeniu frankfurtskiego karnawału na którym bogdaj się był dla swojego honoru nieznajdo-

wał, dwa pierwsze tomy szacownego dzieła: *Shakespeare* (Leipzig. Verlag von Wilhelm Engelmann. 1849).

Gervinus czuł jednostronność dotych czasowéj krytyki; pojął, że Shakespeare jest nie tylko poetą, lecz *dramatycznym* poetą; że każdą sztukę jego należy rozbierać naprzód jako poemat, a następnie jako dzieło sceniczne, wedle koniecznych warunków sceny; że dotąd pierwsza tylko część tych obowiązków krytyki dopełnioną była, druga została dotąd prawie nietknięta; że jeżli Shakespeare, jako poeta, objaśniony był wszechstronnie, jako dramatyk mierzony był naprzód wedle reguł klasycznych francuzkiéj tragedyi, następnie wedle przepisów filozofii niemieckiéj, nigdy wedle zasadniczych pojęć o celach dramatycznego poematu. We wstępie protestuje on przeciw zbytkowi filozoficzności w sądzie o dziełach poety. Ciekawe jego zdanie przytaczamy dosłownie. „Zdaje mi się jednak, że nasza filozoficzna metoda nie na swojém jest miejscu, jeśli ją stosować chcemy do zapatrywania się na poezye wikwitłe w wieku, którego własna filozofia szukała wiedzy na zupełnie innych, jak nasza drogach, jeśli użyć jéj chcemy do sądu o dziełach poety zdrowéj myśli, dla którego oko i ucho były jedynym przewodnikiem i sternikiem śród świata i życia, który, jakkolwiek bogaty w filozoficzną głębokość, od filozofii daléj się jeszcze jak Göthe trzymał. Filozofia powinna w równéj odległości od poezyi jego zostać, bo zawsze dziwne zrobi wrażenie suche pole spekulacyi, zbyt blisko dosięgające téj świeżéj życia zieloności.“ Wierny tym zasadom Gervinus, rozpoczyna nową epokę krytyki oceniającéj Shakespeara nie jako poetę, jak dotąd prawie w Anglii, nie jako filozofa poetycznego, jak dotąd w Niemczech, lecz jako dramatycznego poetę, a nie wątpimy, że z tego nowego stanowiska nowe odkryjemy w nim piękności.

Kto pisze dramata, niedość dla niego być poetą w ogólném znaczeniu wyrazu, lecz trzeba zarazem być *dramatycznym* poetą. Dramatów nie można sądzić jako prostych poematów, bo dramat jest częścią sztuki ściśle o-

graniczoną samą w sobie, ma cele właściwe i właściwe w sobie środki ich dopięcia, *jest poezyą zastosowaną do celów sceny*, a poemat najpiękniejszy w czytaniu, poetyczny, malujący wybornie charaktery, zawierający pierwszego rzędu poetyczne piękności, złym jest dramatem jeśli celów tych nie dopełnia.

Jakież są te cele dramatycznego poematu? Pierwszym a niewątpliwym warunkiem jego doskonałości jest: *interesować i bawić słuchaczy*. Jakiekolwiek mogą być jego wyższe cele, jeśli nie bawi, jeśli nie zajmuje uwagi, nie dopnie ich nigdy. Nikt nie idzie na teatr dla nauki; na to jest kościół i szkoła — ksiądz i profesor; dramatyczny poeta może być jednym i drugim pośrednio tylko. Dwa są więc elementa dramatu: zabawa publiczności i poetyczna piękność. Środkami są namiętności, charaktery i poezya, kombinowane w sposób zachwycający publiczność, ale zarazem porywający duszę ku wyższym krainom, co jest główném zadaniem sztuki. Bo sztuka nie jest i być nie może samą zabawą, celem jéj jest przez zabawę poprowadzić nas wyżéj, wywołać wszystkie lepsze uczucia w ludzkiém sercu drzymiące. Poeta więc dramatyczny odwołując się do pospolitego instynktu ciekawości, do rozkoszy, jaką nam zmysłowe sprawiają wrażenia, do sympatyi jaką człowiek dla człowieka czuje, usiłować powinien zająć naszą uwagę, ale zarazem napełnić wyobraźnią naszą obrazami doskonałéj piękności, zostawić nas pod stałym wpływem wielkich myśli i szlachetnych dążności. Są pisarze, którzy jedynie o zabawie publiczności myślą; ci dopełniają pierwszego warunku dramatycznéj poezyi i zawsze liczne ściągają tłumy słuchaczy, lecz wyrzekając się wyższych celów sztuki, chwilowéj tylko używają sławy i nasyciwszy raz ciekawość, bezpowrotnie w niepamięci giną; są znowu pisarze w drugiéj gubiący się ostateczności; jak tamci poświęcali poetyczną prawdę dla scenicznego efektu, tak ci poświęcają sceniczny efekt dla poetycznéj rachuby, i żeby czytelnika zachwycać, na śmierć słuchaczów nudzą. Napróżno krytycy rozprawiać będą o wielkiéj wartości

tragedyi, o jéj prawdzie, poprawności wedle reguł sztuki, poetyczności języka i myśli, jeśli żadne serce nie bije, żadne oko łzą się nie zwilży, publiczność w zuchwałéj z arystarchem opozycyi zostanie zimną, może nawet ziewać się poważy, a pewno nigdy nie wróci. Zadaniem więc dramatycznego poety jest oba przymioty połączyć. Im wyższe jego dążności, im wznioślejsze jego cele, tém większe trudności skojarzenia teatralnéj z poetyczną doskonałością. Trudność ta tak jest wielką, że pokonanie jéj należy do najrzadszych literackich tryumfów. Gervinus rozpoczyna szereg krytyków, których ma być celem wykazać, że i pod tym względem Shakespeare między dramatycznymi poetami pierwsze trzyma miejsce, i że *sztuka* jego, najpiękniejsza jego chwała, gruntuje się na cudownném połączeniu wielkiéj poezyi z wielkim scenicznym efektem.

Oddając należne pochwały Gervinusowi, niechcemy utrzymywać, że on pierwszy uczuł całą sceniczną wartość arcydzieł Shakespeara, bo francuzcy pisarze od dawna już zajmowali się głównie scenicznym efektem jego dramatów; zamiarem naszym jedynie było wykazać charakterystyczną jego różnicę, jego usiłowanie zjednoczenia dwóch oddzielnych dotąd kierunków krytyki. Już w roku 1829. Alfred de Vigny na teatrze francuzkim dał tłomaczenie Otella, jako próbę: „czy scena francuzka otworzy się dla nowożytnéj tragedyi, przedstawiającéj w swoim pomyśle szeroki obraz życia, zamiast ścieśnionego obrazka katastrofy intrygi; w swoim układzie charaktery, a nie role; w swoim wykonaniu styl poufały, komiczny, tragiczny a niekiedy epiczny.“ Próba udała się; sztuka przedstawioną była sześćdziesiąt przeszło razy. Dumas tłomaczył Hamleta „à ses heures perdues“ jak się ze zwykłą sobie zarozumiałością wyraził, usiłując mu dać wedle swojego rozumienia pełniejszy *scenicznego efektu* koniec. Deschamps zmienia kilka scen w Makbecie poświęcając poetyczną wartość niższym rachubom teatralnego wrażenia. Podobne usiłowania są zapewne niedorzeczne i występne, lecz dowodzą dążności *praktycznéj* francuzkich

krytyków i pisarzy; mamy nadzieję, że zbliża się nakoniec czas, w którym krytyka potrafi oddać całą sprawiedliwość geniuszowi Shakespeara.

U nas, na wielką, nieobżałowaną szkodę naszéj dramatycznéj poezyi, Shakespeare, jakeśmy to już wspomnieli, zupełnie był nieznany, bo ogłoszone dotąd ramoty, często brane w obrabianiach, niby poprawkach francuzkich, na żadną nie zasługują uwagę. Shakespeare przecie należy do szczupłego zastępu poetów, którzy w obcéj szacie najmniéj tracą. Są poeci — i bardzo znakomici poeci — u których forma tak wielką gra rolę, że najlepsze nawet tłomaczenie, najpiękniejszy kwiat z korony ich wyrywa. Nie trudno byłoby nam i w naszéj literaturze znaleść ludzi, których od dawna i nie bez powodu przywykliśmy uwielbiać, a przecie, gdybyśmy teżsame ich utwory, które nas zachwycały i zachwycają, w obcym odczytali języku, pytalibyśmy się z podziwieniem, czy to jest rzecz ta sama, która na nas w polskiéj formie tak głębokie robiła wrażenie. Ale Shakespeare, jakkolwiek porywający formą, najmniéj winien jest jéj piękności, bo nie dźwięk i harmonia zapewniają mu pierwsze miejsce między poetami wszystkich krajów i wszystkich wieków, ale nieskończona głębokość myśli i uczucia, któréj najmierniejsze nawet tłomaczenie zniweczyć nie potrafi. Świat cały i ludzkość w dziełach jego, jak w zwierciedle się odbijają. Wprowadza on nas we wszystkie przemiany wewnętrznego, duchowego życia pojedyńczych osób, w działania wszystkich klas i stanów, we wszystkie odcienia prywatnego i familijnego życia, we wszystkie koleje publicznego i historycznego rozwoju narodów. Żaden historyczny filozof niezajrzał głębiéj w życie rzeczypospolitéj rzymskiéj, w mityczne czasy pierwotnéj bretańskiéj ludności, w awanturniczy świat romantycznych czasów rycerskich, w treść ojczystéj angielskiéj historyi. W zapatrywaniu się na wszystkie epoki, na wszystkie te najróżnorodniejsze stosunki, poeta jest tak wyższy nad wszelki przesąd i stronnictwo, nad swój lud i czas swój; sąd jego jest tak pewny i zdrowy w rzeczach sztuki,

moralności i polityki, że należyć się zdaje do daleko późniejszego, dojrzalszego i wyrozumialszego wieku. Każda z jego postaci jest żyjącym organizmem, który wedle ogólnych praw przyrody inaczéj być, inaczéj działać nie może. Czasy i narody, Rzymianie i Francuzi, Anglicy i Włosi, wszystkie stany i wieki, królowie i żebracy, bohaterowie i pospólstwo, mędrcy, błazny, wszystko to staje w najwyraźniejszych odcieniach przed zdumioną czytelnika duszą. Każdy stan duszy, od obojętnego i poufałego żartu do najdzikszéj wściekłości i rozpaczy, cała historya uczuć, cały ciąg wypadków i stopniowanie namiętności od pierwszego pojawu do nieuniknionéj katastrofy, wszystko to w tym czarodziejskim świecie w niewyczerpanéj występuje obfitości. W obrazowaniu wszystkich stanów i stanowisk rozwija on tak głęboką mądrość, tak przenikliwą znajomość człowieka, że bardziéj niż którykolwiek inny pisarz, filozof lub moralista z profesyi, zasługuje aby go wdzięczny czytelnik wybrał z ufnością za przewodnika w najburzliwszych nawet swojego żywota zdarzeniach. Bo nie on jest poetą płaczliwego a fałszywego sentymentalizmu, który tak okropnie od lat kilkunastu po Europie grasuje; nie on jest poetą urojeń i marzeń bez prawdy i celu; on zawsze stoi na silnéj podstawie rzeczywistego świata, a jędrnością i zdrowiem swojego ducha wpływa potężnie na wyleczenie serc naszych i głowy. W swoich najidealniejszych nawet i najoderwańszych przedstawieniach, usiłuje on ciągle przygotować nas do życia jak ono jest w rzeczy saméj, wzmacnia i stali nasz umysł do czynu i działania, ale zarazem wznosi dusze za granice rzeczywistości, na jasny horyzont wiecznego dobra i wiecznéj piękności; uczy jak świat kochać, a razem wedle jego wartości, to jest mało go cenić, panować nad nim, a w potrzebie umieć się obejść bez niego.

Wszystkie te nieporównane piękności w każdym przekładzie myśl czytelnika uderzą, byle tłomacz przekładać tylko a nie poprawiać raczył. Na takim właśnie przekładzie zbywało nam dotąd, dobroczynny téż wpływ Shakes-

peara na dramatyczną literaturę Europy, nie dobiegł jeszcze naszéj ziemi. Gdyby np. jego sztuki historyczne stały się były przedmiotem rozważań Felińskiego lub Wężyka, może historyczna przeszłość nasza, tak martwa w ich tragedyach, byłaby poczuła jednę choć iskrę ożywiającego poetycznego natchnienia. Niedość jest odkryć w historyi lub powieści, legendzie lub podaniu, przedmiot tragedyi lub dramatu. Każdy przedmiot stanie się rzeczywistością pod mistrza piórem; najpiękniejszy przedmiot zmarnieje w jałowéj deklamacyi, jeźli pisarzowi chcącemu umarłą przeszłość do życia wywołać, zbywa na żywém pojęciu i przeniknieniu treści rzeczy tak konieczném dla poety, zbywa na boskiéj sztuce zdolnéj ponieść świeże i wiosenne tchnienie życia do zatęchłych i zapleśniałych grobów. Wiemy dobrze że twórczy geniusz potrafi sam w sobie znaleść wszystkie warunki poetycznéj potęgi, ale podobnego rodzaju umysły, w całéj historyi ludzkiego rodu rzadkiém są tylko zjawiskiem; większość pisarzy i poetów, tylko po jasnéj drodze przez półbogów tych wskazanéj, do przybytku sztuki dobiega. Grecy i Rzymianie do samego końca w Homerze jak niezgłębionym oceanie czerpali świętą wodę natchnienia, a my naszych młodych dramatycznych poetów po tę wodę do Shakespeara odsyłamy. Dramat jest najsłabszą w naszéj literaturze stroną; czytajmy i rozważajmy wielkiego mistrza utwory, a nie wątpię, że znajdziemy człowieka, który potrafi nauczyć się w nich tajemnicy, i ten nowy najpiękniejszy kwiat do naszéj poetycznéj przyrzuci korony.

Z żalem wyznajemy, że tłomaczenie, które w nas powyższe myśli wywołało, nie jest takie, jakiegobyśmy literaturze naszéj życzyli. Ale początek każdy trudny, i wdzięczność należy się ludziom za pierwszą próbę użytecznéj pracy, dokonanéj z dobrą wiarą i miłością poety na każdéj stronnicy widoczną. Uderza nas przedewszystkiém brak prawie zupełny ścisłego rozbioru sztuk ogłoszonych. Nie chodzi nam tu wcale o wykazanie pojedynczych piękności, bo te odkryje każdy czytelnik choć jedną kro-

pelką poetycznego uczucia obdarzony; ale o ogólny pogląd na cudowną ekonomią każdego w szczególności dramatu, któréj pojęcie dla tego właśnie jest trudne, że w najgłębszych tajnikach natury ludzkiéj czerpana, wymaga długiéj pracy i rozpamiętywania, nim w całym blasku przed czytelnika myślą wystąpi. Czuł dobrze potrzebę tę tłomacz, gdy w krótkiém objaśnieniu na końcu Romea i Julii 1) zamieszczoném, tak się wyraża: „Znakomity nasz pisarz w swoich *Wędrówkach literackich* pod artykułem *Romeo i Julia* zrobił z novelli Ludwika da Porto piękny wyciąg, którego porównanie z tą tragedyą będzie zajmujące; chociaż, jak sądzę, nie w tym względzie, aby się przekonać jak wiele cudzego a wiele swego w naszym dramatyku, ale raczéj aby się nauczyć jak geniusz umiał korzystać z tego prostego opowiadania; takowe porównanie nie tylko nie będzie szkodliwe dla niego, ale owszem, wyświeci jego twórczy talent. Prawda, że cały wypadek wyjęty z poematu p. Brooke, czyli z powieści da Porto; lecz tu właśnie dziwić się potrzeba, jak w te porozrzucane i martwe novelli posągi wlał ducha i życie; na jego rozkaz czarnoksięzki powstały z grobów wszystkie osoby, a te charaktery, te obyczaje, ten głos najżywszéj namiętności, nadały im życie nieśmiertelne." Tak jest w rzeczy saméj, tu głównie chodzi o wyświecenie twórczego talentu pisarza; ale nie dość jest o tém napomknąć, nie dość ogólnikami nas zbywać, bo nie każdy czytelnik temu trudnemu przedsięwzięciu sprosta; tłomacz z saméj potrzeby oswojony z licznemi w tym względzie poszukiwaniami, przysposobiony własną pracą przepolszczenia, może i powinien na pomoc mu pospieszyć, bo tym tylko sposobem czytanie poety zrobi rzeczywiście użyteczném dla nowego pokolenia pisarzy. Zdaniem naszém podobnego rodzaju praca jest

---

1) Najpiękniejszą częścią ogłoszonéj dotąd pracy Gervinusa jest bez wątpienia rozbiór Romea i Julii. Kto chce poznać całą wartość téj tragedyi, życzymy mu odczytać kilkadziesiąt stonnic Gervinusa, które się nam wydają zawierać najwięcéj uderzających trafnością postrzeżeń.

nieodzowną przy każdém nowém tłomaczeniu Shakespeara. Do tego nie potrzeba, jak to ze zgorszeniem w objaśnieniach do Hamleta czytaliśmy, „kronik i innych zapasów," bo każda lepsza angielska edycya Shakespeara daje wszystko co poeta w kronikach lub powieściach znalazł, ale potrzeba ścisłego, krytycznego rozbioru charakterów i wykazania, że cały ciąg wypadków każdego dramatu jest fatalném następstwem tych charakterów, że wszystko co się stało tak stać się musiało dla téj prostéj przyczyny, że charakter człowieka prawie zawsze osobistą jego historyą dostatecznie tłomaczy. Objaśnienia Hamleta przez p. B. dzięki Göthemu, w części przynajmniéj wymagania nasze zaspakajają; wszystkie inne sztuki czekają jeszcze na prawdziwie użyteczny komentarz.

Pan Kefaliński, zdaniem naszém, nadzwyczaj był nieszczęśliwy w wyborze gatunku wiersza do swoich tłomaczeń. Hamleta i Romeo i Julią pisze dziesięcio-zgłoskowym wierszem z natury już swojéj niewdzięcznym dla deklamacyi, któréj nigdy pisarz *dramatyczny* z uwagi spuszczać nie powinien, a zmuszeni jesteśmy dodać, że sztuka tłomacza nie wiele ułatwiła ciężkie zadanie aktora. Sam pan Kefaliński, nie wiemy dla czego, do koniecznych trudności przydał dobrowolną. Wiadomo, że Shakespeare pierwszéj jedynie młodości dzieła rymowym wierszem układał, późniéj w rzadkich tylko okolicznościach rym w dramatach jego występuje. P. K. jednak szuka ile możnosci rymu, co wcale nie podnosi wartości przedsięwzięcia, a mimo licznych kłopotów wdzięczności czytelnika niewywołuje. Bo i jakże mamy być wdzięczni za wiersze takiéj n. p. siły: —

Mam tu truciznę, lecz jéj przedanie
W Mantui ściąga śmierci karanie.
albo Zbrodniu osądzon, areszt ci kładnę,
Umrzesz, poniesiesz karę przykładnę.
albo Gdybyś przytomna zemsty wzywała
Tobyś do tyla mnie nie wzruszała i. t. d. i. t. d.

bo długo jeszcze bardzo szereg podobnych wierzy przytaczać bylibyśmy w stanie.

Krótkość wiersza i niepotrzebnie wywołana trudność rymu zmuszają także często p. K. do opuszczania wyrazów niezbędnych do dokładnego wyrażenia myśli; los ten napotyka głównie zaimki np:

Honor! jeślibym mamką nie była,
Rzekłabym: rozum z piersi wyssałaś.

co się ma znaczyć: na honor, gdybym nie była *twoją* mamką rzekłabym i t. d. albo

Za mąż nie pójdę, gdy pójdę, klnę się
To za Romea, choć wiesz nie cierpię,
Nie za Parysa.

co znaczy: za mąż nie pójdę, a jeśli pójdę to za Romea choć wiesz, że *go* nie cierpię i t. d.

Gatunek wiersza w Makbecie i Królu Learze jeszcze coś straszniejszego przedstawia. P. K. wybrał tu sobie wiersz dwunasto-zgłoskowy, w taki jednak sposób, że ile razy wypada średniówka albo końcówka męzka, wiersz staje się jedenasto, a czasem, jeśli średniówka i końcówka są męzkie, dziesięcio-zgłoskowym. Jeśli tłomacz chciał tym sposobem poezyi swojéj wojenną nadać szorstkość, udała mu się sztuka, bo radzibyśmy poznać człowieka zdolnego znośnie dla słuchacza uszu jakikolwiek ustęp przeczytać. Dla przykładu przytaczamy kilka wierszy:

Książe będzie dziś? Z lepszéj rzecz najlepsza!
Samo to się tłoczy w mój napięty cel!
Ojciec straż nasadził dla pojmania brata;
Masz dość ślizką rzecz którą muszę zrobić;
Szczęście i pośpiechu, chciejcie tylko działać!
Bracie! jedno słowo; — bracie, mówię, chodź! i t. d.

Zbytnia chęć literalnéj wierności pociąga za sobą dziwne często skutki. Shakespeare np. mówi: and *the chief head* of this post-haste i t. d. P. K. tłomaczy: i *pierwszą głową* nadzwyczajnego tego pospiechu. Shakespeare mówi:

Leave *wringing* of your hands, peace, sit you down,
And let me *wring* your heart.

Kto pozna piękne te wiersze w następném zbyt tylko wiernem tłomaczeniu:

Rąk nie *załamuj*, usiądź spokojnie,
Pozwól, że serce pani *załamię*.

Back, *foolisch* tears, back to your *native* spring;
Wash they his wounds with tears?

Wiersze te tak brzmią w tłomaczeniu:

Łzy *głupie* wróćcie w źródło *domowe;*
Łzy myją rany?

And chastise with the valour of my tongue
All that impedes thee from the *golden round.*

P. K. tak tłomaczy:

Mowy méj moc wnet oczyścić zdoła
Drogę z wszelkich tam do *złotego koła.*

Nie zbywa także na usterkach przeciwnéj natury: na fałszywém rozumieniu lub zupełném nierozumieniu tekstu np.

But here upon this bank and shoat of time,

P. K. tłomaczy:

Lecz na ławie téj w obecności szkole

gdzie *shoat* wziął za *school,* a *bank* wyraz tu znaczący *mieliznę* zmienił na szkolną ławę. Schakespeare powiedział: lecz tu na téj mieliźnie, na tych rafach czasu.

Is he despatch'd (czy już zabity?) P. K. tłomaczy: już odprawion? To hell, allegiance! w tłomaczeniu dosyć brzmi dziwnie: Diabli niech porwą wierność, przysięgę!

Fain would I dwell upon form, fain deny
What I have spoken; but farewell compliment!

(Chętnie chciałabym formy zachować, chętnie, chętnie odwołać co powiedziałam; ale piękne słówka, bywajcie zdrowe!) P. K. tak tłomaczy:

Formy zatrzymać najszczerzéj życzę,
Słowa zaprzeczyć chcę poprzednicze;
Ale pozory bywajcie zdrowe!

I would I were thy bird!

(Jak chciałbym twoim być ptakiem!) — tłomaczy p. K:

Byłbym twój ptaszek, droga istoto!

Znajdujemy tam także, you are as good as a chorus, tłomaczone: Książe, tak dobrze znasz sztukę jak sami aktorowie; gdy S. mając na myśli chór w starożytnéj tragedyi, który zwykle wiele okoliczności tłomaczył, pisze: mógłbyś chóru miejscu zastąpić, a co dziwniejsza, with mirth in funeral, brzmi po polsku: z mirtem w pogrzebie. S. mówi tylko: z radością na pogrzebie.

Lecz najnieszczęśliwszy jest p. K. w scenach komicznych. Shakespeare zbyt często igra z słowami, a ile razy mu się to zdarzy, litość bierze na opłakane próby tłomacza by pokonać te prawdziwie wielkie trudności. Przykładów dawać nie chcemy, bo i tak już dosyć zajęło miejsca suche przytaczanie pojedyńczych ustępów, ale nie wahamy się powiedzieć, że scen komicznych w p. K. tłomaczeniu czytać nawet nie podobna.

Szczęśliwy pod tym był względem John of Dycalp, który właśnie wybrał dwie sztuki swojemu umysłowemu odpowiadające usposobieniu. Nieskończone trudności jakie dla polskiego tłomacza przedstawia Falstaf, nie raz Dycalp szczęśliwie pokonać umiał, a choć potknął się nie raz, to zawsze jednak da się czytać, i nigdy na zarzut niedorzecznéj płaskości nie zasługuje. Lecz John of Dycalp jest humorystą z profesyi, i często handluje podejrzanéj wartości towarem. Nie raz zachciało mu się wedle słów Shakespeara fiołkom woni przydawać, do poety dowcipu swój własny przyrzucać. Gdzie na to duch dramatu zezwalał, łatwo przebaczyć zuchwałemu przedsięwzięciu, ale zmuszeni jesteśmy protestować przeciw konceptom w zupełnéj sprzeczności stojącym z wyraźnemi celami poety. Przykład najlepiéj myśl naszą objaśni. Najmniejszéj wątpliwości nie podpada, że książe Henryk mimo swojéj rozpusty, mimo swoich towarzyszy, zachował wzniosłą duszę i szlachetne serce, i nigdy uczynkiem lub słowem nikczemności się nie dopuścił, i w rzeczach honoru o żartach nie myślał. Dycalp przecie tak tłomaczy następne miejsce z pierwszéj części Henryka IV:

Prince Henry.

Well then, once in my days I'll be a *mad-cap.*

Falstaff.

By the lord, I'll be a traitor then when thou art king.

P. Henry.

I care not.

Ks. Henryk.

Jeśli tak, więc raz w życiu odważę się na *podłość.*

Falstaff.

A więc, Boże mi dopomoż, że jak tylko zostaniesz królem, ja staję na czele spiskowych.

Ks. Henryk.

Mniejsza o to! a *ja cię sprysnę cheresem.*

Niech czytelnik porówna z oryginałem miejsca podkreślone, i niech się nauczy jak niebezpieczno Shakespeara poprawiać. Równie nieszczęśliwie użyty *humor* w uroczystym wierszu ks. Henryka.

Meet and ne'er pat, till one drop down a corpse.
po polsku: *Spotkać* się musim na wieczne *rozstanie.*

albo słowa króla o Glendowerze:

Whose daughter, as we hear, the earl of March
Hath lately *married.*
Który i córkę, jak nam dziś donoszą,
Za hrabię Marchu umiał *wyczarować.*

Trudno *jednostronniéj* Shakespeara tłomaczyć, trudno nieszczęśliwiéj swoje własne umysłowe usposobienie, do obcych utworów przenosić. Nie zbywa także na miejscach fałszywie zrozumianych. Damy kilka przykładów. Lady Percy mówi do męża:

And *start* so often when thou sit'st *alone.*
I *drżysz* tak często, gdy sądzisz żeś *jeden.*

Percy Hotspur drży gdy sądzi że jeden! czy być może! — Ks. Henryk mówi:

I will redeam all this *on Percy's head* (wszystko to głowa Percego mi zapłaci!)

po polsku: Hańbę tę głową *okupię jak Percy.*

Food for powder, tłomaczy Dycalp: proch i popiół, S. powiedział: strawa dla prochu.

W prologu do części drugiéj czytamy:

And this worm-eaten hold of ragged stone,
Where Hotspur's father, old Northumberland,
Lies *crafty-sick*.

W tłomaczeniu:

Aż do zamczyska porosłego mchami,
W którém Hotspura ojciec, Northumberland
Z *wprawą starości* udaje chorego.

Co to się znaczy: udawać chorego z wprawą starości? I have heard better news, tłomaczy Dycalp: otrzymałem najlepsze jak tylko żądać można wiadomości. Właśnie czego Shakespeare powiedzieć nie chciał,

And knit o'er *powers* to the *arm* of peace

Dycalp tłomaczy dość zabawnie:

I broń weźmiemy na ramię pokoju.

The season change their manners, as *the year*
Had found some months asleep, and leap'd them over.

po polsku: Pory zmieniły swą koléj jak gdyby
Rok zszedł i zbudził odwieczne, uśpione
Jakieś miesiące.

co się nic nie znaczy, gdy poeta powiedział jasno: jak gdyby rok przeskoczył przez kilka uśpionych miesięcy.

Poprzestajemy na przykładach, przekonani, że dostatecznie sąd nasz udowodniliśmy. Mimo wszystkich usterek, tłomaczenie Johna of Dycalp ma wielkie przymioty, nieskończenie większe od tłomaczeń p. Kefalińskiego, i jeśli samo nie odpowiada naszemu wyobrażeniu o polskiém tłomaczeniu Shakespeara, to bez wątpienia nieoszacowaną będzie pomocą dla szczęśliwego w przyszłości tłomacza. Natchnieni szczerą miłością poezyi, zmuszeni byliśmy nie raz przykrą prawdę powiedzieć, mimo tego jednak kończymy, jakeśmy rozpoczęli, podziękowaniem za pierwszą próbę trudnéj do wykonania pracy; daleką

jest ona od doskonałości, ale mimo tego, niepłonną mamy nadzieję, że bez owocu nie zostanie. Większą daleko zdaniem naszém jest zasługą, mierne wielkiego poety tłomaczenie, niż najpiękniejszy przekład niedorzecznego francuzkiego romansu; bo pierwsze, jakkolwiek kamienistą jeszcze drogą, prowadzi nas do pięknéj krainy sztuki, gdy drugie złoconym papierem proch tylko i zepsucie osłania.

Kilka uwag

nad rozprawą

O władzy duchownej,

(Listy o rządzie i prawodawstwie polskiém — List VI.)

umieszczoną

w numerze lipcowym Przeglądu.

Choć w wielu rzeczach innego jesteśmy zdania jak autor *Listów o rządzie i prawodawstwie polskiém*, radzi umieściliśmy pracę dotyczącą się najważniejszych w dziejach narodowych pytań. Zastrzeżenie położone w przypisku, że sposobu widzenia *listów* do pewnego stopnia nie podzielamy, dostatecznie jak myślimy odpowiedzialność naszą zakryło. Nawiasowo w artykule poświęconym rozbiorowi *Dziejów rzeczypospolitéj polskiéj J. Moraczewskiego*, znalazła się krytyka stanowiska zajętego przez autora *listów;* obszerniejszego sporu nie widzieliśmy dotąd potrzeby rozpoczynać. W téj chwili rzecz się ma inaczéj. Ostatni *list* tak ocenia przeszłość religijną Polski, że raz ku obronie przekonań jakie wytrwale głosimy, powtóre by wyraźność naszego stanowiska utrzymać, czujemy się zmuszeni postawić zdanie naprzeciw zdania. W prawdzie mieliśmy prawo zaraz *list szósty* drukując,

u spodu stronnic uwagi poumieszczać; wydało nam się jednak, że będzie poważniéj i dla szanownego autora *Listów* uprzejmiéj, kiedy osobny artykuł rozprawie z nim poświęcimy.

W liście *O władzy duchownéj*, uważać należy na stanowisko ogólne, tudzież na cały tryb dowodzenia, na dobór faktów historycznych i na sposób w jaki te fakta ugrupowane i powiązane z sobą zostały (1).

---

(1) Proste omyłki, także wątpliwe ocenienie faktów historycznych z zadaniem artykułu naszego związku nie mających tu wytkniemy.

Autor powiada, że arcybiskupowi gnieźnieńskiemu „służył „tytuł księcia narodu czyli prymasa." Tak w Polsce dawnéj rzeczy nie rozumiano. Arcybiskup Uchański powoływał się w czasie bezkrólewia po śmierci Zygmunta Augusta, na Kazimirza Wielkiego, który jednego z jego poprzedników pierwszym księciem nazywał; ale wedle ogólnie przyjętego znaczenia, tytuł prymasa tylko się do kościelnego odnosił pierwszeństwa. Prymasów duchownych miały i inne kraje. W Polsce prymas był zastępcą króla, szczególniéj po roku 1572; ale nie był pierwszym księciem narodu.

Autor mięsza pikardów z kalwinami (str. 11). Pikardowie czyli adamici, byli zupełnie oddzielną sektą. Na innem miejscu (str. 13) Modrzewskiego Frycza między protestantami wymienia. Modrzewski nie był nigdy protestantem. Powiada też, że Pinczów zwano Atenami Sarmacyi. Nie Pinczów ale Raków tém wyszukaném mianem czczono.

Czytamy na stronnicy 15, że zbory zwoływane przez protestantów, a mianowicie zbór Sandomirski w roku 1570., nigdy nie otrzymały ostatecznéj sankcyi. Inaczéj uczą nas dzieje. W Sandomirzu nastąpiła zgoda choć nie zupełna (ów głośny Consensus Sandomiriensis). Lutrzy odrzucili porozumienie; ale Czescy bracia i kalwini dochowali tranzakcyi; Była przeto jakakolwiek sankcya.

Pisze autor: „Stefan Batory sprowodzał do Polski naj„zawołańszych teologów katolickich, jako to: Muretów, Sygo„niuszów i Ursynów." Nigdy ci uczeni mężowie w Polsce nie byli. Albertrandi wspomina tylko o zaprosinach Muretowi i Lipsiusowi przesłanych. Z resztą nie godzi się Mureta, Sigoniusza i Ursyna między teologów liczyć. Byli to mówcy, poeci, filologowie, historycy, przewódzcy odrodzenia nauk starożytnych, ale wcale nie pisarze kościelni.

Zaraz w rzeczy stanowiska ogólnego, różnica między nami a autorem *Listów* jest niezmierna. Dla nas religia katolicka stanowi pierwiastek ożywczy narodowości polskiéj, spójnią i podstawę wszystkiego co powstało i logicznie rozwinęło się w dziejach polskich; dla niego katolicyzm jest zapewne rzeczą szanowną, wszakże podlega idei państwa, jeśli nie przemiennym względom mądrości politycznéj. My dla wyznania naszych ojców i naszego, czujemy przychylność i zaufanie; my szanujemy w ciągu dziejów hierarchię kościelną i choć nie zamykamy oczu na pojedyncze nadużycia, choć ludzkie błędy tu i owdzie w historyi kościoła widzimy, spokojnie przyzwalamy na naturalne rozwinięcie się swobód duchownych. Więcéj powiemy, jakkolwiek uznajemy, że potrzebna była w Polsce władza silna, że w ogóle władzę szanować należało, ile razy napotykamy w przeszłości starcie między urzędem świeckim i urzędem duchownym, a powody tego starcia do sfery wyższych interesów odnieść można, skłonniejsi jesteśmy słuszność temu

---

Znajdujemy w liście wzmiankę, że Władysław IV. przyjął dedykacyą biblii protestanckiéj Radziwiłła (str. 33). — Należało w tém miejscu dodać następujące objaśnienie. Biblia zwana Radziwiłłowską, wyszła w roku 1563 i została przez Mikołaja Radziwiłła Zygmuntowi Augustowi przypisana. Że w biblii téj, szczególniéj w przypiskach znajdowały się zdania unitarskie, nawet protestanci nie chcieli jéj używać. Za Władysława IV. oczyszczony i poprawiony text, za staraniem zborów ewangelickich w Wielkopolsce wydrukowany został. Na czele tego to wydania, Krzysztof Radziwiłł (roku 1632) dedykacyą królowi Władysławowi umieścił.

W notach jest (nota 456), że Andrzéj Bniński, biskup poznański kazał ściąć księży czeskich. Księża ci nie ścięci ale spaleni zostali. Różnica mała ale ważna dla akuratności historycznéj. W nocie 484 wspomina autor o odpowiedzi piśmiennéj danéj braciom czeskim. Zygmunt August osobiście ich przyjął i w czasie posłuchania dał odpowiedź. W końcu w nocie 495 czytamy, że historya o dwóch Polakach kandydatach na stolicę apostolską, o Hozyuszu i Jerzym Radziwille głosi. Był jeszcze trzeci i to daleko pierwéj, Kurowski, arcybiskup gnieźnieński, obecny na soborze konstancyeńskim.

ostatniemu urzędowi przyznać (1). Już to dla każdego kraju mniéj nam się wydawała i mniéj nam się wydaje straszna władza czysto moralna, mająca wyraźny interes by się cnoty krzewiły, zresztą odległa od namiętności i miejscowych wpływów mniéj zależna, jak władza cywilna, z naturalnéj kolei rzeczy ludzkich często natchnieniom samolubstwa, przywidzeń nawet podlegająca, niedbająca o cnotę ale o korzyść i ludzi za narzędzie używać skłonna. Autor *Listów* wychodzi z przypuszczenia gallikańskiego, jeśli nie protestanckiego, że kościół dążył zawsze do przywłaszczeń i że trzeba było dążenie to powściągać; z podejrzliwością zapatruje się na każdy fakt wpływu duchowieństwa dowodzący; zaś ile razy niezgodę między dwoma władzami spostrzega, wyraźnie się oświadcza za władzą świecką. My także, skoro znajdują się pisarze stawiający nam alternatywę, jesteśmy przekonani, że odstąpienie katolicyzmu byłoby największe nieszczęścia na Polskę sprowadziło, że w żadnym razie zaprzeczenie tradycyi, indywidualizm, ład monarchiczny na materyalnych tylko interesach oparty, nie mogły jéj od upadku uratować, w końcu, że Polska protestancka nie byłaby w stanie wyrobić w sobie téj siły oporu, jaka od lat sześciudziesiąt tak chlubnie ojczyznę naszą znamienuje. Autor *Listów* obojętnie alternatywę, o któréj mowa uważa, dla protestantyzmu jest wyraźnie stronny, chwilami nawet zdaje się skłaniać do opinii Waleryana Krasińskiego, który niezważając na przykłady wielkich historyków zapuścił się w przypuszczenia, a jak wiadomo doszedł do wniosku, że protestantyzm zbawienie Polsce przynosił.

Jeżeli zwrócimy uwagę na metodę historyczną autora *Listów*, znajdziemy, że jego sposób nie zaspokaja oczekiwań ludzi rządzących się sprawiedliwością i umiarkowaniem, że nie przedstawia rękojmi wszechstronnego po-

---

(1) Zastrzegamy sobie, że szukamy w historyi i chcemy w historyi prawdy zupełnéj, dobréj wiary jak najskrupulatniejszéj. Potępiamy wszelkie naciągania, choćby w najlepszych widokach robione. Prawda nigdy uczciwym rzeczom zaszkodzić nie może, nawet wtedy, kiedy słabe ich strony odkrywa.

szukiwania, i że raczéj obudza polemiczną drażliwość, jak naukowe zadowolnienie daje. Choć przystojnie uważny w wyrażeniu, pisarz nasz ciągle okazuje stronniczą namiętność. Na żadne rozmiary nie uważa; raz zbytnie opowiadanie uogólnia, drugi raz wdaje się w drobiazgi, byle tylko zarzut jakiś, jakieś podejrzenie uzasadnić. Najważniejsze prawne i historyczne kwestye zbywa częstokroć kilku wyrazami, przytacza zaś anegdoty, jakich nie zna, jakie odsuwa poważna historya. Tu i owdzie grupuje fakta wedle najgorszych tradycyi malowniczéj szkoły historycznéj francuzkiéj. W doborze cytacyi okazuje wielką łatwość, najrozmaitsze książki za powagę uznaje. Widząc jak o zasługach duchowieństwa przemilcza, a jak skrzętnie zbiera wszystko co zaciemnia przeszłość kościoła polskiego, możnaby pomyśleć, że nie *o władzy duchownéj* ale *przeciw władzy duchownéj* chciał pisać. Takie przynajmniéj wrażenie ta praca krytyczno-ujemna czytelnikowi po sobie zostawia.

Sąd nasz może się surowym wydać — postaramy się go uzasadnić szczegółowo list cały rozbierając.

Wszyscy już prawie zgadzają się dzisiaj, że oświata katolicka związała pewną część Słowian w naród polski, że katolicyzm z cywilizacyą zachodu nas spokrewnił. Autor *Listów* nie zaprzecza oczywistości, ale zamiast coby miał zacząć od przedstawienia wielkich zasług kościoła i duchowieństwa w Polsce, w kilku wyrazach na fakt przystaje. Za to wylicza długi szereg przywilejów jakie stanowi duchownemu służyły i wielki stosunek dóbr duchownych do świeckich z przyciskim wskazuje. Zdawałoby się czytając cały ten ustęp, że duchowieństwo w Polsce do większéj jak w innych krajach potęgi doszło. Rzecz tymczasem ma się zupełnie inaczéj. Częstokroć to co autor poczytuje za przywilej, jest tylko prawem kościoła, postanowieniem soborów. Co się tyczy posiadłości kościelnych, sam autor przesadzone wyrażenie textu własnego, powagą Załuskiego w przypisku objaśnia; pocóż tedy nieuzasadnione twierdzenie przytoczył.

Znajdujemy w liście: „biskupi przypisywali sobie przy-

„wilej dozorców władzy świeckiéj.“ Orzeczenie to wydaje nam się bardzo niewłaściwe. Biskupi jako strażnicy dogmatu i moralności, mieli zawsze i mają obowiązek w obec władzy zasad chrześciańskich bronić, osobnych praw nigdy na to nie było potrzeba, nigdy takie prawa jako przywilej nie istniały.

Powiada autor: „Po nieszczęsnym podziale kraju po„między dzieci Krzywoustego, biskupi kierowali polityką „stronnictw; ich tylko zabiegom przypisywał Władysław, „najstarszy syn Krzywoustego, że go naród z kraju wy„rzucił i sklejenia napowrót rozerwanych części królestwa „nie dopuścił.“ — Zrobimy tutaj uwagę, że Władysława cały naród nie chciał, i że trudno było sprzyjać książęciu, który przeciw swoim poddanym raz ruskiéj drugi raz niemieckiéj pomocy szukał, i którego związki powinowactwa do cesarskiego interesu przywiązywały. Że sklejenia napowrót kraju życzyło sobie duchowieństwo, że rozumiało potrzebę połączenia całéj Polski w jedno, pokazało się to za Kazimirza Sprawiedliwego, pokazało się za Władysława Łokietka. Śmiało powiedzieć można, że w epoce podziałów tylko duchowieństwo myśl jedności rozumnie i wytrwale popierało; religia przechowując jedność moralną i hierarchiczną, najbardziéj zrośnięcie się rozerwanych części ułatwiła.

Czytamy w *liście*: „bezżeństwo księży przeszło w Pol„sce w obyczaj cokolwiek późniéj acz w innych krajach.“ Wyrażenie *„przeszło w obyczaj“* zdaje się kryć omyłkę. Od czasów Grzegorza VII prawo kościoła nakazało bezżeństwo. Prawo kościoła istniało, wyjątki więc jakie się zdarzyć mogły, były zgwałceniem prawa a nie rzeczą obyczaju. Zresztą i na Zachodzie nie zaraz się ten przepis kościelny ustalił.

Powiada autor: „Bolesław Chrobry sam sobie pier„wszą koronę na głowę włożył bez przyzwolenia papie„ża.“ My utrzymujemy, że Bolesław był koronowany, i namaszczony przez biskupów, o czém wyraźnie *annales quedlinburgenses* pod r. 1025 świadczą. Brak bulli nie jest wcale dowodem, że papież koronacyi nie upoważnił.

Prawda, niemiecki kronikarz wspomina o nadużyciu i przywłaszczeniu; wyrazy te przecież mogą się do braku pozwolenia cesarskiego odnosić.

Co się tyczy wyklęcia Bolesława Śmiałego i pozbawienia go królewskiego tytułu, już Naruszewicz uważał, że jest to fakt watpliwości mocno podpadający. Największy annalista kościelny Baroniusz przyznaje, że szukał dowodów tego podania historycznego, ale że ich wcale nie znalazł.

Jest w *liście*: „Władysław Łokietek nie powrócił do „dostojności królewskiéj jak z mocy inwestytury papie„zkiéj.“ W Odoryku Rajnaldzie pod r. 1319 znajdujemy bullę Jana XXII., do Gerwarda biskupa władysławskiego; w niéj czytamy, że papież wstrzymuje się od wyrzeczenia stanowczo co do przełożonego sobie przez Polaków i Łokietka żądania. Łokietka arcybiskup gnieźnieński bez jawnego pozwolenia papieża w Krakowie ukoronował. Papież wszakże musiał skrycie na koronacyą zezwolić, bo pisząc w następnym roku do Władysława, tytułem królewskim go pozdrowił. O inwestyturze mowy nie było. Nawiasem wspomniemy, że z bulli papiezkiéj pokazuje się, iż Polacy ówcześni uznawali kraj swój hołdowniczym stolicy apostolskiéj.

Powiada nasz autor: „fundusze duchowieństwa służyły „częstokroć papieżom do popierania własnych ich wojen „bądź przeciwko cesarzom, bądź przeciwko Turkom.“ Na ten zarzut dostatecznie fakta historyczne powszechnie uznane odpowiadają. Wojny przeciw cesarzom i przeciw Turkom były wojnami wolności chrześciańskiéj i oświaty, przeciw samowoli i barbarzyństwu. Papieże wyobrażali zwykle interes wszystkich ludów chrześciańskich i nic słuszniejszego, jak że te ludy orężem i pieniędzmi pomagały ich usiłowaniom. Wojny, których pobudką była osobista ambicya papieżów, stanowią wyjątek w dziejach papiezkich. W téj mierze chętnie się powołujemy na nowszych protestanckich historyków.

Autor listów rozwodzi się o summach, jakie kurya rzymska z dochodów biskupstw wakujących, z annat i z dy-

spens ściągała i powtarza przy téj okoliczności zwykłe oskarżenia o chciwość. Nie przeczymy, że w pojedyńczych przypadkach, rzadszych jak mniemają niechętni, oskarżenie podobne da się usprawiedliwić; ale uogólniać zarzut, jestto popełniać wielką niesprawiedliwość. Rzym pobierał znaczne dochody z całéj Europy, to prawda, ale Rzym całéj Europy sprawy piastował tak, jak w całéj Europie naukowe i religijne zakłady wspierał. Zkądinąd utrzymujemy, że ze wszystkich rządów Europy, niepoddających finansów pod kontrolę publiczną, najskrupulatniéj funduszami sobie powierzonemi stolica apostolska szafowała. Kilku tylko papieżów przez nepotyzm dopuściło się nieuczciwéj rozrzutności.

Mówi autor: „jak wszędzie tak i w Polsce wyższe „dostojeństwa duchowne były początkowo elekcyjne. Pra„wo wyboru biskupów należało do kapituł. System ten „jednak trwał tylko do r. 1461. Szlachta zgromadzona „w Brześciu kujawskim, powierzyła nominacyą biskupów „królom. Prawo więc nominowania na wyższe dostojeń„stwa duchowne przeszło w Polsce do władzy świeckiéj „na lat 50 wcześniéj niż we Francyi.“ Autor rad jest téj zmianie; odpowiada ona jego pojęciom i stanowisku państwa i władzy świeckiéj do kościoła. My przeciwnie ubolewamy nad nią. Nam się zdaje, że kościół na téj podległości stracił jeśli nie samoistność to ową niezależność, ową godność, któréj mu w obec wszystkich, w obec rządzących i w obec podwładnych tak jest potrzebna. Od téj epoki niejeden duchowny, by biskupstwo otrzymać stał się dworzaninem królewskim. Kraj nic nie zyskał na poniżeniu pierwszych dostojników kościelnych a religia wiele na niém straciła.

Autor mówi, że Władysław Jagiełło na zjeździe w Jedlnie r. 1430 wyjednał *prawo* nakazujące imać i karać Hussytów. O tém prawie nic nie wiemy. Znamy przywilej Jagiełły z Jedlna, swobody nowe duchowieństwu i rycerstwu nadający, nieznamy prawa przeciw Hussytom. W ogóle autor Władysława Jagiełłę jako prześladowcę herezyi wystawia. Twierdzi, że ***karał Hussytów***, że ***konfisko-***

wał dobra ich stronnikom. Niema w historyi wzmianki o podobnych rzeczach. Korony czeskiéj król nie przyjął, to prawda; mniemamy, że miał słuszność a mniemamy to wraz z najznakomitszym z czasów Jagiełły człowiekiem, Zbigniewem Oleśnickim, wszakże pozwolił bratu swemu Korybutowi do Czech się udać i nawet zastępy polskie przeciw Krzyżakom niemieckim prowadzić. —

Czytamy *w liście:* „Władysław Warneńczyk odnowił „w Polsce r. 1436 inkwizycyą świętą i za jego panowa„nia na zjeździe korczyńskim r. 1437. ustanowiono na „heretyków karę zdrady kraju (perduellionis).“ Robimy naprzód uwagę, że w roku 1436. Władysław Warneńczyk był jeszcze małoletnim; co się tyczy inkwizycyi oświadczamy zdanie, że w dziejach polskich śladu jéj czynności nie ma. W każdym razie, jeżeli inkwizycya chwilowo istniała, to na podobieństwo Rzymu jako trybunał duchowny, przekroczenia dogmatyczne sądzący a nie jako władza karząca, narzędzie namiętności świeckich i politycznych konieczności. Raz jeszcze powtarzamy, że nigdzie nie napotyka się śladu prześladowań w imię inkwizycyi w Polsce. Co się tyczy uchwały na zjeździe korczyńskim, pozwolimy sobie wyrazić wątpliwość czy jakakolwiek w r. 1437. zapadła. W księgach praw znajdujemy tylko (sub anno 1438) wspomniany przez autora, akt konfederacyjny, który szlachta wyższa w Korczynie spisała i w którym oświadcza, że *przeciw każdemu, ktobykolwiek niespokojności wszczynał, sądom się opierał i odszczepieństwa od kościoła katolickiego się chwytał, wszyscy zgodnie staną nie zważając, czy to krewny, czy przyjaciel;* akt ten jak widzimy, ma raczéj polityczne niżli religijne znaczenie.

Sam autor zaraz na następnéj stronicy przyznaje, że naród w owéj epoce oswojony był z wyobrażeniem tolerancyi, że w Polsce nie prześladowano Żydów, że trzecia część mieszkańców wyznawała spokojnie schizmę grecką, w końcu, że Hussyci a nawet i poganie swobodnie sobie w kraju żyli.

Niżéj powiemy o przykładach nietolerancyi, które autor listów tak skrzętnie pozbierał, wpierw jeszcze do innych przejdziemy faktów. Mówi autor: „lud uciśniony „jarzmem poddaństwa, wierny swojéj prostocie, kłaniał „się z pokorą ołtarzom, które mu wskazywali jego dzie„dzice i kapłani, ani się może domyślając grzechu w przyj„mowaniu form tłomaczonych mu zapewne w kształcie „oczyszczonéj, nie zaś odmienionéj wiary.“ Nie jest właściwém twierdzić, jakoby lud nasz w XVI. wieku był uciśniony jarzmem poddaństwa. W owym czasie zawiązywał się dopiero stosunek poddaństwa taki, jaki późniéj nastał. Nie można téż mówić, że panowie zniewalali włościan do przyjmowania nowego wyznania. Ministrowie protestanccy objawiali na zborach protestanckich podobne życzenia; ale szlachta dyssydencka wyraźnie po kilka kroć odmówiła współdziałania.

Są w dziejach polskich piękne postacie, których wielkości historya tak jak ją dotąd piszą, uznać nie umie albo nie śmie. Lada uprzedzenie, lada namiętnostka czasów nowszych, wystarcza, by dziejopisów naszych popchnąć w koléj zuchwałéj niesprawiedliwości względem najzasłużeńszych narodowi mężów. Proste pojęcia o szlachetności, o zacności moralnéj, o umysłowéj wysokości wystarczyłyby, żeby do słusznego i mniéj poziomego wyobrażenia doprowadzić; darmo, wzgląd na opinią dzisiejszą, systematyczna zaciekłość, nieśmiałość czasem, najopaczniejsze widzenie rzeczy nasuwają. Wspomnieliśmy już Zbigniewa Oleśnickiego, prawdziwie bronzową, nieco nawet kolosalną osobistość, osobistość jakich w całéj Europie w piętnastym wieku mało. U nas nikt jéj z dzisiejszych uczcić nie zdołał. Teraz chcemy poświęcić kilka wyrazów obronie innego wielkiego biskupa, Stanisława Hozyusza, dla którego jeszcze się niesprawiedliwszą powszechność polska pokazuje. Stanisława Hozyusza pobożności, cnotom, i nauce najzaciętsi nawet przeciwnicy między współczesnymi hołd oddawali. Pierwszy on stanął na wyłomie, żeby bronić zagrożonéj przez reformacyą religii katolickiéj, i pismami, wymową, czynnością

niezmordowaną, a szczególniéj przykładem świątobliwego życia niezmierny wpływ wywarł.

Hozyusz był nie tylko gorliwym kapłanem ale i gorącym Polakiem. Historya świadczy, że jako biskup warmiński z całą usilnością starał się, by pruskie kraje do ściślejszego połączenia ze wspólną ojczyzną nakłonić. Godności i znaczenia nie pragnął ten mąż znakomity; od dworu się usuwał, przedewszystkiém pilnując pasterskich swoich obowiązków. Zaszczyty, przyjaźń papieżów i ludzi sławnych, uszanowanie świata uczonego przyszły go szukać w jego ustroniu. Trudno o postać któréjby rysy moralne w śmielsze się uwydatniały kształty. I jakżeż nowsi pisarze obchodzą się z Hozyuszem? Oto z tylu pism jego czytają listy jedynie; w listach zaś wyszukują pojedyńczych okresów, surowością zdania nacechowanych. To im wystarcza, by pospiesznie naszkicować osobę, która ze wszech miar i dla własnych zalet i dla znaczenia w dziejach na poważne studium zasługuje. Wyjątki z listów Hozyusza mało czego dowodzą. Pamiętajmy, że w ocenieniu współczesnych wypadków, kiedy jeszcze czynność i gorliwość do namiętnego sądu pobudza, trudno się ustrzedz omyłki, trudno dobrotliwą spokojność zachować. Hozyusz był człowiekiem swojego czasu, nierozumiał tolerancyi prawdziwéj tak jak jéj nikt wtedy między gorliwymi katolikami i między gorliwymi protestantami nie rozumiał. Obwoływanie tolerancyi służyło za pokrywkę, za broń, często za wymówkę obojętności; ale tolerancya w szesnastym wieku ani się na przekonaniu, ani na prawdziwém pojęciu miłości chrześciańskiéj nie opierała. Dziś jeszcze w religii i polityce, jakże jest mało prawdziwéj tolerancyi!

Historyk godny tego nazwiska, jeżli szlachetne współczesne pojęcia za podstawę przekonań swoich bierze, oceniając pojedyńczych ludzi każdéj epoki, nie do całéj wysokości tych pojęć ich przymierza, raczéj szuka jaka była równia najszlachetniejszych charakterów ówczesnych, i dopiero tą skalą mierzy postacie wieków przeszłych (1).

(1) Osobne studyum o Hozyszu jest jedną z najpiękniejszych

Hozyuszowi dzisiejsi pisarze przebaczyć tego nie mogą, że pierwszy do Polski jezuitów sprowadził. Tu znowu natrafiamy na przedmiot, którego jeszcze u nas nikt w historyczny sposób nie traktował. Trudno jest bardzo pisać w Polsce o jezuitach, bodaj nie przyszła jeszcze pora poważnéj o nich rozprawy, a to z powodu, że nikt jeszcze spokojnego i sprawiedliwego usposobienia do téj kwestyi nie przynosi. Dotąd nasi pisarze zbierają wszystkie podejrzane anekdoty, wszystkie zarzuty najzawziętszych przeciwników zakonu jezuitów, i bez krytyki jedne i drugie podają. Tak postąpił sobie w ostatnich czasach Krzyżanowski, za którym, jak się często we wszystkich gałęziach historyi polskiéj dzieje, inni nie sprawdzając przepisują. Autor *listów* bardzo surowo jezuitów sądzi. Przyznaje w prawdzie, że oni uratowali katolicyzm w Polsce, ale mimo tego, a może dla tego, od samego początku z niechęcią ich wspomina. Nienawiść posuwa do tego stopnia, że im zarzuca (zarzut haniebny i niczém nieusprawiedliwiony), iż za Zygmunta III. za pieniądze obcéj sprawie służyli. Przepisuje w tém Niemcewicza, który z resztą nigdy za naukową powagę nie uchodził. Kiedyż ujrzemy prawdziwą, równie wolną od stronności jak i od nienawiści, historyą jezuitów? Kiedyż przyjdzie pisarz, który będzie miał śmiałość bój z przesądami stoczyć? Naszém zdaniem, należy uczcić wielkie zasługi jezuitów na początku siedmnastego wieku, uszanować ich świętych i ów zastęp uczonych, mówców, poetów, który zaszczycił Polskę wobec cudzoziemców, uznać cnoty i umysłowe zasługi zakonników w walce z protestantami; wynieść prace ku obronie polskiéj narodowości, na krańcach ojczyzny naszéj do samego końca przez nich przedsiębrane. Z drugiéj strony, trzeba surowo osądzić zwątlenie, w jakie jezuici popadli od chwili, w któréj protestantów zwyciężyli, bierność, jaką w najtrudniejszych czasach dzie-

---

prac historycznych, jakie przedsięwziąść można. W ogóle niezmiernie by się u nas posunęła prawdziwa umiejętność historyczna, gdyby uczeni polscy chcieli wziąść się do pojedyńczych biografii; wyszlibyśmy tym sposobem z wielu ciasnych i ustawnie powtarzanych ogólników.

jów naszych pokazali, niższość naukową (szczególniéj jeżeli porównamy jezuitów polskich z francuzkimi i włoskimi) między samymi zakonnikami i w szkołach jezuickich na początku ośmnastego wieku wyraźną (a), w końcu brak obywatelskiéj siły, jaki czuć u nich w ostatnich czasach ich istnienia w Polsce. Bądź co bądź, póki o zakonie katolickim, okrytym opieką najwyższéj władzy kościelnéj, u tylu ludzi szlachetnych będącym w poszanowaniu, o zakonie, którego członkowie wyznają zasady ewangelii i próbie tych zasad każdego czasu podlegają, nieprzyjaciele i przeciwnicy mówią i piszą, jakby o jakiéj tajnéj korporacyi, złożonéj z ludzi zawsze gotowych nadużywać wszelkiéj świętości w widokach panowania nad umysłami, zdolnych się nawet zbrodni w tym celu dopuszczać; póki występki albo błędy pojedyńczych członków zakonu, jako następstwo systematu jezuickiego wskazują, rzeczywistego wypadku z przedsiębranych poszukiwań spodziewać się niepodobna. Prawdziwéj bezstronności, pogodnego umiarkowania potrzeba, żeby ten przedmiot historycznie rozpatrzyć. Rzecz jest niezmiernie ważna, bo tak długo jak się jéj wszechstronnie nie rozjaśni, ani myśleć o napisaniu dziejów polskich z siedemnastego i ośmnastego stulecia.

Autor *listów*, że do innego przejdziemy przedmiotu, w szczególny sposób kwestyą dziedziczności lub obieralności tronu w Polsce, z kwestyą religijną pomięszał. „W Szwecyi, powiada, zwyciężyła dziedziczność i protestantyzm, w Polsce obieralność i katolicyzm.“ To przystosowanie usprawiedliwić się rozumowaniem nie da i tylko po-

---

(a) Godzi się zrobić uwagę, że akademia krakowska, o któréj sporach z jezuitami tak wiele dzisiaj historycy polscy wspominają, tudzież że akademia zamojska, żadnych umysłowych wielkości w epoce upadku nauk u jezuitów polskich nie wydały. Obie te akademie umiały przywilejów swoich przeciw jezuitom bronić, w téj walce rozwinęły wielką energią; cóż im przeszkadzało w naukowém współzawodnictwie przeciwników zwyciężyć?

Zkądinąd, jest powszechnie wiadomo, że w chwili rozwiązania zakonu jezuitów, polscy jezuici mieli znowu znakomitych uczonych w swojém gronie.

kazuje dobrą wolę piszącego dla protestantyzmu. Nie duchowieństwo ale Jan Zamojski zaprowadził z pomocą drobnéj szlachty taką obieralność jaka się instytucyą narodową stała. „W czasie wyboru następcy po Zygmuncie Au„guście, są słowa autora, duchowieństwo rzymskie użyło „całéj swéj energii na przeprowadzenie kandydata przy„chylnego wierze.“ Przecież wiadomo, że najznaczniejsi kandydaci byli obadwa katolikami. Co więcéj, legat papiezki Comendoni, ze względu na tureckie sprawy i wszyscy Polacy, którzy z nim trzymali, nie Henryka Walezego ale Austryaka forytowali na króla. Nie dość jeszcze na tém, utrzymujemy, że protestanci polscy sprzyjali wyborowi Henryka (rzecz tę łatwo sprawdzić), równie jak ich bracia francuzcy, którzy z widoków politycznych chcieli się go pozbyć z Francyi i mieli nadzieję, że koléj następstwa na tron odmienić zdołają.

„Korona, mówi autor, dostała się księciu, który był „jednym z głównych uczestników rzezi S. Bartłomieja „we Francyi.“ Na inném téż miejscu znajdujemy: „Jeżeli „pożądanym był dla niektórych Henryk Walezyusz, u„czestnik rzezi Ś. Bartłomieja, pożądańszy był jeszcze Zy„gmunt III. tercyarz zakonu towarzystwa Jezusowego.“ Kogóż nieuderzy dwukrotne o rzezi Ś. Bartłomieja z wyraźnym przyciskiem wspomnienie? Wszakże oskarżając trzeba dowodami oskarżenie poprzeć. Byliż w Polsce tacy, coby rzeź S. Bartłomieja za rzecz dobrą poczytywali? W pierwszéj chwili, dopóki nie dowiedziano się o właściwym charakterze tego potwornego politycznego nie religijnego dzieła, dokonanego przez stronnictwo Katarzyny Medicis, ze stronnictwem katolickiém, późniejszém stronnictwem Ligi nic wspólnego nie mające, mogło wielu ludzi dać się ułudzić ogłoszeniom dworu francuzkiego (owego zepsutego dworu, który wcale o interesie religii nie myślał, i często z protestantami przeciw katolikom się łączył), mogło uwierzyć, że król francuzki uprzedził tylko wybuch sprzysiężenia hugenotów. Kiedy się jednak o prawdzie przekonano, oburzenie stało się powszechném. Przypomnijmy sobie, że poseł Henryka, biskup Montluc w mowie mianéj do

senatu polskiego, bronił Henryka z zarzutu wszelkiego w krwawym tym wypadku udziału. Prawda, w senacie zasiadało wielu dyssydentów, ale z drugiéj strony, nie byłżeby poseł tego drażliwego punktu całkiem pominął, gdyby katolicy a mianowicie biskupi, okazywali skłonność do tłomaczenia Karola IX? Przytacza autor, mówiąc o elekcyi Henryka, o biskupie płockim, anekdotę mało znaczącą a bardzo podejrzaną. Nawet w dziele większych rozmiarów nie byłaby ona na swojém miejscu, cóż dopiero w krótkiéj rozprawie. Przywiedzenie jéj w liście tylko nieprzyjaznego usposobienia dowodzi.

Czytamy następnie „dyssydenci nie mogąc wyborowi zapobiedz, poprzestać musieli na zawarowanéj sobie tolerancyi.“ Przy wyborze Henryka, nie tolerancyą wyznań, ale porównanie wyznań co do praw i wolność sumienia uznano.

Stefana Batorego stawia autor obok Henryka IV. we Francyi; powiada o nim, że *był to człowiek transakcyi*, że *dla szczęścia poddanych zrobił ofiarę z własnych opinii* i t. d. Wyjąwszy tego, że oba prawdziwą rycerskością się odznaczali i że oba zmienili wyznanie, niewidzimy jakie podobieństwo między rozpustnym Henrykiem a surowym i pobożnym Stefanem upatrzyć można. Mówi jeszcze autor, że Stefan Batory stał się twórcą nieznanéj wówczas wolności, wolności sumienia. Niebyło to dzieło Stefana, ale konfederacyi 1572. roku. —

Stefan jeden z największych królów Polski, kochany był równie od duchowieństwa jak od ludzi oręża i głębszych polityków. Najznakomitsi ówcześni wyobraziciele duchownego i świeckiego kierunku, Karnkowski i Zamojski stale mu sprzyjali. Zkądinąd jezuici niemogli jak tylko wielbić króla, który im dawał dowody największego zaufania, który powierzył ich pieczy akademią w Wilnie, kolegia w Połocku, Rydze i Klausenburgu, który im nawet synowca swego na wychowanie oddał. To wszystko nieprzeszkadza, że nasz autor pisze: „umysły głębiéj „rzeczy widzące pojmowały, że król taki, jak Stefan Ba„tory nieodpowiada jeszcze ówczesnym potrzebom katoli-

„ckiego kościoła.“ Jestże w tém prawda historyczna? Ale przypatrzmy się lepiéj, tu niechodziło o Stefana; autor przygotowywał zwrót krasomowski i chcąc wydatniejszym ustęp o przyjściu Zygmunta III. uczynić, mniéj ścisłego omówienia sobie pozwolił. „Przezorność, są jego „słowa, radziła wcześnie myśleć o przyszłym następcy, „radziła nietylko go upatrzyć ale jeśli być może, wyko„łysać.“ Daléj następuje obraz młodych lat Zygmunta, drobnemi szczegółami, z których większéj części sprawdzić niepodobna, upstrzony. Cała jednak fantasmagorya o przezorności, o upatrzeniu, o wykołysaniu upada w obec prostych historycznych faktów. Jest rzeczą niezaprzeczoną, że podczas elekcyi, która po śmierci Stefana nastąpiła, legat stolicy apostolskiéj, jezuici, z razu nawet Karnkowski sprzyjali sprawie Maxymiliana. Szalę na stronę Zygmunta, nie kto inny jak Zamojski przeważył. Zamojski zaś był sobie przedewszystkiém polityk, zatrącał nieco pogaństwem epoki odrodzenia nauk i pewnie jezuitom nie pomagał.

Zygmunt III., jakkolwiek w poczet większych historycznych postaci liczyć go niemożna, należy także do rzędu ludzi niesprawiedliwie u nas sponiewieranych. Jego historyk, Niemcewicz był mu zawzięcie nieprzychylny. Siarczyński mało się osobistością samego króla zajmuje Wszyscy dotąd przedstawiają tego książęcia tylko ze strony wad jego i niedostatków. Całości charakteru monarchy, który tak długo panował i prawie epokę jedną dziejów naszych wyobraża, nikt się schwycić nie starał. Zapewne Zygmunt III. ani zdolności znakomitych, ani przymiotów jednających serca nie posiadał; pobożność miał ponurą, cnoty gruntowne ale bez wdzięku; choć prawdziwie wspaniały na sercu i na umyśle, choć umiarkowany w pomyślności, w nieszczęściu godności pełen, choć do łaskawości zawsze skłonny, nie umiał tego wszystkiego w porę, nie umiał w sposób należyty pokazać. Był silny w przedsięwzięciu, zdołał wytrwale jednéj wielkiéj myśli (myśli uratowania katolicyzmu w Polsce) służyć, wszakże nieugiętość charakteru posuwał do uporu w dro-

bnych rzeczach i tém ludzi zrażał. W polityce szczerością sobie szkodził. W Szwedzkich sprawach brakło mu wyższego politycznego natchnienia, brakło rycerskiéj dziarskości, do matactwa zniżyć się nie chciał. Nie rozumiał transakcyi z Panem Bogiem i z sumieniem własném. Wyrzucają mu, że synowi nie pozwolił przejść na wiarę schyzmatycką, że go do Moskwy nie posłał. Zaiste jest to jeden z pięknych faktów historyi polskiéj. Godzi się wątpić czyby Władysław mógł się był utrzymać na tronie moskiewskim. Król tymczasem dał najpiękniejszy przykład jak interes i rachuby chwilowe zasadom wyznawanym poświęcać należy. Nikt jeszcze dotąd sprawiedliwie łagodności rządów Zygmunta nie ocenił. Czasy jego były czasami oddziałania religijnego; w innych krajach, mianowicie w sąsiednich Niemczech, krew się strumieniami na polach walk religijnych lała, w Polsce prawie nie znać starcia, kilka zaledwie nadużyć ze strony zwycięzkiego wyznania wyszukać można. Nasi historycy od Zygmunta III. upadek kraju datują: na jezuitów, na katolicyzm zwalają wszystkie winy. Głębiéj i daléj przyczyn nieszczęść patrzyć trzeba. Obojętność religijna, rozwolnienie obyczajów publicznych i prywatnych, chciwość znaczenia i dostatków, zazdrość do wszystkiego co położeniem lub zasługą wyższe, i niedbałość o następstwa, wszystko to już przed Zygmuntem istniało. Czytajmy napomnienia, czytajmy sprawdzone już przepowiednie Skargi. Jeden był tylko ratunek dla narodu, powrót do religii i do cnoty. Że wielka część Polaków usłuchała głosu obowiązku, narodowość nasza odzyskała tę żywotność, która jéj pozwala dzisiaj gromy i nawałnice wyzywać.

Autor *listów* skarykaturował Zygmunta. Dziwimy się, że mu tak chodziło by go w śmieszność ze strony jego pobożności podać, i że dla tego nie wstrzymał się nawet od takich szczegółów, które nie zawsze uchodzą przy rubasznéj gawędce, a do historyi w żadnym razie nie należą. Zkądinąd jest to najwyraźniejsza przesada utrzymywać, że Zygmunt stanowczo na losy Europy wpłynął, że jemu Austrya ratunek i wyniesienie zawdzięcza.

Czytamy w liście: „Rzadkim w dziejach przykładem „całe pokolenie męzkie Zygmunta III. przyjęło szluby du- „chowne. . . Najstarszy syn Władysław był kanonikiem „Ś. Piotra w Rzymie.“ Tu zrobimy naprzód uwagę, że tylko zakonnicy szluby składają; znamy szluby zakonne, nie znamy szlubów duchownych. Następnie jak najmocniéj zaprzeczyć musimy całéj powieści o Władysławie. Nigdy królewicz ten księdzem nie został. W czasie bytności Władysława w Rzymie, by uczcić takiego gościa i nabożnym jego chęciom zadość uczynić, pozwolono mu dotknąć się wielkich relikwii u Ś. Piotra złożonych, pozwolono mu je ludowi w kościele zebranemu z galeryi pokazać; a że tylko kanonicy mają ten przywilej, konferowano mu honorowy tytuł kanonika. Zaszczyt ten żadnych duchownych obowiązków na niego nie włożył.

„W XVI wieku, powiada autor, nie było wioski w Pol- „sce któraby nie miała swéj szkółki.“ Pozwolimy sobie podobnemu twierdzeniu zaprzeczyć; w poważnych narodowych pisarzach żadnéj o tém wzmianki nie ma.

O *Colloquium* (nie Collegium) *charitativum* toruńskiém tak się autor wyraża: „Zamiar poczciwego króla spełzł „na niczém; tentowana zgoda rozjątrzyła zamiast ułago- „dzić umysły, i właśnie w chwili, kiedy Europa przez po- „kój westfalski przechodziła z nietolerancyi do tolerancyi, „Polska przeciwnie zaczęła przechodzić z tolerancyi do nietolerancyi.“ Że w Toruniu do porozumienia nie przyszło, w tém nic dziwnego; katolicyzm niemógł dogmatycznych ustąpień zrobić, a bez takich ustąpień zgoda nie była podobna. Drugi zarzut zadziwia nas nieskończenie; wypada się nad nim chwilę zastanowić.

Smiało utrzymujemy, że nie ma kraju w którymby mniéj prześladowań religijnych zaszło jak w Polsce. Umiarkowanie prawodawstwa w rzeczach wiary, słodycz obyczajów w najgorętszych życia religijnego polskiego epokach, jest naszym niezatartym w dziejach oświaty zaszczytem. Nie tak myśli autor *listów* i ze szczególniejszą gorliwością wszystkich w ojczyźnie faktów nietolerancyi wyszukuje. Jak widzieliśmy, Władysława Jagiełłę o fa-

natyzm niesprawiedliwie oskarżył. — W epoce przyjścia reformacyi, on który przemilczał o gwałtach jakich się Mikołaj Radziwiłł Czarny przeciw katolikom dopuszczał, o świętokradztwach jakie popełniali dysydenci i na jakie uskarżał się Commendoni, lada nadużycie ze strony katolików wymienia. Zapewne w historyi wszystko pomieścić należy; w krótkiéj przecież rozprawie niewolno wydatniéj jedne rzeczy jak drugie malować. Spalenie Katarzyny Załaszowskiéj, późniejsze stracenie Łyszczyńskiego, proces Unruha, sprawa toruńska, że nie wspomnimy krwawéj, bardziéj szorstkich czasów sięgającéj ekzekucyi księży czeskich, równie są rzeczą bolesną jak wyjątkową w dziejach naszych (1). W całéj Europie gorliwość, polityka, lub złe namiętności mnożyły krwawe przykłady; u nas ani religijne, ani polityczne prawodawstwo zabijać nie lubiło, prywatnym zaś zbrodniom łagodność obyczajów tamę stawiała.

Autor listów wszystkie najniesłuszniejsze zarzuty cudzoziemców, wszystkie uprzedzenia, wszystkie dowodzenia nieprzyjaciół Polski a mianowicie zdania historyografów nadwornych naszych ciemięzców poparł i usprawiedliwił.

Oprócz tego cośmy już przytoczyli, oprócz pochwały oddanéj tolerancyi europejskiéj, od epoki pokoju westfalskiego a potępienia rzuconego nietolerancyi polskiéj, czytamy jeszcze w liście następującą uwagę: „Sprawa to„ruńska zadała Polsce w opinii Europy wielki cios, po„zbawiła ją ostatków współczucia mocarstw niekatolickich. „Protestowały przeciw wyrokowi toruńskiemu Anglia, Da„nia i Szwecya, a poseł angielski na sejmie rzeszy nie„mieckiéj wzywał głośno Europę o pewien rodzaj krucy„aty przeciw nietolerancyi polskiéj. Każde z tych mo„carstw dopuszczało się w swym czasie stokroć krwa„wszych niż Polska prześladowań, ale nieszczęściem było „téj ostatniéj, że się pomyliła w dacie, że była tolerantką

(1) Autor listu powiada: „Dwa powyższe przykłady (proces Łyszczyńskiego i proces Unruha), nie przytaczamy wielu innych, dowodzą i t. d.“ Wyzywamy go, żeby te inne przykłady wymienił.

„w wieku nietolerancyi, a nietolerantką w wieku tole-„rancyi."

Zdziwienie ogarnia w obec takiéj względem własnego kraju niesprawiedliwości, w obec takiéj niewiadomości rzeczy obcych. Anglia miała być tolerancka w r. 1726! Czyż autor nie zna co się w téj epoce działo w Irlandyi, czy nie słyszał o prawach wywołujących z tego kraju księży katolickich, o krwawych prześladowaniach jakim katolicy irlandzcy podlegali? Czy zapomniał o rzeziach szkockich? Czy nie wie, że w saméjże Anglii pierwszy par królestwa, książę Norfolk w r. 1722 za wierność wierze ojców swoich uwięziony został? Ale weźmy późniejszą datę. Francya ustąpiła była Anglii w r. 1713 (traktatem utrechtskim) półwyspu Akadyjskiego dziś nazwanego Nową Szkocyą (na północnym krańcu Stanów Zjednoczonych Ameryki). Kraj ten zamieszkiwali koloniści normandzcy, rybacy po największéj części, ludzie prości, pracowici, katolicy gorliwi. Stolica ich nazywała się Port Royal (dziś Anapolis). Otóż Anglicy wzięli się zaraz do dzieła wynarodowienia i nawrócenia na protestantyzm téj małéj ludności. W r. 1749 naprowadzili swoich kolonistów, którzy osiedli w mieście dziś nazywającém się Halifax i awanturników widokiem korzyści przywabiać zaczęli.

Gdy nic nie pomagało, ani groźby ani ponętne obietnice, sławny Pitt starszy (lord Chatham) wydał w r. 1755 okrutny rozkaz, by całą własność ruchomą i nieruchomą kolonistów francuzkich skonfiskować a ich samych przenieść do innych prowincyi. Rozkaz został w najhaniebniejszy sposób wykonany. Znieważono wszystkie świętości religijne, więcéj jeszcze, rozdzielono dzieci od rodziców, żony od mężów. Trzeba czytać opis tych okropności w opisie P. Halliburton, angielskiego sędziego w Halifax (1). Piętnaście tysięcy ludzi w ten sposób przemocą z rodzinnych miejsc swoich porwanych i roz-

---

(1) Poeta amerykański Longfellow wziął z tych tragicznych wydarzeń, przedmiot do poematu po tytułem: *Evangeline.*

proszonych zostało. Czémże jest sprawa toruńska w porównaniu z gwałtem w Akadyi dokonanym?

Dzisiaj jeszcze czy Anglia słucha natchnień tolerancyi w postępowaniu z Irlandyą? Pamiętajmy, że dopiero od lat dwudziestu katolików wyemancypowała.

Znająż tolerancyą inne kraje protestanckie? Dość wspomnieć na niedawne postępowanie rządu pruskiego w sprawie małżeństw mięszanych, na gwałty w Szwajcaryi przed dwoma laty dokonane i na uwięzienie w Stockolmie obywatela szwedzkiego za to, że katolikiem został (pod koniec panowania ostatniego króla), by na to odpowiedzieć.

Nie, Polska nie pomyliła się w dacie; w każdej epoce swojéj historyi wyżéj ona pod względem tolerancyi jak inne kraje stała.

Zamykamy na tém spór z autorem listu *o władzy duchownéj,* uniknąć go nie było w naszéj mocy.

Kończąc, niech nam będzie wolno wynurzyć żal prawdziwy, że pisarz z dziejami ojczystemi tak obeznany, przeniósł samą krytykę nad pełną rzeczywistość. Obraz zasług duchowieństwa naszego, wykazanie jak cnotą i nauką wpływało ono w dobrych epokach na społeczeństwo polskie, przyczém i błędy wspomnieć można było, najwłaściwiéj potrzebom dzisiejszym kraju odpowiadał. Zkądinąd gdyby wybierać przyszło, powiedzielibyśmy, że lepsze jest zawsze wrażenie sprawiedliwéj pochwały, jak wpływ zasłużonéj nawet nagany. Cóż dopiero kiedy nagana przesadą i stronnością grzeszy.

Wiadomości bieżące.

Korrespondencya.

Listy z Krakowa.

II.

Nazbierawszy znów rysów do kronikarskiego obrazu politycznego i naukowego ruchu Krakowian, przedstawiam je czytelnikom Przeglądu. Rząd nasz jeszcze ten sam — władze przybyły: jak Stadthauptmanschaft i urzęda zajmujące się załatwianiem potrzeb przechodzących wojsk. — Chaos, zbiérka form z różnych systemów — stan wojenny, wyjątkowy. — Stan ten długo potrwać nie może, bo władze przeciwne w swych attrybucyach, działające w niezgodzie z prawem, są rzeczą wyraźnie anormalną. W każdym razie nastąpią nowe urządzenia. Przytoczę jeden przykład sprzecznych rozporządzeń. Konstytucya emancypuje Żydów, równa ich co do swobód „z obywatelami wyznania chrześciańskiego“ — Izraelici na téj zasadzie, z swego miasta Kazimierza, znoszą się i sprowadzają do Krakowa dla handlu — Gubernialna komissya, ze swojéj strony nie widzi w tém nielegal nego postępku. — Tymczasem rada miejska z bojaźni by handel krakowski nie upadł, niedopuszcza Żydom przesiedlać się a to na zasadzie istniejących praw cechowych i kongregacyi kupieckiéj; w istocie izraelscy kupcy i rzemieślnicy do zakła-

dania warsztatów lub handlów w mieście Kazimirzu nie potrzebowali wyzwolin, którym przenosząc się do Krakowa uledz muszą. Izraelscy członkowie rady miejs. protestują przeciw ograniczeniom wolności, opierając się na konstytucyi, a wsparci przez ludność swego wyznania, wysłali deputacyą by zanieść skargę do ministeryum; które wszakże wydając odtąd zlecenie radzie m. aby przestrzegała praw policyjnych za Rzpltéj istniejących, potwierdziło tém samém jéj krok przeciw Żydom. Podobnych przykładów zamieszania, ledwie nie co dzień jesteśmy świadkami; ile że do władz de facto istniejących dodać jeszcze należy załogę wojska rossyjskiego w mieście i okręgu konsystującą — Wjeżdżając już w rogatki miejskie, spostrzeżesz widok, który odmaluje główne rysy naszego rządu. Rossyjski żołnierz pyta się o paszport — policyant miejski go odbiera — a austryacki grencer odbywa rewizyą w pojeździe. — Do malowniczego obrazu obecnego naszego położenia dodać jeszcze wypada: grobowe requiem, które ciągle brzmi po ulicach naszego grodu — Cholera szybko wzrasta — w samém mieście do 20 osób dziennie umiera — Zawieszone konstytucyjne swobody, jak wolność druku i towarzystw, w coraz ciaśniejsze ramki zamykają nasze polityczne życie. — Zniknęły już pisma czasowe: *Szkoła ludu* — 50 lat istniejąca *Gazeta Krakowska*, wreszcie *Tygodnik Kościelny* redagowany przez X. kan. Scypiona — pism zagranicznych poczta dostawać niewolno, sam tylko dziennik „*Czas*" skąpo udziela nam wiadomości politycznych; artykuł rozumowany, lub literackie wiadomości w feletonie, rzadkiém są w Czasie zjawiskiem, obecnie nawet pismo to kilkodniowéj doznało przerwy, z powodu iż Starostwo grodzkie (Stadthauptmanschaft) i komenda wojskowa, wiodły z sobą spory, do któréj z tych władz atrybucya cenzorowania z prawa należy? — Peryod piśmiennictwa broszurkowego już się zakończył — ale téż mało co drukują tłocznie nasze. Zaledwo kilka następnych książek ukazało się od czasu mego ostatniego listu:

Józef Czech wydrukował *Panowanie Henryka Walezyusza* i *Stefana Batorego*, z rękopismów Albertrandego podług wydania Ż. Onacewicza, z dołączeniem pamiętników historyi Stefana Batorego się dotyczących. Wyszła także *Jana* hr. *Potockiego podróż do Turcyi i Egiptu z wiadomością o życiu i pismach tego autora.* Kraków, druk D. E. Friedleina r. 1849. Są to listy pisane przez autora do żony, jako dziennik podróży. — Dowiadujemy się z nich dat nikogo interesować nie mogących: kiedy autor ów przybył do którego z portów, miast lub wiosek. — Nie ma w tych listach mowy o tém, co

daje prawdziwy obraz kraju i mieszkańców; autor przypatrywał się samym prawie scenom w kawiarniach, domach rozkoszy, i t. d. W końcu są powieści tureckie nakształt tysiąca i jednéj nocy, które często, nader niemoralne mieszczą w sobie zdania, jakto czytamy n. p. w romansie jakiegoś tam Molocha z Fatmą (str. 18): „Mężczyźni napełnieni pasyą są jak spragnieni podróżni, którzy żywo żądają źródła; a gdy je znajdą, napiją się a potém tyłem obracają się do niego.“ W pijaństwie autor widzi jakąś dobrą stronę, gdyż (pag. 4) mówi opisując Kerson: „pijaństwo dodaje obrazowi tego miasta ruchawości.“ Słowem mierna ta zbieranina, znamienicie słynnego z innych dzieł Jana Potockiego, nie warta była przedruku (1) w wieku XIX. w r. 1849!

O sądach przysięgłych napisał Stanisław Strzelecki w celu otrzymania stopnia doktora obojga praw. Kraków, drukiem St. Gieszkowskiego. 1849.

Broszurka ta odznacza się szczególniéj treściwością i jasnością wykładu, która ją czyni przystępną i pożyteczną nawet dla nieprawników. Autor po krótkim wstępie wspomina nieco o rożniących się zdaniach uczonych co do początku instytucyi sądów przysięgłych, następnie skreśla rys postępowania przed sądami przysięgłych w Anglii tudzież we Francyi, najprzód według ustaw w czasie rewolucyi francuzkiéj wydanych a potém według kodeksu Napoleona — w końcu przywodzi kilka zarzutów przeciw téj instytucyi czynionych i kolejno je zbija. Jakkolwiek to wykazanie niesłuszności zarzutów przeciw sądom przysięgłych wziął sobie autor za główny cel niniéjszéj rozprawki, jak to okazuje zamieszczone przy końcu wstępu założenie, — jakkolwiek daléj na str. 11 mówi, że rys postępowania przed sądami przysięgłych w Anglii i we Francyi skreśla dla tego, iż jest potrzebnym do należytego ocenienia czynionych przeciw tym sądom zarzutów, my jednak ten właśnie rys postępowania przez niego za podrzędny uznany, za główną część téj rozprawki uważamy, bo i ze względu na obszerność większą jéj część zajmuje, i ze względu na obrobienie najwięcéj zasługuje na uwagę i największy przynieść może pożytek. W nim daje autor treściwy a do-

1) Trzecie to już wydanie tego dziełka. Pierwsze francuzkie wyszło w Paryżu 1788. r. drugie francuzkie w Warszawie 1789. Tegoż roku w Warszawie przekład polski.

kładny obraz całego toku procesu i tym sposobem obznajmia czytelnika z ważną instytucyą sądów przysięgłych dotąd u nas niemal z nazwiska tylko znaną. Co się tyczy innych części rozprawki, tych obszerniejsze rozwinięcie i dokładniejsze wypracowanie o wieleby jéj wartość podniosło. Żałujemy, że autor tak szczupły nadał jéj zakres. Jakkolwiek jestto tylko doktoryzacyjna rozprawka, jak nas o tém tytuł ostrzega, — wszelako już sam wybór przedmiotu, w obecnéj chwili powszechny budzącego interes i będącego jedną z kwestyi czasowych, a przytém traktowanie go w sposób dla wszystkich przystępny, wreszcie samo puszczenie broszurki w obieg drogą księgarską każą się domyślać, że autor pisząc ją nie samo tylko dopełnienie formalności doktoryzacyjnéj miał wyłącznie na celu (1) i dla tego sądzimy, że mielibyśmy prawo czegoś więcéj po nim wymagać. Gdyby był autor nie tyle krótkość rozprawki jak raczéj jéj pożyteczność miał na uwadze, byłby zapewne zaraz we wstępie powiedział coś w ogóle o duchu instytucyi sądów przysięgłych, o jéj celu i ważności, o zbawiennym jéj wpływie na wymiar sprawiedliwości, równie jak na moralne a nawet polityczne wykształcenie narodu, w którym jest zaprowadzoną — byłby choć w krótkości porównał proces akuzacyjny i sądy przysięgłych z procesem inkwizycyjnym dotąd u nas w użyciu będącym i wykazał ich główne różnice oraz wyższość pierwszego pod tylu względami — i t. d. — a wszystko to skreślone w sposób równie prosty i dla wszystkich przystępny, byłoby zrobiło tę rozprawkę bardzo pożyteczną i nadało jéj cechę dokładności i wykończenia, na któréj jéj teraz mimo jéj zalet zbywa. Dziś szczególniéj, gdy słyszymy ciągle o przygotowaniach i projektach do nowéj organizacyi władz sądowych, w któréj mają być wprowadzone sądy przysięgłych w sprawach karnych już §fem 103 nadanéj pod dn. 4 Marca b. r. konstytucyi krajom pod panowaniem austryackiém zostającym przyrzeczone, dziełko takie, któreby w sposób jasny i popularny obznajmiło z zasadami téj instytucyi obywateli naszych, dotąd po większéj części żadnego o téj rzeczy wyobrażenia niemających, któreby przyszłym przysięgłym, ludziom od których orzeczenia, nieraz zależyć będzie los, honor i życie człowieka z jednéj, a dobro ogółu i bezpieczeństwo społeczności z drugiéj strony, wyka-

1) Zwykle u nas rozprawy doktoryzacyjne pisane jedynie dla dopełnienia formalności statutem uniwersyteckim przy doktoryzacyi wymaganéj, będące prostą tylko kompilacyą, w bardzo maléj ilości egzemplarzy drukują się i oprócz egzemplarzy rozdanych przez autora przyjaciołom i nielicznym zazwyczaj przy doktoryzacyi gościom, wcale w obieg nie idą — na czém z resztą literatura najczęściéj bardzo mało traci. —

zało całą ważność stanowiska jakie zajmować mają i przygotowało ich do należytego pojęcia i godnego spełnienia włożonych na nich obowiązków, dziełko takie byłoby nie małą dla rzeczy publicznéj przysługą, choć wtenczas zapewne obszernością swoją przeszłoby rozmiary zwykłéj doktoryzacyjnéj rozprawki. — Natomiast, jeśliby chodziło o krótkość, łatwiéjby można opuścić zamieszczone w końcu rozprawki kategoryczne zbijanie zarzutów, które nieco scholastycyzmem trąci, i właściwsze znalazłoby miejsce w ustnéj dyspucie, która się u nas według dawnych zwyczajów przy każdéj doktoryzacyi uroczyście odbywa. Autor nie wspomina wcale zkąd te zarzuty wyczerpnął — mówi tylko w ogóle o przeciwnikach sądów przysięgłych, nie wymieniając jednak ani nazwisk, ani dzieł autorów, z którymi walczy i których twierdzenia zbija — dla tego mógłby go kto posądzić, że tak zarzuty jak i odpowiedzi na nie, są jego własném dziełem. Zresztą niektóre z tych zarzutów są już tak błahe, że ich i zbijać nie było potrzeba — a dokładne rozwinięcie zasad na których się instytucya sądów przysięgłych opiera, byłoby już dostateczną na te i tym podobne zarzuty odpowiedzią. —

Poezye narodowe A . . . L . . . . (1) wydane 1849 r. w Bytomiu G. S. nakładem krakowskiego Tow. nauk. pomocy. — Pieniom tym mniejszą musimy przyznać wartość niż dawniejszym płodom znanéj już w polu piśmienniczém ich autorki. Przebijają się w nich jakieś dziwne myśli, niby filozoficzne, których mniéj widzieliśmy w dawniejszych utworach, gdy uczucie religijne kierowało myślami téj wieszczki. Wiele jednak pięknych znajdujemy ustępów. W wierszu: „Świętych nam potrzeba", czytamy:

„O świętych prawdziwych modlijmy niebiosa,
Aż nam się rozpłaczą litością,
Aż póki nie tryśnie z ócz boskich ta rosa,
Co zeschłe odrodzi miłością —
Aż z pąka miłości kwiat prawdy wystrzeli,
Głową swą dosięże nieb nieba,
I miłość poślubi i z nią się zanieli —
O, świętych w nas samych nam trzeba"!

Poezye te rozdzielone na dwie części, zawierają w części pierwszéj podobne przytoczonemu kawałki, lub utwory

1) Autorka tych poezyi Anna Libera, jest zarazem autorką dawniéj wyszłych:
Poezye Anny L. Krakowianki — Kraków 1843 r.
Dobra pani i dobra sługa (opowiadanie prozą) — Kraków 1845 r,
Przygoda z Czartem Janka Magary — Kraków 1845 r.
Nowe poezye Anny L. Krakowianki — Kraków 1846 r.

na osobistych uczuciach autorki osnute. — Część druga zawiera Krakowiaki, nie wykończone co do myśli i formy, którym i na harmonii narodowéj zbywa. Do płodów téż literackich policzyć wypada ciekawą rozprawkę profs. Uniw. Muczkowskiego, ogłoszoną w programacie t. r. Szkoły licealnéj. — Uczony ten profesor skreślił w niéj dzieje Władysławsko-Nowodworskiego kollegium, dziś szkołą licealną zwanego. — Księgarz Czech zajął tłocznią swoją dziełem Ambr. Grabowskiego: *Bramy, baszty, mury starego Krakowa.* — W Drukarni K. Jastrzębskiego odbijają: *Wykład dziejów powszechnych* — tłum. z francuzkiego, które księgarz Baumgardten swym nakładem dla szkół wydaje. — *I. Tom Filozofii J. Kremera* już ukończono w tłoczni uniwersyteckiéj. —

Kraków dn. 29 Sierpnia, 1849 r. —

J. Ł.

Poezya.

ŁZY POLKI.

W walkach życia ten zwycięża
Kto się wcześnie ze snów budzi.

N. N.

O, ty z anielskiéj ulana czystości
Łzo kroplo boska . . . . . .

M.

Ziemia śmieje się do koła.
Świeżém kwieciem uwieńczona,
I w mig cudnie przystrojona,
Wiosny zeslal Pan anioła,
Wszystko śpiewa w niebogłosy,
Spieszy w pląsach szczęście gonić,
I śmiałżeby kto łzy ronić,
Gdy tak śmieją się niebiosy?
Jednak — jednak obok róży,
Krzak cierniowy krępo rośnie,
I przypina kolce wiosnie,
Czemuż guślarz troski wróży?

Czemuż? — Patrzaj tam na łące
Rój motyli, pszczołek krocie,
Trąca kwiatki woniejące;
Któżby myślał dziś o słocie? —
Niebo jasne, — patrz dziewice,
Cudne — cudne krasnolice,
W pląsach spieszą tam do koła.
Ich serduszka, tak jak czoła,
Gładkie, — jasne, — nigdzie chmurki:
Hej na łąki, na pagórki,
Zrywać kwiatki, wieńce splatać,
Jaśniejące wieńczyć skronie;
O serduszka biją w łonie!
Daléj tańczyć, śpiewać, latać,
Wszystkie — wszystkie daléj w koło,
A radośnie, a wesoło. —
Ranek cudnie się rumieni,
Ani myślą o południu,
Cóż dopiero o jesieni,
O tym nudnym, długim grudniu.
A o zimie? – O mój Boże!
Co tam — wiosna, lilie, róże,
Kwitną wszędzie, pachnią wszędzie,
Mniejsza co tam daléj będzie. —
O, bo wszystko w nieboglosy
Śpiewa — spieszy szczęście gonić,
I śmiałżeby kto łzy ronić,
Gdy tak śmieją się niebiosy?
Jednak — jednak są na świecie,
Nie wiem, smutni, nieszczęśliwi,
Których wiosna nie ożywi,
Których ciężka boleść gniecie. —
O! są ludzie, co w poranku
Przecierpieli skwar południa.
Przecierpieli zimno grudnia,
I w cierniowym chodzą wianku.



Patrz jak w dali po nad strugą
Coś bieleje — to dziewica,
Przyodziana szatą długą,
Jakże blade są jéj lica.

Patrz no, łzawe, duże oko
W jasném niebie utopiła,
I nurtuje, o, głęboko,
Drobne rączki w krzyż złożyła. —
Czy chce badać niebios szczyty
Z złożonemi w krzyż rękoma?
Jakby posąg w ziemię wbity
Stoi ciągle nieruchoma. —
Tuż przy nogach strumyk szumi,
Na około kwiatki rosną,
Słowik nuci pieśń miłosną,
Ona, zda się, nie rozumi. —
Czyż z wszystkiego sobie szydzi?
Tak anielsko tu wśród ciszy, —
Ona patrzy, a nie widzi,
Ona słucha, a nie słyszy.
Poleciała, gdzieś daleko —
Może tęskni za kochanym,
Oddalonym, niewidzianym,
Łezki ciągle z oczek cieką.
Trudno pojąć tę dziecinę;
Jednak patrzaj, ktoś się kusi
Zbadać długich łez przyczynę.
O, dzieweczka wyznać musi.....

Ktoś z boku.

„Dziewczę, dziewczę, zbudź się nam,
Powróć na swiat, patrz jak miły;
Czemuż ciągle błądzisz tam?
Ciągle wzdychasz u mogiły?
Czemuż w oku twojém łza?
I jak marmur, blade lica,
I na czole wciąż tęsknica,
I boleśnie serce drga?
Cudna wiosna na około,
W duszy twojéj życia skra,
Wianek zdobi twoje czoło:
I dla czegoż w oku łza? —“
Patrz, dzieweczka się zbudziła,
I w miluchnéj, czułéj nucie,
Coś o żalu, o pokucie,
Na odpowiedź zanuciła.—

Dziewica.

Łzy to jasna niebios rosa;
Płaczmy, — płaczmy ciężki rok,
Zamykają się niebiosa,
Śmierć o jeden tylko skok.
Czoła zajął znój i trud,
Tak okropnie wśród téj suszy!
Za nią ciężki mór i głód;
A czy wiesz ty, co głód duszy? . . .
I dzieweczka znowu smutnie
Główkę spuszcza i łzy roni —
Modli — modli się pokutnie,
Znów się zrywa — piosnką dzwoni. —
— „O i dla mnie była wiosna,
O, i dla mnie kwitły kwiaty;
Biegłam żywa i radosna,
W zieloniuchne wiary światy.
O, w tym cudnym życia ranku,
Ukochałam Ojca w niebie,
A na ziemi koło siebie
Matkę mą w cierniowym wianku,
Rozszarpaną — uciśnioną,
Ukochałam — o szalenie,
A im sroższych gnębstw kamienie,
Drogie jéj cisnęły łono,
Tém kochałam ją szaleniéj. —
Gdzie się chwała jéj zieleni,
Narodowe głośne cnoty,
Na wianeczek rwałam złoty. —
A do niego znów z kolei
Przypinałam kwiat nadziei,
I co wieczór i co ranek,
Jasnemi skrapiałam łzami,
Ogrzewałam westchnieniami,
By ojczysty nie zwiądł wianek,
By go zimno nie zmroziło:
O, i dobrze sercu było
Z temi łzami, westchnieniami,
I cudnemi memi snami. —“
„Mieć wielkiego Ojca w niebie,
Najpiękniejszą Matkę w świecie,
I aniołów koło siebie,
Milujące — czułe dziecię,

Czyż to nie dość dla cię w świecie?
Cierpieć za najświętszą sprawę,
Kochać wszystkich — chcieć im służyć,
W poświęceniu szczęścia użyć,
Umiłować dawną sławę,
Wierzyć w miłość, cnotę, męztwo,
Wierzyć w bliskie zmartwychwstanie,
Wierzyć w wielkich dusz zwycięztwo,
Przyszłéj chwały mieć zaranie,
Milujące — czule dziecię,
Czyż to nie dość masz na świecie?"
„Miałam dosyć — o na kwiatach,
Zasypiałam lekko — miło,
I o przyszłych, świetnych latach,
Wciąż bijące serce śniło. —
O pamiętam, cudnie śniłam,
Lecz już dzisiaj nie wysłowię
Mojéj wiosny w sercu — głowie,
Nieba, które uchyliłam. —
O! gdyby mi w téj godzinie
Był kto mówił: „Sen się prześni,"
Byłabym mu najboleśniéj
Zawołała: nie przeminie! —

Sen się prześni — prawda święta;
Lecz jak budzić się boleśnie,
I za raj rozkoszy we śnie,
Budzić się na nowe pęta!
Albo raz się zbudzić trzeba,
Raz wychylić gorzką czarę —
Wszystkich kar wycierpieć karę,
I ulecieć tam do nieba ..."

Nie wiem, co się daléj działo,
Wiem tylko, żem się zbudziła.
Że mnie wszystko odleciało,
Ciężka boleść mnie raniła. —
Podnoszę oko strudzone,
Pięknéj wiosny ani śladu;
Spieka, wszystko wypalone,
Wszędzie pełno mrowia, gadu. —

Serce na wskróś przebodzone,
Zimna stal okropnie rani,
W którą tylko rwę się stronę,
Ból mnie wpycha do otchłani. —
Niebios palące sklepienia,
Patrzą spokojnie na mękę;
Wyciągam strudzoną rękę
O trochę rosy lub cienia:
Pan surowo spojrzał ku mnie, —
Padłam na ziemię obliczem
I zrównana z prochem, z niczém,
Widziałam, jak złości tłumnie
Zaległy naszą ziemicę:
Bracia się Ojca wyparli,
I choć nieba wspól dziedzice,
Dla nieba całkiem umarli.
Więc marnieją w ręku wroga. —
Dobywam iskry z popiołów,
Szukam cnót, szukam aniołów,
Chcę iść z nimi przed tron Boga.
Chcę przebłagać sprawiedliwość.
Zbieram miłość, męztwo, tkliwość,
Narodowe zbieram blaski,
By wyżebrać skierkę łaski
Och! lecz grób pełen popiołów, —
Nie ma cnót — nie ma aniołów,
Nie ma kropli czystéj rosy,
Zamykają się niebiosy!!!
Upadam na drogą ziemię,
Czarna śmierć ją kryje cieniem,
Och! gorącém uściśnieniem
Wydrzeć śmierci drogie plemię!
Miłość — miłość — pali serce,
A tu katy i morderce
Wciąż dodają żółci męce.
Gdzież wyciągnę biedna ręce?! —
Gdzież o litość zakołacę?
Pełno kolców w sercu — duszy!
Komuż serce się nie wzruszy?
Komuż oko nie zapłacze! —
O! u ziemian pusto — głucho,
O! kamienne ziemian ucho
Umie tylko wtórzyć męce, —
Gdzież wyciągnę biedna ręce?!
Wtém „chrztu łez — chrztu łez wam trzeba“!

Archanielskie głosy z nieba
Ku swéj dziatwie zawołały;
I promyczek nowéj chwały
Trącił o zbolałe skronie:
Uderzyło serce w łonie,
I odstrzelił głos do nieba:
„O! chrztu łez — chrztu łez nam trzeba!!" —
Zajaśniało w mig w około,
W prochu serce — w prochu czoło,
Jasnych łez spływają zdroje, —
O, sny — mary! o, łzy moje! —
Łzy i modły dla méj ziemi,
Łzy i modły za mojemi,
Sny i mary uleciały,
I łzy tylko mi zostały. —
Lecz gdy wzniosę wzrok do nieba,
Gdy powiekę łzami zroszę,
Kiedy łzą o łezkę proszę,
To mi, zda się, nic nie trzeba. —
Patrz, na drogiéj téj mogile
Sadziłam kwiaty nadziei,
I przychodzę tu co chwilę,
Poić je świeżemi łzami
I ogrzewać westchnieniami,
I osłaniać wśród zawiei.
I tutaj mi w każdéj chwili,
Przyjść popłakać jest najmiléj. . . . —
Pójdź — klęknij i ty na grobie,
Tu się kruszyć — płakać tobie,
Jeśli kochasz twą Jedyną,
To łzy z oczu twych popłyną. —
Łzy to jasna niebios rosa —
Płaczmy — płaczmy, ciężki rok,
Zamykają się niebiosa,
Śmierć o jeden tylko skok!. —

O pociecho! — o radości!
W oczach twoich widzę łezki ;
O, ty gościu mój niebieski,
Ty wybrane niebios dziecię,
Łzami skruchy i miłości
Zmyjem winy nasze w świecie. —
Panie! tylko użycz łez,
Téj przeczystéj niebios rosy

opiekę nasze losy,
Długiéj męce połóż kres,
Otwórz — otwórz nam niebiosy!!! —
I ucichła. — I do koła
Cicho — i łzy ciche płyną,
Nad mogiłą — nad Jedyną,
Aż pokutne dni przeminą —
Aż Pan dziatwy swéj zawoła. —

Marya z Gniezna.

Piśmiennictwo.

Z prawdziwą przyjemnością przychodzi nam wspomnieć o ważném ogłoszeniu pod napisem: ***Przekłady poetów polsko-łacińskich epoki Zygmuntowskiéj, przez Władysława Surokomlę*** (pseudonim). Wilno 1849. Dotąd wyszedł jeden tylko zeszyt zawierający poezye Klemensa Janickiego: Elegii ksiąg dwoje, Dyalog o niestałéj rozmaitości odzieży w Polsce, księgę jedną epigramatów, epitalamion na wesele Zygmunta Augusta; brak tylko do téj całości Żywotów królów polskich. Przekład w ogóle znaleźliśmy wyborny i należy pragnąć, żeby tłomacz nie ustał w przedsięwzięciu tak pięknem i korzystném. — Objaśnienia historyczne są pióra Mikołaja Malinowskiego, który i nadal pomoc swoją obiecał.

Klemens Janicki poeta wielkich nadziei, uwieńczony we Włoszech poetyckim laurem, czy przez miasto Padwę, czy przez Klemensa VIII. papieża, z pewnością nie wiadomo), umarł 1543 r. w najpierwszéj wiośnie bo w 27 roku życia. Opiekował się nim w ojczyznie Krzycki, a po śmierci Krzyckiego, Kmita, który go wysłał do Włoch dla ukończenia nauk. Ale choroba, która tak wcześnie życie poety przeciąć miała już go nieustannie dręczyła; w Elegii III mówi o sobie:

„Słabe mam siły, zwątlone zdrowie,
„I lada praca już mię unuży. —
„Jednak oblicze weselem kwitnie,
„Płonę rumieńcem jako niewiasta;
„Słowa mi idą łacno, dobitnie,
„A postać słusznéj miary dorasta. —

W Elegii IIgiéj złożony niemocą odpycha ziemską nadzieję, pieśni swoje, pociechy,

„ . , . : . . bo ból nieustanny
Silnie mię ciska na cierpienia łoże;

A jednak żebrząc o szeląg miedzianny.
Dziad drżącym głosem wyśpiewywać może —
Więc i ja śpiewam — chcę wsparcia zdaleka,
Gdzie ludzka pomoc bywa nadaremną —
Wspomożycielko w cierpieniach człowieka,
O matko Boża — zlituj się nade mną!"

Następuje gorąca prośba o pomoc do Najświętszéj Panny kończy ją piękny ustęp:

„A Ty, o Panno strzeż serce człowiecze,
Pomóż zadławić w piersiach jęk żałośny,
Abym w cierpieniu gdy mi ból dopiecze,
Nie bluźnił, mówiąc, że Pan bezlitośny.
Niech cierpiąc — męki błogosławię razem,
Bom więcéj winien, i więcéj się boję,
A kiedy skrytym posłana rozkazem,
Śmierć niespodziana stanie w oczy moje,
Niechaj ją przyjmę bez trwogi, z uśmiechem,
Bo pocóż trwoga? wszak grobową deską,
Śmierć nas rozdzieli z plamami i grzechem,
I ducha wzniesie w ojczyznę niebieską.
Wyrwie myśl naszą z pomroki zawodnéj,
Wróci niebiosom ziemskiego pielgrzyma,
Ach! obym prędzéj obaczyć był godny
Rzeczy niebieskie własnemi oczyma
I widzieć Pana w oblicze obliczem,
I Ciebie Panno w towarzystwie świętém."

Przeczuwał Janicki bliską śmierć, a ile razy pomyśla o ojczyźnie, o zniszczonych tylu pięknych nadziejach, zawsze najczulsze znajdował natchnienia:

„Mógłbym na większe zdobyć się dzieło —
Lecz ginę wcześnie — o! jakem żądał
Ciebie ojczyzno opiewać czule!
Twe stare dzieje, twe zacne króle,
Czasy i ludzi, com ich oglądał —
Gdy Augusta — w dobréj otusze
Króla z Cesarzem związki, nadzieje, —
Ale ojczyzno! żegnać cię muszę,
Niech Cię szczęśliwszy śpiewak opieje."

Powietrze włoskie nie mogło zdrowia choremu powrócić; tęsknota, to piękne cierpienie narodowe, znagliło poetę do powrotu; cieszył się, że ujrzy *ojczyste dymy*, że *doma umrze i nie w obczyźnie kości swe złoży*. Pisząc do Myszkowskiego opowiada mu o niewygodach podróży:

„Oto co cierpiał druch waszéj młodości,
Co się tak krótko cieszył w waszém gronie;
Spieszył do kraju — aby zawlec kości,
Aby nie zamrzéć na dalekiéj stronie.
Bo czuł: że w bólu nad rady lekarskie
Lepszy jest promień ojczystego słońca."

Śliczna, rzewniejsza od wszystkich innych jest Elegia Xta do Rafała Wargowskiego, jadącego z Włoch do Polski:

. . . „Jest . . . lecz daleko kraina wesoła,
Gdzie oko, serce, zachwycić się może,
Jest lud poczciwy, co krąży dokoła, —
Miejsca sądowe, i świątynie Boże,
Tu mnóstwo ludu codziennie się mieści,
Idą pielgrzymi w rozmaitym celu,
Tu mętna Wisła wodami szeleści,
Tu stérczą góry i baszty Wawelu,
Wszystko młodnieje, wszystko k' sobie nęci,
Wiosna już czasy przyjemniejsze niesie —
Aż trzęsie echem silny śpiew ptaszęci,
W wodzie, w powietrzu, na ziemi, i w lesie.
Lecz to nie dla mnie — ja smutny zostanę;
Gdy inni wiosną radują się świéżą,
Ja leżę chory —
O! byłbym zdrowym, cierpliwym, wesołym,
Silnie wytrwałym na pociski burzy,
Gdybym mógł z tobą powędrować społem,
Jak pierwszy tłómok potrzebny w podróży. —
Jabym obejrzał kędy twoia rola,
Kędyś się zrodził, gdzie młodość twa płynie;
Ty moją wioskę obacz jeśli wola,
Boś niedaleki sąsiad méj dziedzinie.
O słodkie miejsca! siódmy rok upływa
Jako nie byłem w domowéj ustroni —
Choć tęskni za mną moja dobra niwa,
A ja się modlę, by powrócić do niéj. —
O wrócę, wrócę, w zagrody domowe,
Penaty moje! czujnemi oczyma
Matkę i brata chowajcie mi zdrowe,
Dość mi boleści, że ojca już nie ma. —
Zmarł, gdym na ziemię oddalał się włoską,
Chciał mię doczekać — lecz utracił siły —
Losy, co modłów jego nie ziściły
Ziśćcie przynajmniéj modlitwę synowską!
Przyspieszcie chwilę: — niech wrócę do domu,
I dam mu napis na trumienne wieko:

„Tu leży: rolnik: nieznany nikomu,
„Syn mię poeta rozsławił daleko.“ —
Ty przecię ujrzysz ziemię rodowitą,
O niechże w drodze szczęśliwieć się dzieje!
Ptak dobréj wieści niech przed tobą lata,
Niech wiatr szczęśliwy słodko cię obwieje,
I z nad twéj głowy chmury rozkołata.“ —

Około 1540. roku Węgry trapione były, po śmierci Jana Zapolya, wojną z cesarzem Ferdynandem; wdowa królewska wezwała na pomoc Turków, ci odparli Austryaków! lecz sami Budę i Węgry opanowali. — Klęska chrześciaństwa i wielu stosunkami połączonego z Polską narodu, wyrwała wtedy naszemu poecie wyraz wymownego żalu; *bo nosił w sercu wszystek lud boży*, jak sam o sobie mówi. Piękna jest bardzo Elegia VIII. pod napisem: *Skarga uosobionéj Budy*, najpiękniejsze zakończenie:

,,O Solimanie! niech cię to nasyci,
Léj w twe puhary krew potokiem świeżym, —
My w Chrystusowéj kąpieli omyci,
Zwalczeni przez cię, u nóg twoich leżym. —
Szeroko w świecie wzniosła się twa głowa,
Dostatnie bierzesz z naszych cierpień myto —
My zaś przeciwnie — trzoda Chrystusowa,
Otośmy Chryste! na krzyż nas przybito! —
Pastwią się nami, i nic tych nie zetrze,
Co nas prowadzą na łup i sromotę. —
. . . Lecz przyjdzie chwila — Bóg się ułaskawi,
Ziemia i woda daremnie wam sprzyja, —
Dzień ostateczny pewno się ukaże,
Pan to powiedział przez swoje Proroki;
A kiedy pilno te czasy rozważę,
Wierzę w dzień sądu, że przyjdzie bez zwłoki. —
Księżyc i słońce, cierpienia i klęski,
Ucisk narodów — to są przepowiednie:
Wtedy pomrzemy jak orszak męczeński,
A wasze czoło bojaźnią pobladnie,
Szczęśliwym będę, gdy mię Pan powoła
Wprzód, nim nie zagrzmi trąba Archanioła.“

Nie mniéj ma zalet Elegia IXta na śmierć Hieronima Łaskiego; wszakże wstrzymujemy się od przytoczenia jéj, z powodu długości podanych już wyjątków.

Druga księga Elegii mniejszą ma wartość; są to w większéj części poezye z konieczności pisane do ówczesnych Mecenasów polskich a dobroczyńców Janickiego. W Elegii

VII. opisuje poeta wrażenie, jakie na nim zrobiły Włochy; w uniesieniu dla klasycznéj ziemi i pięknego nieba zapomina się nieco i woła:

„Gdzie mieszka spokój, — błogo tam poecie,
Bogdajby przyszlo tu mi się urodzić!“

Ale wnet z zapałem to zapomnienie prostuje:

„Nie iżbym bolał, żem Sarmackie dziecię,
Owszem, ja rodem Sarmackim się szczycę,
Świat ten szeroki, i pięknie na świecie,
Lecz nie ma ziemi nad moją ziemicę. —
Dziwię się Włochom, Polskę wielbię szczerze; —
Tutaj podziwem, tam miłością stoję,
Do mojéj Polski prawnie przynależę, —
Tu mam gościnę, a tam bogi moje. —
Ach oby prędzéj! jakże sobie życzę,
Wrócić na łono ojczyzny kochane.“ —

Moglibyśmy jeszcze przedłużyć przytoczenia, mianowicie z Epigramatów i Epitalamion, ale podaliśmy ich dosyć, żeby przypomnieć tę wdzięczną a mało znaną postać z czasów Zygmuntowskich; dosyć także, żeby obznajomić z przekładem, który do znakomitych tłomaczeń polskich liczymy.

Ignacy Kraszewski ogłosił osobno w oddruku z Athenaeum przekład z Angielskiego: „*Złotéj legendy Artystów*“ Wilno 1848 r. I tom. Celem książki jest pokazać ile sztuka chrześciańska korzystała z legend, podań kościelnych, w ogóle z przedmiotów religijnych. — Autorka angielska przechodzi po kolei dzieje i legendy ewangelistów, apostołów, doktorów kościoła, św Magdaleny, Cecylii, Katarzyny, świętych rycerzy i wykazuje gdzie, jak i przez kogo przedstawione one zostały. Napisała *Złotą legendę* protestantka, Mrss. Jameson; znać to w książce, choć, spieszymy przyznać to, nie ma w niéj wypowiedzianéj niechęci dla uczuć, które cały szereg arcydzieł katolickich wywołały. Obfitość szczegółów wielce zajmującém całe dzieło robi. Jestto zresztą pierwsza tego rodzaju książka w piśmiennictwie naszém. Obiecuje p. Kraszewski dodać następnie wspomnienie o życiu św. polskich i przywiązanych do nich legendach, które już posłużyły za przedmiot sztuce lub jeszcze posłużyć mogą. Téj ciekawéj pracy nie znamy, zapewne umieści ją autor przy dziele swojém o malarstwie w Polsce, nad którém od dawna pracuje. —

Ks. Paweł Rzewuski wydał w Warszawie (1849 r.) *Życie św. Stanisława Kostki*, tłomaczenie z francuzkiego p. A. de

Blanche. — Przekład swój w dwójnasób pomnożył dopełnieniami ze źródeł a mianowicie dodaniem kilku mów, kazań, listów dotyczących świętego, bulli kanonizacyjnéj, i nabożeństwa do św. Stanisława. — Historya naszych świętych jest bardzo pożądaną rzeczą. *Żywoty Świętych* Skargi, *Matka Świętych Polskich*, są albo rzadkością, albo jakkolwiek wielkie natchnieniem i językową wartością, nie wystarczają w naszych czasach. — Książka ks. Rzewuskiego, napisana z rzetelném uczuciem religijném, daje nam bliżéj poznać życie świętego młodzieńca; wolelibyśmy przecież własną pracę uczonego profesora, jak przekład z autora francuzkiego nie dosyć obznajmionego z historyą i z obyczajami polskiemi. — Kształt listowy nadany opowiadaniu nie zdaje nam się także właściwy. —

„*Krótkie zebranie historyi kościoła katolickiego, przez księdza Stanisława Snarskiego,*" wyszło w Wilnie. Jestto treściwa i porządna praca, ale brak stosownego wystawienia wpływu kościoła na towarzystwo i cywilizacyą. Dzieła Rohrbachera, Döllingera i inne, które autor wspomina, mogły mu pomocnie pod tym względem przysłużyć się. —

Wymarzony Kochanek, przez Tadeusza Strzemieńca, Wilno, 1848. roku.

Tak się dzieje, Powieść przez Paulinę, z L. Wilkońską. Dwa tomy. Wilno 1848. r.

Władysław, przez Aleksandra Grozę. Wilno 1848.

Bigos Hultajski, przez Izasława Blepońskiego. Wilno, tom 1szy 1844. — tom IIgi 1846. — tom IIIci 1848.

Hersylia, Powieść obyczajowa, przez Ewę Felińską. Wilno 1849. roku.

Zkąd się u nas wzięła ta niepomiarkowana ochoczość w pisaniu romansów, która sprawia, że w ostatnich czasach gałąź ta literatury jeżeli nie blaskiem to obfitością swoją wygórowała po nad wszystkie inne, zwłaszcza w Wilnie i w Warszawie? Czy z naśladownictwa cudzoziemczyzny, czy z niemożności przy tylu klęskach a niedostatkach zajmowania się porządniejszą pracą, czy że w braku polityki i spraw publicznych umysłowa czynność rzucić się musiała na sąsiedzkie gawędy i zaściankowe komeraże, czy z nowo obudzonéj pochopności kobiet do autorstwa, czy wreszcie, że są prawdy koniecznie narodowi potrzebne, które łatwiéj jest przeprowadzić przez ciasne rogatki cenzury w płochym ubiorze lekkomyślności, jak w rodzinnéj ich powadze? Wszystkie te powody są dość oczywiste i mogą posłużyć do wytłomaczenia zagadki. Atoli, oprócz tu wyliczonych, znaleść jeszcze można bardzo wiele innych; bo każdy niemal autor przyznając się

do grzechu, nową znajduje wymówkę. Z temi, jako mniéj przekonywającemi, rozprawić nam się wypada. Naprzykład, autor *Bigosu hultajskiego* w przedmowie powiada:

„Zastanawiałem się dla czego romans, co dawniéj samemi „tylko miłostkami zajmował się, objął teraz tak rozległe sta„nowisko i coraz więcéj przedmiotów w obręb swój zagarnia, „i zdaje mi się, iż przyczyną teraźniejszego położenia romansu „i upodobania w nim jest z jednéj strony: instynktowe uczu„cie, iż trudno być głupim, nic nie umieć, nie mieć wyobra„żenia o niczém; a z drugiéj odraza od pracy mogącéj „w nas wszczepić te same nauki, lecz które ściśle badane „potrzebują mozołu. Romans zaś w formy swe łatwe i ga„datliwe, ujmując coś z tego coś z owego, wsuwa to w gło„wy nasze tak, że z jego łaski wiemy o *czemeś*, choć w i„stocie nie wiemy, *co to jest*, bo jest wielka różnica między „wiedzieć o *czemeś* a wiedzieć *coś*, mimo tego iż wielu bio„rąc pierwsze za drugie na tém poprzestaje, nie zważając, iż „pierwsze jest tylko powierzchowne, a drugie stanowcze. Ro„mans więc został nie tylko u nas, ale i we Francyi i w An„glii i w wielu innych miejscach monetą papierową zastępu„jącą cenny kruszec nauki. Lecz jako assygnata każda daje „tylko wyobrażenie bogactwa, a majątku istotnego nie stanowi, „tak i wyobrażenia zdobyte za pomocą czytania ksiąg podo„bnych, nie są nauką, chociaż pozornie ludzie cieszą się z ob„szerniejszego i bardziéj rozlanego doświadczenia; i to całe „nasze intelektualne bogactwo, wyobraża owe chwilowe skar„by, któremi sławny awanturnik Law, za rejencyi ks. Orleanu, „obdarzył Francyą, gdzie tylko pozór niezliczonych milionów „nadał blask tak świetny całemu towarzystwu francuzkiemu. „W państwie więc umysłowém romans jest intelektualnym „Lawem, który szczodrą ręką rzuca w głowy nasze wyobra„żenia o wszystkiém i istotnie powiedzieć można, że ten co „tylko same romanse czyta, o wszystkiém gadać potrafi, tak „jak w onym już dość odległym czasie, każdy co kupił akcye „na Missisipi był już milionowym.”

Jakkolwiek i ten powód, to jest chęć nabywania nauki bez kosztu pracy, może mieć swą słuszność, niepodobna przyjąć go w zupełności. Największa część czytelników czyta romanse nie dla dowiedzenia się czegoś, czy z historyi, czy z literatury, ale prosto dla rozbudzenia w sobie téj próżnym sercom i duszom jałowym pożądanéj gorączki, którą rozpłomieniają dzieje nadzwyczajnych przygód miłosnych, lub zręcznie zawikłana intryga, lub téż odgadywanie osób i wypadków potocznego życia w urojonych bohaterach i katastrofach powieści. Nie ostoi się przed ich trybunałem najznakomitszy

romans, w którym bieg intrygi wstrzymują ogólne spostrzeżenia i naukowe ustępy. Jeśli go wezmą do ręki, to przerzucać będą najważniejsze, najpożyteczniejsze karty, aby coprędzéj dobiedz do mety. Raczéj dadzą poklask najlichszéj powiastce, byle tylko gnała coraz bardziéj przyspieszonym nawałem wypadków. Nie mówimy jak być powinno, ale jak jest. Zaiste, powierzchowna nawet nauka byłaby daleko mniejszém złém, jak zwykłe skutki z czytania romansów wypływające, to jest, że użyjemy słów Śniadeckiego, stępiona ustawiczném draźnieniem tkliwość serca, wygórowana imaginacyi czułość, niestateczność i dziwactwo humoru, nudy życia w świecie rzetelnym, gdzie trudno spotkać romansowych bohaterów, zgoła ruina zdrowia, rozsądku i pokoju duszy. Zkądinąd są prawa, których gwałcić nie można. Poznanie i dopełnienie warunków należy właśnie do sztuki, do artystowstwa. Każdy rodzaj piśmiennictwa posiada właściwy sobie sposób, choć wszystkie zarówno dążyć powinny do uznania pięknego i dobrego. Romans winien zręcznie przykładem, określeniem charakterów, osobliwie ostateczném rozwiązaniem wytykać wady towarzystwa, napomykać środki poprawy, stawiać niewzruszalność prawd odwiecznych obok przypadkowéj zawisłości losów ludzkich. Lecz ten, co pragnie za pomocą romansu uczyć *po trosze i filozofii, i historyi, i religii, i literatury, i architektury, i gramatyki*, jak to autor *Bigosu* przypuszcza, ten się naraża na takie same zawody, jak owa dama, która sprosiwszy gości na bal, zamiast tańca uraczyła ich kazaniem, lub ów dziwaczny lekarz angielski, który zebrawszy swych przyjaciół na ucztę, przed każdym kazał postawić potrawę przyprawioną lekarstwem mu potrzebném. Panna Martineau napisała pełno powiastek, z których każda ma za cel wyjaśnić jakąś zasadniczą prawdę ekonomii politycznéj. Nikt ich nie czyta, choć z wielkim talentem wykończone. Romanse polityczne Benjamina Disraeli zyskały mu daleko więcéj nieprzyjaciół w polityce, jak zwolenników w literaturze. Natomiast Dickens, Ainsworth, Thackeray, piszący po prostu, bez nauki, prawie bez celu, najpowszechniejszéj używają popularności. Może kto nam stawi przykład Eugeniusza Sue. Prawda, posiada on wielką wziętość, lecz uważmy, jak zręcznie rzecz swą prowadzi, jak mało popisuje się z nauką, jak oszczędnie szafuje rozumowaniem, jak raczéj daje się domyślać swych teoryi socyalnych, ucząc przykładem osób działających, nie zaś systematycznemi rozprawami. Przy tém pamiętać należy, iż głównie zniewalał on sobie czytelników schlebiając gwałtownemu wybuchowi politycznych namiętności. Lecz to właśnie co wczoraj było powodem ponęty, to jutro stanie się

przyczyną odrazy. Jest sposób i rodzaj w poezyi (mówi Walter Scott), który nie powiększając ani zmniejszając rzeczywistéj wartości materyałów, stanowiących podstawę dzieła, dziwnie ułatwiają jéj obieg, dopóki są nowością, ale za to utrudniają jéj wziętość, skoro moda przeminie. Jeśli tak się dzieje z poezyą, cóż dopiero mówić o romansie? Pan Sue prędko się przeżył. Od dwóch lat mało drukuje. Niezadługo, rzadko kto *Wiecznego Tulacza* weźmie do ręki, kiedy wielu jeszcze zawsze z zajęciem czytać będzie *Monte Christo* Dumasa, lub *the Mysteries of Udolpho* Pani Radclliffé. Jakiż ztąd wniosek ogólny? Oto ten, że żadnemu rodzajowi piśmiennictwa po za swe granice bezkarnie wykraczać nie wolno, i że wszelkie przymięszanie obcych pierwiastków więcéj szkodzi jak pomaga. Użyteczniejszym bez wątpienia, a przynajmniéj mniéj szkodliwym jest romans przeładowany wywodami naukowemi, niż taki, który trzymając się w swym obrębie złe wpaja zasady; ale ztąd nie idzie, aby najlepszym i jedynie zdolnym dopiąć swego celu nie miał być ten rodzaj powieści, co ściśle zamykając się w swym zakresie podnosi na wyższe stanowisko uczucie i moralność czytelników. Miarkując jednak po najnowszych romansach warszawskich i wileńskich zdałoby się, iż dziś pociąg publiczności daje prawidłu naszemu wyraźne zaprzeczenie. Mnoży się coraz więcéj owych *Gawęd*, *Mięszanin*, *Bigosów*, którym jeszcze bardzo wiele zaszczytu przyznaje pan Bleponski, kiedy je porywnywa do tych arabesków, przed laty trzydziestu lub czterdziestu w pokojach bogatych pałaców malowanych, gdzie na tle dziwacznèm i nieraz zmiennèm, leciała papuga, za nią koń dziki ficał, potém ni ztąd ni zowąd płynęła syrena, któréj towarzyszył wąż czubaty i skrzydlaty, co z pod palmy do gniazda szczygłów lub kanarków zmierzał. Ponieważ mowa o obiciach, daleko prędzéj podobne utwory porównaćby można do owych poszewek często znajdowanych na łóżkach i kanapach w Polsce, a powstałych z trójkątnych wycinków rozmaitych materyi. Jakoż w arabeskach jest pewna zawsze całość, łączność, harmonia, pewne granice, jest metoda w szaleństwie, jak mówi Polonius o Hamlecie. Są one igraszką fantazyi i niczém więcéj. Żadnych innych uroszczeń nie czynią. Zestawiać, zszywać najróżnorodniejsze kawałki, cząstki innych całości, nie jest bynajmniéj to samo co snuć z jednego choćby najdziwaczniejszy wątek, lub fantazyować w muzyce, przechodząc z majoru na minor, przeprowadzając myśl jednę aż po granice fałszu, tworząc jak Chopin, umyślne dysharmonie właśnie dla tego, aby późniéj z całém mistrzostwem sztuki wywikłać się z niebezpieczeństw przez się samego wywołanych, i po-

wrócić na jaw harmonijnéj oczywistości. W ostatnim razie trzeba sztuki i znakomitéj, w pierwszym żadnéj. Tłómaczymy się jeszcze bliżéj. Arabeski mogą się podobać, mogą być dziełem mistrza. Rafael malował je z upodobaniem. Mówią, że pierwszy ich wzór odkrywszy w świeżo odkopanych kąpielach Tytusa, kazał go zniszczyć z obawy, aby mu nie zaprzeczono pierwszeństwa w powzięciu tak pięknéj myśli. Lecz cóżby była powiedziała potomność, gdyby on w *Przemienieniu* był wsunął między unoszącego się Chrystusa z prorokami te kolibry, pawie, syreny, które tak czarownie na murach pokojów watykańskich malował? Cóżbyśmy znowu rzekli, gdybyśmy znaleźli w któréj z najdziwaczniejszych powiastek Hoffmana, kazanie o wstrzemięźliwości, lub rozprawę o podatku postępowym? A jednak podobny sposób zdają się przyjmować dzisiejsi nasi pisarze. Powieść u nich, jak sami wyznają, *jest tylko rusztowaniem na wiatr rzuconém, aby mogło utrzymać obrazy bez ładu zawieszone.* Nie dziw, że na takiéj podporze ani na chwilę utrzymać się one nie mogą. Po co rusztowanie? Daleko lepiéj obrazy ustawić choćby na ziemi, niż na rusztowaniu na wiatr rzuconém. W Galeryach bywają często zawieszone przy sobie obrazy najrozmaitszych szkół i przedmiotów, ale nikomu jeszcze nie przyszło na myśl, aby dla sklejenia wszystkich w jedną całość, na ramach dłutować czy malować przedstawienia mające przechód z jednego do drugiego wyobrażać. Na próżno pisarze, o których wspominamy, chcą w nas wmówić, iż taki jest dziś gust publiczności. Trudno temu uwierzyć. Daleko snadniéj twierdzićby można, że potrzeba i skłonność samychże pisarzów jest istotną ku temu pobudką. W braku dzienników i pism miesięcznych, w którychby mogli swe wiersze i rozprawki umieszczać, uciekają się oni do tego nowego sposobu by dwu, czy trzytomowe uklecić dzieło pod jednym tytułem, co już daje przywilej na autora, a przytém podsunąć i przekraść na widok publiczny drobne prace w rozmaitych czasach, z rozmaitych okoliczności pisane, jak owi kupcy, co wybierki i pozostałe towary z jednego jarmarku na drugim pod innemi nazwami i etykietami na sprzedaż wystawiają. W saméj rzeczy romanse takowe wydają się zbiorem odrzuconych artykułów. Powieść mająca związek z tytułem jest zawsze bardzo słaba, intryga niezręcznie prowadzona, główne sceny i katastrofy zbywane kilkoma wierszami. Natomiast pełno wierszów, rozpraw o literaturze, oderwanych opisów. Jeden autor zaraz po miłosnym rapsodzie stawia kazanie o miłosierdziu dla poddanych; drugi na ostatnich kartkach romansu, przy samém rozwiązaniu, między śmiertelną

chorobą bohaterki a zabójstwem jéj kochanka, umieszcza dumę o jakimś wojowniku serbskim. Niektórzy wsuwając ni ztąd ni zowąd zupełnie odmienny ustęp od treści romansu, posiadają przynajmniéj dość szczerości, by wyznać, że artykuł takowy był napisanym dla jakiego czasopismu, lub téż już gdzieśindziéj wydrukowanym. Zgoła, dla téj skłonności naszych romansistów trudno jest znaleść innych przyczyn jak tę, któreśmy naznaczyli, chyba że miał słuszność krytyk, co powiedział, że tym sposobem usiłują oni odstręczyć młodzież od czytania jakichkolwiek bądź romansów.

Są tacy, którzy upatrują jeszcze jeden powód ogólnego dziś u nas upodobania w romansach. Powiadają oni, iż téj chorobie Polska, czy prędzéj, czy późniéj dług swój wypłacić musiała, i że paroksyzm jest tém cięższym, im dłużéj był odwlekanym. W Lipcowym numerze *Przeglądu* przytoczyliśmy wyjątek z dzieła p. Alcyaty, który twierdzi, że Polska niezdolna w czasie wojen krzyżowych do udziału w tych świętych wyprawach, miała konieczny obowiązek uiścić się późniéj z długu należnego obronie wiary zagrożonéj przez Mahometan, i że dzieło, którego nie wsparła pod Jeruzalem, rozpoczęła pod Chocimem, skończyła pod Wiedniem. Na tryb podobny chcianoby u nas i w drobnych rzeczach rozumować. Ponieważ ojczyzna na łożu, niechże zatém wszystkie od razu choroby odbędzie. Nie w inném zapewnie rozumieniu pan Blepoński, szeroko opisawszy gwałtowny dziś pociąg do czytania romansów, odwołuje się do czasów, kiedy Polacy nie lubili a zatém nie znali ich. Mówi on:

„Grek bawił się i śpiewał, czerpał natchnienia z natury, „lubił mieć te natchnienia wyjawione w harmonijnych wier„szach, lubił i myśli głębokie, i zastanawiać się nad sobą i „nad swoim duchem, i znalazł ku tym swym intellektualnym „potrzebom poczet wieszczów filozofów a prawie żadnych „romansopisarzy, bo niektóre pisma co pozostały i ma„ją jakąś postać romansu są w tak szczupłéj liczbie, iż i„stotnie odrębnéj gałęzi literatury, tak jak teraz, nie stanowiły, „co świadczy, iż je mało ceniono, a tém samém mało potrze„bowano. Rzymianie także nie wydali ze swego łona ani ro„mansistów, ani bajarzy, ale mówców i historyków. Tu gro„źnie powstać może przeciwko memu zdaniu krytyka, utrzy„mując, iż dobrze nie rozróżniam ducha dwóch oddzielnych „epok, starożytnéj i nowożytnéj, wśród któréj wyrodził się ro„mans. Lecz ja na to odpowiem, że i w tworzeniu się ro„dów nowożytnych, pod wpływem wspólnych z północy „przyniesionych instytucyi, pod wpływem jednéj i téjże sa„méj chrześciańskiéj wiary, był lud, co zajęty ciągle życiem

„publiczném nie lubił romansów, a zatém ich nie miał, a tym „ludem byli Polacy. U pobratymczego zaś z Polakami naro„du u Rossyan, gdzie stosunki polityczne inaczéj się wylęgły, „istniało upodobanie w romansach, i ztąd mamy skazki ru„skie, bo czémże one są jeźli nie romansem tylko w osno„wie fantastycznéj zamkniętym."

Miałżeby ztąd wypaść wniosek, że ponieważ Polacy nie lubili i nie mieli romansów póki zajmowało ich życie publiczne, więc teraz przy ubyciu publicznego zawodu polubić je i mieć powinni? Tak zdaje się mniemać autor, choć ostatecznéj nie stawia konkluzyi. Inni dobitniéj twierdzą, że Polska w dzisiejszéj niemocy powinna odbyć ryczałtem wszystkie próby niedoświadczenia i przejść wszystkie błędne koleje, jakie inne narody stopniowo przebywały. Korzystając z przygnębienia i bezwładności politycznéj, własną po części winą przez Polskę na siebie sprowadzonéj, chcieliby ci niepowołani lekarze jéj ducha, niedbali czy tym trybem do szczętu jéj sił żywotnych nie zmarnują, wszczepić w nią nawet te choroby, do których nie dała żadnego powodu i które z jéj organizmem w najwidoczniejszém stoją przeciwieństwie. Śmieszna to logika, na wspomnienie nawet niezasługująca, gdyby nie była w części niebezpieczną, bo prowadzącą do zbyt wielu niedorzeczności; przecież na żadne próby ani sił ani czasu nie mamy. Bardziéj jeszcze oburzającém, więcéj szkodliwém jest opuszczenie rąk, zwątlenie serca, zdanie się na przyszłość, łatwe przyjmowanie podrzędnéj roli względem potomności, na co wszystko przystaje P. Bleponski, w końcu naprzód przez nas przytoczonego ustępu. Porównywając on możebne bankructwo umysłowe w Polsce z powodu upodobania w romansach, a to by w nich czerpać powierzchowną naukę, do nędzy sprowadzonéj na Francyą przez systemat Lawa, tak daléj mówi:

„Gorzkie było obudzenie się Francyi, gdy te bańki my„dlane pękły, i my także przebudzimy się, gdy pękną bańki „teraźniejszéj nauki, ale gorycz nie będzie tak silną, bo we „Francyi była to istotna nędza, gdy się przekonano, iż te bo„gactwa są to papierki a nie luisdory; utrata zaś urojonéj mą„drości nie umorzy nikogo z głodu, a na pociechę po téj „stracie obudzeni tylko być możemy przez młode, nowe i si„lne pokolenie, co się dobrze wyuczy i już nas we wszystkich „sprawach zdolnie zastąpi. Zgoła, iż cała przykrość ograniczy „się na tém, iż nic umieć porządnie nie będziemy, i że nas „dzieci nasze wyśmieją."

Ile tu słów, tyle fałszu, chyba że wszystko jest krwawą ironią. Miałżeby autor poczytywać bankructwo umysłowe

za mniejsze złe w losach narodów jak straty finansowe? Czyż mniema, iż pierwsze da się równie łatwo powetować jak drugie? Obca przemoc lub przypadek może kraj zniszczyć politycznie lub majątkowo, ale umysłowo nigdy, chyba że sam ku temu się poda. Zkądże pewność, że przyjdzie *Obudzenie się*? Na czémże się wyuczy młode i silne pokolenie, jeźli mu ojcowie przynajmniéj dawnych tradycyi naukowych nie przechowają? Godziż się schodzić z pola, załamywać ręce, puszczać rolę w ugór, kiedy głód największy? W najgorszych latach rolnik znosi nędzę, prosi Boga by mu przynajmniéj na zasiew starczyło, i zasiewa choćby miał ująć sobie ostatni kęs powszedniego chleba. Jakże byłby występnym, gdyby to ziarno na rozmnożenie zostawione z igraszki ciskał po za płoty! Takim niechybnie staćby się musiał naród, którýby z umysłu odbiegał swéj powinności, marnował swe zasoby, zawczasu wmówiwszy w siebie, że na teraz nic z niego nie będzie i że go potomność wyśmieje. I w tém nawet omyliłby się, bo nie śmiech ale padłoby nań przekleństwo dzieci. Mają zaiste ludy chwile, w których odurzone pomyślnością marnotrawią dobytki wiekami gromadzone, nie przewidując nic na przyszłość, nie myśląc o potomności. Obudzenie się ich bywa zawsze przykre, strata często niepowetowaną, a upadek niekiedy bez ratunku. Ale wina ta i obłąkanie jest niczém w porównaniu z zapamiętałością narodu, który przywalony klęsk brzemieniem, utraciwszy wszystko krom ducha, otrzeźwiony nieszczęściem, miasto skupiać się w sobie rozprasza się, miasto uczyć się poważnie myśleć igra i trwoni ostatki spuścizny umysłowéj, miasto zarabiać na przyszłość, gotować się do walki, szukać ratunku, co dzień staje się uboższym i lekkomyślniejszym, nie widząc nic przed sobą jedno szyderczy śmiech potomności, a to wszystko jeszcze dla tego, że kierownicy jego duchowi, zamiast dawać przykład, dzwonić na gwałt do mozolnéj pracy, drażnią i podsycają w nim płoche usposobienie, i jak w Dekameronie, kiedy zaraza zieje zniszczenie do koła, kiedy tysiące woła o ratunek, odosobniają się murem obojętności i prawią sobie romansowe powiastki. Kiedyż będzie czas, jeźli nie teraz, powrócić na pole gruntownéj nauki? Gdyby nie było innych pobudek, to właśnie dla tego, że nam ubyło życie publiczne, równie nasza powinność jak sposobność ku zdobyczom naukowym jest oczywistszą. Powołujemy się na potomność! Kto nam zaręczy, że ona nie upadnie jeszcze niżéj, jeźli my jéj nic nie zostawimy? Wszakże nie wystawiamy sobie jéj inaczéj jedno szczęśliwszą, znów życiem publiczném zajętą? Jéj więc, nie nam snadniéj służyć będzie wymówka opieszałości i niedostatku w nauce. Na opak

przeto nasz do niéj stosunek i życzenia przewrócić nam należy i każdy z nas winien powtorzyć:

O Panie, ja cię codzień stokroć błogosławię.
Żem się zrodził w tym czasie trudu i żałoby,
Co w wypróżnione śpichrza gromadzi zasoby,
Na których, gdy je łaską uświęcisz widoczną,
Przyszłe znów pokolenia wzrosną i odpoczną.

Odprawiwszy główniejsze powody, które sami nasi romansopisarze nastręczają, dla wytłomaczenia czemu się więcéj téj jak innéj gałęzi literatury poświęcają, pozostaje nam jeszcze wspomnieć po krótce o każdéj wzwyż przytoczonéj powieści.

Wymarzony Kochanek nie zasługiwałby na uwagę. gdyby nie był poprzednio umieszczonym w Athenaeum. Znać, że nie jest bez miejscowéj zasługi. P. Bleponski powiada: że teraźniejszy... goczesny romans jest po większéj części *paszkwilem lub plotką o znajomych osobach*. Być więc może, że w tém leży wartość téj powiastki. Sądząc bezwzględnie na miejscowość, mybyśmy ją zaledwie policzyli do przedpokojowéj literatury lub do wyrobów téj fabryki, którą Pan Glücksberg puszcza w ruch przyspieszony przed każdym jarmarkiem kijowskim.

Rzecz się tak ma. O Pannę Anielę, młodą, nadobną i wykształconą osobę, ubiega się ośmiu współzawodników. Z tych każdy jest śmiesznym oryginałem. Protegowani to przez ojca, to przez matkę, to przez stryja, to przez ciotkę, oświadczają się oni po kolei, i po kolei odmówną otrzymują odpowiedź. Nie dziw, bo Aniela wymarzyła sobie ideał kochanka, za którym wciąż wzdycha. Kiedy po odprawieniu wszystkich zalotników smutna siedzi rozmyślając o swym losie i marząc *o wielkim Bogu, o jasnych aniołach*, otwierają się drzwi, wchodzi pan Krescenty Młoczanowski, a z nim — jasny anioł.

„*Ach to On!* krzyknęła pomimowolnie Aniela.“

„Drżąca, blada, wita przybyłych. Pan Krescenty bierze jasnego anioła za rękę, przedstawia go Anieli jako swego syna. Aniela niezgrabnie kłania się i zaczyna rozmowę podobno od pogody.“

Tu następuje opis wymarzonego kochanka. „Miał jasne włosy, które nie były podobne do złota, ale do kłosów dojrzałéj pszenicy. Oczy były takiego koloru jak adamaszek, którym kanapa była obita, biały był ile skóra ludzka białą być może, nos miał à la Jan Sobieski, usta w kształcie serca, słowem tak piękny, tak piękny, że gdyby jeszcze cokolwiek był piękniejszym, byłby jak dwie krople wody podobnym do Apollina Belwederskiego. Ubrany był jak żywcem z żurnalu wzięty.“

„I Aniela widziała go w snach swoich, w swoich marze-„niach. To był jéj wyśniony, wymarzony fantastyczny kocha-„nek; jéj ideał. To był *On*.“

Trudno niedorzeczniejszego końca. Zdało się, że autor dla tego gromadzi koło Anieli tłumy karykatur, aby jéj obraz tém bardziéj uroczym wystawić, a o to przy samém rozwiązaniu i z niéj saméj i z jéj ideału dziwoląga czyni. Rozwiązanie to zmienia rzecz z karykatury w potworność.

Tak się dzieje, jest romansem większego rozmiaru i wartości. Ułożony wedle przepisu dziś już nieco przestarzałego, dzieli się symetrycznie na rozdziały, występując z taką obfitością dewiz, że jedno dzieło bywa na tym samym przytaczane nagłówku w dwóch różnych językach, jak n. p.

Znów ją czyniła tak bladą jak ściana.

(Dziewica jeziora).

Rinunzia a un vile sposo.

(La Donna del Lago).

Z resztą jeśli nic w tym romansie nie zajmuje, to znowu nic, oprócz ostatniéj katastrofy, zbytecznie nie razi. Sam zarys jest bardzo pospolity. Póki są kupcy na podobne wyroby, nie dziwi nas że ich fabryka nie ustaje. Bardziéj uderzającém jest ubóstwo inwencyi. Na opak bowiem tym wielkim damom francuzkim, które zamawiając sobie nowe materye w Lyonie zastrzegały razem zniszczenie przyborów warsztatowych, tak, żeby nikt inny podobnych sukni mieć nie mógł, nasi autorowie i autorki, i mali i wielcy, i wysłużeni i nowozaciężni, prawie wszyscy z jednego swe romanse wycinają postawu. Szulernie warszawskie i kijowskie kontrakty są dla nich zawsze niewyczerpaném źródłem tych samych scen i charakterów. Rysunek intrygi zwykle jest następujący. Szuler lub oszukaniec najniższéj klasy przybywa do Warszawy z Litwy czy Ukrainy. Chce złowić bogatą żonę, a więc udaje możnego pana. Są usłużni przyjaciele, którzy głoszą o jego wielkich majątkach i pałacach. Z drugiéj strony znajduje się panna, któréj macocha chce się pozbyć, lub dla któréj ciotka także wymyślonym na papierze posagiem chce bogatego znęcić kawalera. Małżeństwo przychodzi do skutku. Wzajemnie oszukani, jadą do urojonych majątków za Niemnem lub za Bugiem, aliżci miasto wspaniałego pałacu przyjmuje nieszczęśliwą ofiarę brudna strzecha, i jeszcze brudniejszy teść w osobie dzierżawcy lub ekonoma. Całe złudzenie od razu upada. Mąż przegrawszy posag żony lub dowiedziawszy się, że go całkiem nie było, idzie w świat lepszych szukać losów. Żona po krótkiéj walce oddaje się w ręce pierwszego lepszego. Rzecz kończy się najczęściéj samobójstwem.

W powieści pani Wilkońskiéj podobna katastrofa tém jest odraźliwszą, iż przypomina w swych szczegółach wypadek świeży jeszcze w pamięci publiczności warszawskiéj. Jeśli jednak największa część romansów, o których mowa, ma wady jednakie, to i przymioty ma wspólne. Wszystkie zarówno gromią szulerstwo i szydzą z francuzczyzny. Znać przywary to najwięcéj uderzające w naszém towarzystwie. Póki u nas *tak się dzieje*, bądźmy wdzięcznymi pisarzom którzy je karcą. Być może, że monotonność satyry z jednostajności i uporu winowajców pochodzi. Kiedy nas nie stać na artystów, którzyby coraz nowém przedstawieniem silnie imaginacyą narodową uderzali, przyjmujmy dagerotypy.

Władysław, wychodzi z pod pióra dobrze już znanego autora. Widać téż na każdéj karcie wprawę i obfitość pewnéj dostojności literackiéj. Mówiliśmy już o pisarzach, którzy używają romansu za sposób, aby zużytecznić i w byle jaką całość związać wybierki, okrawki, urywki dzieł niedokonanych, zgoła to wszystko, co dbalsi o rzetelną sławę, albo skazują na ogień, albo lepiéj opracowawszy we właściwych wydają formach. Ten to zarzut głównie niniejsze dziełko spotyka.

Najróżnorodniejsze bowiem znajdujemy tu przedmioty. Dość przytoczyć tytuły rozdziałów obok siebie stojących. Tytuły te są: *O encyklopedyi*, *Złota brama*, *Widok z góry śgo Andrzeja i krynica śgo Włodzimirza* (w Kijowie) — *o Pchłach i innych rzeczach*. Jakoż tom 1szy nazwaćby po prostu można przewodnikiem po mieście i jarmarku kijowskim. Prawdziwy romans zaczyna się dopiero od tomu IIgo, lubo i w tym jest pełno rzeczy żadnego związku z głównym przedmiotem nie mających. Wątek jest nieco od innych odmiennym. Iwon bierze Władysława na kontrakty kijowskie. Zagrawszy się w karty zostawia wierzycielom swego ubogiego przyjaciela jako zakładnika. Władysław dostaje się w końcu na własność jednemu z nich, który go rankami do przepisywania ksiąg handlowych, a wieczorami za markiera przy bilardzie używa. Tu poznaje się z aktorami, a ci ułatwiają mu ucieczkę. Powoli wciągany przez swych nowych towarzyszów, a raczéj przez budzącą się miłość dla primadonny Heleny, staje się naprzód poetą, a późniéj artystą dramatycznym. Ta Helena jest prawdziwą Korynną. Młoda, nadobna, nawet bogata, poświęca cały swój talent i majątek dla sztuki, dla podniesienia sceny narodowéj w kraju zabranym. Kiedy Władysław w całém uniesieniu i niepokoju rozmiłowanéj duszy zdaje się dobiegać kresu, to jest odgadywać wzajemności spostrzega go kupiec, od którego zbiegł, i już mu znowu

grozi więzienie, lecz znajduje się tajemnicza ręka, naturalnie Heleny, która zaspakaja chciwego kacapa, a młodego artystę stawia po raz pierwszy na stopie wolności i równości z innymi. Helena z wysilenia na scenie, może z tłumionéj miłości, zapada w ciężką chorobę. Gdy już miała się lepiéj, Władysław otrzymuje pozwolenie widzenia jéj. Kochankowie już tylko co mają sobie zwierzyć tajemnicę swych uczuć, co autor opóźnia niepotrzebnie przytoczeniem jakiéjś długiéj poezyi, kiedy z ostatnim wierszem strzał z za okna powala Władysława. Strzał ten pochodził z ręki jednego z aktorów, który oddawna kochał się w Helenie. Władysław odbywszy jedną z najniebezpieczniejszych operacyi, powoli przychodzi do zdrowia, wciąż marząc o swéj kochance. Tymczasem Helena umiera, zostawiając mu cały swój majątek. Na tém się kończy i z tego się składa rzecz, którą najlepiéj określić można jednym z przytoczonych przez autora wierszów:

Z różnych kawałków sukmany,
Na skroniach trawa i liście,
Wytarte płótno przy pięknéj kitajce,
Różne paciórki, wstążek okrajce.

O Biyosie Hultajskim tyleśmy już na wstępie mówili, iż tu tylko dość będzie wspomnieć, że układem należy do tego samego rzędu co powyższy, a treścią romansu bardzo mało się różni od powieści pani Wilkońskiéj. Autor co chwila przypomina, że romansu używa jedynie za sposób powiązania swych mieszanin i gawęd. Jego Julia, oszukana i opuszczona przez męża szulera, dostaje się w Tomie IIIcim do nowego towarzystwa, w którém króluje Helena, daleko wyższa i przez autora z widocznie żywszém zajęciem opisywana osoba. Mamy więc nadzieję, że powieść w dalszych tomach na mniéj spowszedniałe wejdzie koleje. Lecz nie szukajmy ani wartości, ani interesu w tém, do czego sam pisarz żadnéj ceny nieprzywiązuje. Główny bowiem cel i zasługa jego dzieła zupełnie w czém inném spoczywa; chodzi tam ciągle o zaprzeczenie dążnościom i wyobrażeniom Henryka Rzewuskiego. W tym względzie sam autor najlepiéj nas objaśnia gdy mówi:

„Jeźli dzieło pana Bejły ma przejść do nieśmiertelności, „pragniemy także aby i te o nim rozmowy nasze, tyle teraz „w tych okolicach powszechne, uzyskały toż samo prawo, nie „z żadnéj próżności, bo sami czujemy, iż słowa nasze nie „mają wartości i zasług, mogących im w potomności jakikolwiek usposobić przybytek; ale dla tego jedynie, aby późne „pokolenia, czytając pisma pana Bejły dowiedziały się także, „że zdolności, że świetność tego pisarza, nie zdołały skrzy-

„wić instynktu współczesnego społeczeństwa, że zdania jego „zezwolenia publicznego nie uzyskały, i że zostały tylko jako „promienie różnego koloru, na wszystkie strony rozstrzelone „i pozbawione stałego ogniska, z któregoby jednostajne i „czyste światło zawsze czerpać mogły; bo one jako kameleon „blask swój tylko brały od każdego ciała, około którego prze„chodziły."

Następnie więcéj, jak się nam zdaje, z ironią niż przekonaniem powiada:

„Dowiedziałem się, jako o najpewniejszéj rzeczy: że autor „*Mięszanin* pisząc je, nie objawił rzetelnéj swéj myśli, ale „chciał wyprobować uczuć publiczności, czy ona zgodzi się „łatwo na fałsz, gdy ten świetnie wystawionym będzie. „Odebrał zaspokojającą odpowiedź, bo wszystkich oburzył, „a tego oburzenia najwięcéj sobie życzyło szlachetne jego „serce..... bo byłby gorzko jako potomek staréj krwi zapła„kał, gdyby chwilowym słowom jego wiarę dać chciano."

Już nieraz mówiliśmy o fałszu i szkodliwości wyobrażeń szerzonych przez pana Rzewuskiego. Przedmiot ten jest tak ważnym, iż doń wrócimy jeszcze. Tu jednak wypada nam przytoczyć choć jeden wyjątek z dzieła P. Blepońskiego, aby dać poznać, jakim sposobem twierdzenia przeciwnika odpiera. Na zdanie p. Rzewuskiego, że póki naród silny i żyje, potąd objawia swą wewnętrzną poezyą czynami, gdy zaś upada i zamiera, poezya czynów niknie, a duch narodowy, ulotnia się w poezyi zewnętrznéj, pisanéj, która wówczas zostaje ostatniém tchnieniem tego ludu już powstać niemogącego, — tak autor odpowiada:

„Utrzymywać, iż dopiero naród upadły poezyą mieć mo„że, jest to powiedzieć, iż trup życiem jaśnieje, jest to prze„mienić najwyższe wyjawienie się ducha ludzkiego w wyziew „z martwéj zgnilizny wydobyty. Jedna tylko literatura rzym„ska wspiera cokolwiek to zdanie, bo zakwitła po zagaszeniu „rzeczypospolitéj. Ale czyż po Homerze nie mieliśmy boha„terskich i poetycznych dni Salaminy i Maratonu? I czy po „boskim i także poetycznym Platonie nie zajaśniał Aleksander „na czele Greków, jako bohater jakiéj epopei? Grecy więc „z czasów wojen niepodległości i Grecy z czasów podbojów „Aleksandra, nie wyprzedziliż poezyę swych czynów, poezyą „przedmiotową swych wieszczy, która według słów autora „jest już skutkiem dokonanych losów ludu. I trzysta już lat „mija, jak Szekspir na dworze Elżbiety śpiewał, i czyż cudowny „głos jego był ostatniém tchnieniem téj Anglii, która jednak do dnia „dzisiejszego wśród ludów Europy tronując, wysypuje ze „swego łona zwycięzkie żagle i niemi świat cały okala? I

„czyż także śpiew starego Kornela był śpiewem upadku na„rodu, nad którym późniéj panował ów mąż przeznaczenia „co wyrzekł, iż uczyniłby Kornela swym pierwszym ministrem, „gdyby się ten wieszcz urodził za dni jego chwały?... Kto „więc wierzy w poezyą, kto ją poczytuje za język środkują„cy między mową ludzką a harmonią tych miejsc, do których „duch człowieka nieprzerwanie dąży, niech odrzuci to błę„dne choć świetnie przedstawione mniemanie, iż ona jest ła„będzim głosem narodów! Niech owszem wierzy, iż takie ży„wotne objawienie, jest raczéj duszą, jest raczéj myślą przy„szłéj rzeczywistości, która z przyczyny niedoskonałości lu„dzkiéj, nie mogąc się nam w kształtach zupełnych okazać, „przesyła nam jako pociechę z głębi wieków następnych, głos „pełen nadziei, bo wszędzie myśl poprzedza czyn."

W Tomie IIIcim, który obfituje w rozprawy o literaturze, arystokracyi i zadaniach społecznych, znajdujemy w innym kierunku spostrzeżenie godne uwagi powieściopisarzów.

„Jeśli autor w działaniach i ruchu swéj powieści kobiety „wystawić nie potrafi, i tam jéj poznać nie da, ale usiłuje „przedwcześnie jakiś obraz stworzyć, nakształt tych portretów „La Bruyèra lub innych, w których mężczyzni dość dobrze „wyobrażają się, niech odrzuci niezdolne pióro, którém za„chciewa mu się władać, bo każdy portret choć pisany jest „rzeczą martwą, bo jakżeż można w ścisłych ramach i nie„poruszonéj postaci wystawić to co jest ciągłym ruchem, ży„ciem i bujaniem? Udają się często wizerunki mężczyzn, „gdyż ich rysy są więcéj stałe i sposągowane; udają się i „wizerunki kobiet, ale kobiet tylko z imienia, co nie są ani „mężczyznami ani kobietami, lecz wedle wyrażenia Balzaka „*Bimanami*, to jest stworzeniami o parze rąk. Ale gdy rzecz „idzie o młodą i piękną niewiastę, niewiastę taką, jaką ją po„eta i człowiek ukształcony pojmuje, to jakże się piórem od„maluje to, co jest błyszczącém jak rosa, żywém jako fala, „swobodném jako noc letnia, lub burzliwém jako wulkan, za„wsze harmonijném jako śpiew lub wiersz wielkiego wieszcza? „Kusić się o to, jest to chcieć złowić i ustalić tęczę, co pry„zmat przepuszczając promień przez siebie tworzy, a jako nikt „pędzlem nie dał wyobrażenia woni lub dźwięku, tak nikt zu„pełnie wiernie kobiety skreślić nie zmoże. Znaleźli się w wy„branéj i szczupłéj liczbie mistrze, co od stwórcy udział jego „istoty mając, zdołali cokolwiek lepiéj od innych pochwycić „rysy niewiasty i niemi dzieła swe oświetlić. Ale byli to ge„niusze chwały swojego narodu i jeszcze nie każdy naród ta„kim mistrzem się szczyci, choć w innych zawodach poezyi, „jaśniejące gromady wieszczów przedstawia. I my podobno

„w literaturze naszéj nie posiadamy tych zachwycających nie-„wiast, tych Beatryczów, Laurów, Ofeliów i innych, tych siłą „wyobraźni poety utworzonych, czarujących wzorów, co na „niebiosach poetycznych drugich ludów, jako gwiazdy świecą. „Do takich utworów widzimy usiłowania, mozolne napinania „się, ale prawie bezskuteczne, i jeźli ostatniemi czasami nie-„zrównany dotąd Adam niekiedy ponętną postać kobiety nam „przedstawia, to raczéj jest ona odbłyskiem tych wzorów, po „obcych poezyach rozsypanych, niż kształtem samorzutnie z ży-„wiołów rzeczywistości i narodu naszego oddanym. Czyjaż „w tém wina? Czy w braku przedmiotów mogących być ry-„mem lub opisem na wyniosłości postawionych, lub w niedo-„statku u poetów uczucia ogarniającego ze wszech stron nie „tylko postać zewnętrzną, ale duszę i charakter kobiety? .... „Oburzą się zapewnie na to zdanie nasi powieściopisarze dzi-„siejsi, których usilność może największa jest ku temu skiero-„waną, by zajmującym sposobem wystawić drugą połowę świa-„ta. Ale tak jest istotnie, — żadna z kobiet przez nich zle-„pionych nie jest ponętną; niktby ich bohaterek za kochankę „serca swego nie obrał, i ta bladawość i nikłość niewiast po „naszych romansach porozsadzanych, jest przyczyną niepowo-„dzenia tychże romansów. Niech jednak to mniemanie tych „zacnych pisarzów nie obraża, bo musi być jakaś tajemnicza „i niedocieczona przyczyna, dla któréj ich talent w tym pun-„kcie szwankuje, gdyż i najgenialniejsi między nimi w tym wzglę-„dzie podołać nie mogli. Henryk Rzewuski w ***Pamiętnikach „Starego Szlachcica*** stwarzając naprzykład zachwycających: „szlachtę, jurystów, księży, panów i dworzan, i wszczepiając „w pismo swoje jakiegoś ducha poczciwości i jakieś święte uczu-„cie, którém potrafił upoetyzować i łgarza Radziwiłła, i rozbój-„niczego Potockiego, umiał razem z śmiesznych i podlących „wypadków, jakoto z wzajemnie sobie danych basów, przez „Rejenta i Soplicę, oraz z batogów, co za frymarki miłosne „dostał pan Bielecki, wyciągnąć taki sens, iż po chwilowym „śmiechu nauka i myśl moralna na wierzch wybijają się. Je-„dnakowo w tych obrazach, którym tylko całości i związania „misternego nie dostaje, by autora w zbliżeniu Walter Scotta „postawić, on prawie nie dotknął niewiasty, lub niewiasty „u niego znajdujące się, oprócz żony Rysia, co chwilkę tylko „pokazuje się, aby brewerye kozacką wyprawić, są to tylko „machiny do modlenia się, rodzenia i posługiwania mężowi, „machiny bez czucia, bez woli, bez myśli, i ruszające się tyl-„ko za pomocą nastrojenia im danego. Można je szanować, „kochać, ale nie można je czuć lub kochać się w nich."

Ustęp ten ułatwia nam przejście do ostatniego z wyliczonych na czele romansów. I tu znajdujemy obraz delikatną kreślony ręką, charakter kobiety z razu wiele obiecujący, ale pod koniec jakąś dziwną fatalnością spaczony, wbrew założeniu, na przekór domysłom czytelnika i pojęciom sztuki. Pani Ewa Felińska chlubnie już nam znaną była jako Polka i autorka. Wysłana na wygnanie do Berezowa za utrzymywanie stosunków z zagranicą, opisała swą podróż z ujmującym wdziękiem i prostotą. I w niniejszym romansie znać osobę wyższego wykształcenia, głębokich przekonań i żywych uczuć religijnych. Co więcéj, czytelnik od razu odgaduje jeden wyraźny zamiar w dziele, i zawczasu raduje się jego rozwinięciem. I my po przeczytaniu tylu romansów bez celu, na wiatr pisanych, rokowaliśmy sobie niepoślednią pociechę. W czém zawiedzeni zostaliśmy, to wyłuszczenie treści okaże. Hersylia wychowywała się u niedbałych rodziców. Chorążyna, jéj matka, grymaśna egoistka i nałogowa kokietka, cierpieć jéj niemogła, bo przewidywała, że wkrótce zaćmi ją swą pięknością. Chorąży, słaby, potulny człowiek, nie śmiał w niczém sprzeciwiać się żonie, i jeźli miał, to musiał ukrywać swe przywiązanie dla córki. Na domiar złego, guwernantka miasto pilnować lekcyi z swą uczennicą romansowała z nauczycielem młodszego syna. Podobne opuszczenie i prześladowania matki wyrabiały w Hersylii charakter silny, zamknięty w sobie pod powierzchownością spokojną. Znosiła wszystko cierpliwie, płakała często, a modliła się jeszcze częściéj, znajdując w religii jedyną podporę i pociechę. Utrzymywała ją w tych uczuciach, i słowem i przykładem babka złożona od lat wielu ciężką chorobą i równie jak wnuczka wystawiona na ciągłe grymasy i obelgi Chorążyny. Ta, żeby się co prędzéj córki z domu pozbyć, ułożyła sobie wydać ją za sędziego, starego i obrzydliwego skąpca. Na szczęście, w pośród przygotowań sędzia tknięty apopleksyą umarł. Zjawił się nareszcie człowiek godny ręki i serca Hersylii. Półkownik Oskar był dawnym legionistą, z chwałą późniéj służył za Napoleona, a teraz osiadłszy na wsi żył samotnie jak się żyje po zawiedzionych nadziejach i po wielkich katastrofach w świecie. Znajomość świata, odblask wojennéj chwały, smutek w zaciszu karmiony, otaczały go urokiem tém większym, że występował jak gdyby z po za chmury. Oba charaktery zdały się dla siebie stworzone. Niebawem też małżeństwo przyszło do skutku. Pierwsze lata były dla obojga nader szczęśliwe. Wkrótce jednak Hersylia odkryła że mąż nie miał religii. Tu przybyliśmy na rozstajne drogi. Odkrywało się dla autorki piękne i bogate w naukę pole wy-

stawienia walki między duszą kobiety głęboko wierzącéj i nieszczęściami uzbrojonéj przeciw wszelkim pokusom, a dumnym i zepsuciem wieku skażonym umysłem mężczyzny. Pociąg do nadzwyczajnych scen i okropnych katastrof porwał ją w przeciwną stronę. Hersylia prawie bez oporu ustępuje, czyta Woltera, Helwecyusza, Volneya i traci wiarę do szczętu. Tymczasem Oskar staje się jéj niewiernym. Po rozmaitych awanturach miłośnych uwodzi w własnym swym domu Hersylii kuzynkę, która topi się z rozpaczy. Hersylia naprzód ucieka do Wilna, potém powraca do domu rodziców, ale na to jedynie, aby trucizną odjąć nienawistne sobie życie. Konająca babka, jak widmo z drugiego świata, przybywa do jéj łoża i upominając ją umiera. Hersylia nawraca się, spowiada, żałuje za grzechy i w okropnych boleściach ducha oddaje. Otóż powieść cała. Jakżeż niezgodna z swém założeniem. Na toż autorka nagromadziła tyle prób nieszczęść, prześladowań koło młodéj Hersylii, na toż ją nam aż do połowy drugiego tomu wystawiała w całym uroku głęboko wierzącéj duszy, w całéj sile niewzruszonego charakteru, aby późniéj okazać jak wątłą i bierną była istotą? Nie dość, że Hersylia bez dostatecznego powodu, bez walki, z niesłychaną łatwością pozbywa się skarbu tylu trudami nabytego, — nie dość, że przygnieciona nowemi klęskami nie zadaje sobie najmniejszéj pracy, by powrócić do źródła zkąd dawniéj tyle łask czerpała, — nie dość, że popełnia samobójstwo, — ale jeszcze w końcu, już po zadaniu sobie trucizny, taką zatwardziałość okazuje, że nawet napomnienia księdza w obec śmierci nie są w stanie jéj skruszyć, i dopiero aż widma na wpół umarłéj babki potrzeba, aby w niéj dawną wiarę obudzić. Gdyby była całe życie zbrodniarką, mógłżeby koniec jéj być okropniejszym? Zkąd taka łatwość w odstępstwie, a taki upor w grzéchu? Nie, innéj niema przyczyny jedno ta, że autorka wszystko poświęciła, jedność zamiaru, zgodność rozkładu, spoistość charakteru, tryumf prawdy, dla naciągniętéj nadzwyczajności, że nie powiemy cudowności ostatniéj sceny. Ta to jest główna wada naszych romansopisarzów. Rzadko który wyznacza sobie cel jaki, a ci nawet, którzy go z razu mają na myśli i mozolnie ku temu gromadzą żywioły, tworzą osoby i okoliczności, nagle go potém odbiegają dla jakiegoś tam efektu, jaki daleko przeraźliwiéj wystawionym znaleźć można w lada tuzinkowym romansie lub dramacie francuzkim. — Zkądinąd przyznać należy autorce, że praca jéj dobrze ujęta brzegami właściwemi romansowi, nigdy ich nie przekracza, przez długi czas doskonale swój zamiar uwydatnia, a wyjąwszy niepotrzebnéj ka-

rykatury sędziego i tragicznéj śmierci kuzynki, za spospoliconemi sposobami nie goni. Wyborne jest pojęcie i przedstawienie téj choréj staruszki, która zapędzona do najciaśniejszego kątka prześladowaniem grymaśnéj synowéj, z krzyżem w ręku z łoża boleści roztacza błogie światło nad tym domem płochości i niezgody. Zgoła, gdyby była autorka więcéj swemu talentowi i bogactwu przedsięwziętego zamiaru zaufała, a nie oglądała się na przepisy szalonéj szkoły francuzkiéj, byłaby nas udarzyła tém więcéj upragnioną że rzadką osobliwością w tych czasach, to jest romansem nie bez moralnego celu pisanym, i bez zboczeń, w ścisłéj z pierwotną myślą zgodzie aż do końca zostającym. —

I. Dziewczyna i dama czyli dwa oświadczenia, dramat w czterech aktach przez J. Korzeniowskiego. (pisany 1837 r.) Warszawa 1848.

II. Izabella d'Ayamonte, dramat w czterech aktach przez Józefa Korzeniowskiego. Wilno 1848.

Pod temi tytułami wyszły z. r. dwie prace dramatyczne Korzeniowskiego. *Dziewczyna i dama* wydaje nam się anachronizmem w naszych czasach. Treść dramatu jakkolwiek mo że wzięta z życia, przecież nie obudza w czytelniku wysokiego moralnego interesu i chyba rozwiązaniem podraźnić ciekawość jest zdolna.

Alfred, młody człowiek, serdeczny ale nieco lekkomyslny, żyje w towarzystwie pani Adamowéj, pięknéj wdowy, ktoréj wiele zawdzięcza przyjaznych ofiar i przysług; jak oczywiście, zwolna i nieznacznie uczucie przyjaźni i wdzięczności zamienił on w namiętną i burzliwą miłość. — Miłość swoją zwierza przyjacielowi Karolowi, który na zimno robi mu przedstawienia, o lekkości i płochości charakteru pani Adamowéj, następnie z lekceważeniem przyjmuje drugie zwierzenie się Alfreda, że kiedyś kochał i uwiódł prostą dziewczynę, która dla niego z domu rodziców uciekła a ktorą dziś dla tamtéj porzuca. — Alfred dziewczynę tę poleca staraniom i opiece przyjaciela. Przed samém wyjsciem trochę nienaturalna budzi się w nim obawa o stosunki przyszłe Karola z panią Adamową. „Za kilka dni, może „za kilkanaście, ona tu wróci. Ja będę daleko. Ty ją będziesz „widywał codzień. Rozum jest niewiernym stróżem serca. „Gdyby czasem . . . w złą chwilę . . . (wstrząsa się) „Nie, tyś mi więcéj jak brat; tyś mój przyjaciel. Bądź zdrów „(wybiega). —

Jest coś naciągniętego w téj obawie; i dopiero w dalszym ciągu dramatu wyjaśnia się, jak autor zastrzegł sobie z tego miejsca inne powodować sceny.

Alfred wyjeżdża na wieś gdzie bawi Pani Adamowa, zaś p. Karol wywięzując się z danych mu poleceń odwiedza opuszczoną Kasię, która go przyjmuje z bolesną i rozpaczną godnością; zdaje o tém listownie sprawę Alfredowi a odnosząc się do ostatnich słów rozmowy dopisuje: „Bądź spokojny kochany Alfredzie! powtarzam ci raz jeszcze com mówił, że to ostatnia kobieta, coby mnie ujęła."

List dostaje się w ręce pani Adamowéj, obudza jéj miłość własną i chęć zemsty. Kobieta ta zapomina, że przyrzekła pozostać na wsi do powrotu Alfreda, który znowu odjechał i spieszy do miasta. Pan Karol, właśnie powtarzał przed hrabią Zbickim opinią w liście do Alfreda o pani Adamowéj wyrażoną, kiedy odbiera od niéj zaproszenie na obiad. Idzie i zastaje ją niby słabą, ale uzbrojoną we wszystkie powaby, jakiemi kobieta lekka i za hołdem goniąca otoczyć się umie. — Scena ta niezbyt jest zręczna, a nieskromnością jak najgorszego smaku razi. Karol mimo małego szacunku dla pani Adamowéj, wpada w zastawione sidła, zawodzi przyjaciela i własnym zasadom fałsz zadaje. Tymczasem p. hrabia Zbicki, stary i ułomny bogacz, znawca ludzi, ze złéj strony, człowiek co wie o wszystkiém, co przebył wszystkie uczucia i zachcenia, i doznawszy z powodu niemiłéj powierzchowności mnóstwo wstrętów i zawodów, chce ostatnie chwile życia w spokojności domowego pożycia, obok już nie kochającéj i ubóstwianéj żony, ale przynajmniéj przyjaciółki przepędzić, postanawia ożenić się. Przywołuje on uwiedzioną Kasię, o któréj mu Karol wspomniał i ofiaruje jéj swą rękę. Scena kończy się następnym dialogiem:

Hrabia... Oto ręka moja — przyjmujesz?
Kasia. Kobieta która się oddaje bez serca — przedaje się.
Hrabia. Więc niczego odemnie nie żądasz?
Kasia. Część tych łask, któreś chciał zlać na mnie, zléj na moich rodziców.
Hrabia. Więcéj żadnego nie przyjmujesz dobrodziejstwa?
Kasia. Prócz pracy — żadnego.
Hrabia. Podaj mi rękę — szacuję cię.
Kasia. To dobrodziejstwo przyjmuję i przy nogach twoich dzięki ci za nie składam.
Hrabia (podnosząc ją). Bądź zdrowa; od rodziców będziesz miała wiadomość. (Kasia wychodzi.) (Hrabia sam.) Dawnom nie był tak wzruszony. O szczęśliwa młodości! Ty masz łzy i nadzieje.

Alfred wróciwszy z podróży a niezastawszy kochanki na umówionêm miejscu, ze złêm przeczuciem jedzie do miasta, i spieszy do pani Adamowéj. Znalazłszy u niéj gości i Karola na miejscu, które sam kiedyś zajmował, upomina się w głos o swoje prawa, kompromituje gospodynią, i wyzywa rywala na pojedynek. Hrabia ofiaruje się być sekundantem i świadkiem Karola. Zkądinąd rozważywszy położenie pani Adamowéj powiada sobie: „Moim płaszczem może się okryć „ten wstyd, i ta tylko ręka potrafi zamknąć złośliwe gęby,” i zamówiwszy księdza i świadków, wprost się jéj oświadcza. Wystarcza przedstawienie, że majątek jéj zrujnowany, że dobra sława „ten najdroższy skarb kobiety” stracona; hrabia znowu obiecuje szacunek, delikatność, zapomnienie przeszłości, i obronę od pocisków złośliwych. Pani Adamowa oddaje rękę hrabiemu. Karol dowiaduje się z zadziwieniem, że nie był kochany i że to tylko zemsta za list jego do Alfreda, spieszy więc do niego i co prędzéj się godzi. — Kasia kocha ciągle Alfreda, i kiedy ten ciągle jakieś skrupuły oświadcza, chce się topić. Hrabia wraca ją szczęściu; tak przynajmniéj rozumieliśmy zakończenie:

Hrabia. Téj pięknéj twarzyczce, téj stokroć piękniejszéj duszy ofiarowałem moje imię i dziedzictwo moich milionów. Alfredzie! odrzuciła je — dla ciebie — teraz na ciebie koléj zapłacić jéj za to.

Alfred. Czuję ja jéj dobroć i miłość. (Zaambarasowany.) Ale przyznam się w téj chwili (odchodzi na bok, wszyscy idą za nim. — Kasia spogląda nań z wyrazem rozpaczy i wybiega.)

Hrabia. Co? co? więc nie żenisz się? szkoda — miałem dobrą myśl.

Karol (z gniewem — ogląda się). Z kimże się będzie żenić, kiedy już jéj nie ma.

Alfred. Gdzie ona? ha! (wychodzi) Kasiu! Kasiu!

Hrabia. O! tak, musztarda po obiedzie — ale dokądże pobiegła?

Antoś (w oknie) Jezus Marya! — prosto do rzeki.

Hrabia. Otóżto widzicie, panowie, jak niebezpiecznie żartować z sercem biednéj dziewczyny. — Z damami możecie poigrać, bo te poigrają z wami. Niewinne dziewczęta szanujcie, bo te kochają. Dama przez was zapomniana, także zapomni, dziewczyna zapomniana, pójdzie do rzeki — i utopi się. (Gwałtownie). Ale biegnijcież asaństwo. Cóż stoicie jak malowani? (niektórzy wychodzą spiesznie.)

Karol. Mówiłem zaraz, że on jéj nie wart. (Bierze kapelusz.) O! biada!

Hrabia. To porządek naturalny, kiedy która wychodzi z domu bez wiedzy ojca i matki, to idzie prosto — do rzeki. Ale pójdźmy, trzeba ją ratować. (Patrzy w okno.) No, dzięki Bogu! teraz posag jéj do mnie należy. (Wychodzą.)

W dwóch tych ostatnich omówieniach zawarta jest myśl dramatu. Łatwo się zgodzić z autorem na zasadę, że kobieta nie powinna nigdy deptać stosunków miłości i posłuszeństwa ku rodzicom, że w żadnym razie nie godzi się jéj kochankowi poświęcać czci i sławy; ale w żadnym razie przystać nie można na rozróżnienie w prawidłach postępowania wedle tego, czy chodzi o biedne dziewczyny, czy o wysokie damy; ani obowiązek porządnego życia, ani szlachetność na podobne subtelności nie pozwalają. Podobno ani mężczyźnie z sercem kobiety, ani kobiecie z sercem mężczyzny igrać się nie godzi. Ogólnie tylko surowy sąd sformułować można. W całéj sztuce ani wynalazku, ani zręcznego powikłania wypadków, ani charakterów, ani dowcipu nie ma. Grube koncepta najniewymyślniejszy nawet smak urazić muszą. Styl niedbały, włóknisty, żadnéj staranności, żadnego względu na literacką powagę własną nie pokazuje. Dziwna rzecz, że autor, który pisze dobre obyczajowe powieści, na znośną sztuczkę teatralną mniejszego rozmiaru zdobyć się nie może.

Z większym interesem, z większém zadowolnieniem czytaliśmy dramat *Izabella d'Ayamonte.* W ogóle sztuka ta ma jakieś przestronniejsze rozmiary, charaktery staranniéj obmyślone, dramatyczność wyraźniejszą.

W Izabelli treść jest na pozór podobną do Emilii Galotti, ale całe zawikłanie intrygi i rozwiązanie nowe, nawet szczęśliwe nam się wydaje. Rzecz się dzieje w Madrycie za czasów Filipa III. i rządów księcia Lermy. Faworyt ministra, hrabia di Palma, świetny młodzieniec, prowadzi rozpustne życie; przecież wśród ogólnego zepsucia, którém się otacza, zachowuje jeszcze na dnie serca szczątki dobrych uczuć, ów ostatni pieniążek gracza, który w szczęśliwéj chwili postawiony, ratuje go z toni. W wyprawach swoich i przygodach miłosnych posługuje się Hernandesem, wiernym i arcyprzebiegłym marszałkiem dworu, którego charakter przesadził autor. Przypadkiem spotyka się hrabia z Izabellą córką don Pedra d'Ayamonte, starego i ubogiego ale dumnego szlachcica, co się odznaczył w bitwie pod Lepanto — i należał do wyprawy Armady. Przez kilka dni widuje się Izabella z pięknym Rodrygiem w kościele swéj patronki, i choć nigdy z nim nie rozmawia, oddaje mu swe serce. Hernandez przekupuje piastunkę Izabelli Margaritę, ale Don Pedro wpada na ślad zdrady

i poleca synowi Fernandowi śledzić kroki Izabelli. Sam w imię dziecinnego obowiązku wzywa ją do powiedzenia prawdy. Izabella nie tai się ze skłonnością, jaką w jéj sercu obudził młody człowiek, nieznany jéj nawet z nazwiska, a przyrzekłszy ojcu, że jego woli słuchać będzie postanawia unikać przedmiotu swéj miłości. Scena ta jest piękna i zręcznie przez autora s kreślona.

Don Pedro. Słuchaj córko! włosy moje siwe; wiek mi przeszedł gorzko i w troskach. Wszystko mnie oszukało. Straciłem majątek, zadłużyłem się; żona umarła mi zawcześnie, usługi moje dla kraju zostały nienagrodzone, nieuznane. Ty jesteś moją jedyną pociechą, jedyną nadzieją. Pojmujesz to Izo?

Izabella. Ojcze! dla czegóż to mówisz! czyż się boisz, abym ja twoich nadziei nie zawiodła?

Don Pedro. Boję się moje dziecię. Jam ci naznaczył innego męża, a ten młody człowiek tobie się podobał.

Izabella. Zkądże o tém wnosisz, mój ojcze?

Don Pedro. Dla jego miłości skłamałaś. Nie prawdaż?

Izabella (cichym głosem). Prawda mój ojcze.

Don Pedro. Nie chcę cię więcéj wypytywać, bo byś może jeszcze raz odważyła się na nieprawdę. A to byłby już grzech cięższy. Ale słuchaj moje dziecię, oto rada ojca, dla którego ty jesteś źrzenicą, przez którą widzi niebo i słońce. Żyjemy w czasach złych, w czasach zepsucia i rozpusty. Filip III. zamknięty w swoim pałacu, nie wie co się dzieje. Potężny minister rządzi wszystkiém, a jego krewni buszują bezkarnie. Ci znowu mają swoich faworytów, których grzechy znajdują wymówkę i obronę w grzechach ich patronów. Nie znasz tego, który na ciebie zwrócił swoje oczy, ku któremu się może twoje myśli skłoniły. Któż wie, może to właśnie jeden z nich moja Izo! Gdyby miał uczciwe zamiary, przyszedłby wprost do mnie i powiedziałby: Starcze, twoja córka podobała mi się. Jestem ten i ten, pozwól mi dać się jéj poznać i zyskać jéj serce. Czujesz to sama, że to droga najkrótsza, bo droga honoru i poczciwości. Ponieważ idzie inną, i przed progiem moim upuszcza dukaty — bo to jego złoto, czuję to po tym ogniu, którym mię pali (wyrzuca dukat przez okno), widać, że ma zamiar zhańbić moje siwe włosy. Pamiętajże o tém Izo.

Izabella. Będę pamiętać mój ojcze.

Nazajutrz dzień, zastępuje jéj przed kościołem Rodryg, ale

zostaje odparty powagą i godnością dziewicy. Rodryg nie zraża się, owszem opór tém większą w nim budzi namiętność i żądzę. Monolog Rodryga charakteryzuje go zupełnie. Lekkie życie jakie prowadził, zakryło przed nim tajnie prawdziwéj miłości. Postanawia, mając władzę w ręku, wszystkich użyć sposobów, byle dostać się do Izabelli, a naprzód wydaje rozkaz uwięzienia Don Pedra. Tymczasem Fernando, który go widział przed kościołem St. Izabelli zbliżającego się do siostry, wyrzuca mu na oczy jego postępowanie; Rodryg, z rzadką przytomnością pisze rokaz, by uwięziono także Don Fernanda, który nie domyśla się niczego, wyzywa do walki Rodryga, i w tym pojedynku traci oręż. W chwili kiedy go aresztują, strzela do Rodryga, chybia i zostaje odprowadzony z rozkazu nowego hrabi do domu obłąkanych. Scena ta głównie na zręczném wydaniu rozkazu polegająca, przypomina nam trochę Żyda wiecznego, i jakkolwiek prawdopodobna, nienaturalną nam się wydaje. Wieczorem Rodryg spieszy do Izabelli, która dowiedziawszy się o uwięzieniu ojca i brata z wstrętem i godnością drzwi mu wskazuje. —

Don Rodryg. Przebóg! Donna Izabello! takżem straszny, że mię przyjmujesz z przerażeniem. Ten krok śmiały natchnęła mi miłość, Izabello! — O nie dziw się, że cię można kochać po szalonemu.

Izabella (upamiętawszy się, mówi z godnością). Prawdziwa miłość czyni skromnym i bojaźliwym tego, co nią przejęty. Zuchwalcy kochają tylko siebie, proszę ztąd wyjść. Jestem sama jedna w domu — ojca mego nie ma.

Don Rodryg. Właśnie dla tego tu jestem, piękna Izabello. (przybliża się). O! pozwól mi wszystko powiedzieć, co przepełnia moje serce.

Izabella. Jak to? Dla tego tu pan jesteś, że ojca mego nie ma? Więc wiedziałeś o tém? Wyjdź pan natychmiast, abym nie była przymuszona gardzić mężczyzną, który się okazuje śmiałym, bo wie że zastał same tylko kobiety.

Rodryg uprzedza ministra, księcia Lermę i wszystkie wyższe władze, żeby Izabellę szukającą pomocy i łaski dla ojca i brata odesłały do niego, ale w oczekiwaniu na nią nawiedzają go dobre myśli nie zupełnie jeszcze zepsutego serca, budzą się resztki niezagłuszonego sumienia. Namiętność jeszcze zwycięża. „Musi być moją,” woła. W tém ukazuje się żałobna postać Izabelli. — Cnotliwa dziewica staje w obec zepsutego ale powabnego człowieka; odbywa się walka miłości do ojca i brata, uczciwości niewieściéj ze słabością, walka stra-

szna dla wszystkich serc wysokich! — W téj peripecyi nie zwycięża wyraźnie dobre, tylko rozpacz z jednéj strony, z drugiéj niegodziwość widać. Wszystko to jest znowu zbyt natężone. W scenie o któréj mówimy, powinno już nastąpić rozwiązanie akcyi dramatycznéj. Tymczasem nie tu koniec powikłania. Izabella nie mogąc zwyciężyć prośbą Rodryga, przyrzeka hańbą okupić wolność ojca i brata. Po jéj wyjściu dopiero przychodzi winnemu upamiętanie, sumienie zwycięża trochę znienacka. Rodryg pisze do Fernanda, że kocha jego siostrę ale już inaczéj jak pierwéj, że z nią się połączyć pragnie, że prosi go o przebaczenie, że będzie się starał ojca i córkę przebłagać; sam spieszy do swéj rodziny, by jéj to postanowienie oznajmić. Uprzedza téż potém Izabellę, że czuje się na drodze poprawy, że ona wydarła go z rąk rozpusty i błaga ją, iżby nie odrzucała go napowrót w przepaść. —

Hernandesowi nie udaje się z Fernandem, który nie spodziewając się niczego dobrego po Rodrygu, drze list jego nie przeczytawszy, i tylko pałając zems'ą a nie mogąc pozbyć się natrętnego Hernandesa, przebija go własną szpadą i pędzi zemścić się na Rodrygu. W tém usposobieniu wbiega do domu ojca, a zastawszy tam Rodryga, który był do Don Pedra pospieszył, wyzywa go do walki, w którą miesza się Izabella. Izabella wpada na szpadę brata, który nie chce zrozumieć żadnego przedstawienia.

Izabella (skłania się na piersi Don Rodryga). Rodrygu! tyś nie raniony. Oh! dzięki Bogu, jak słodko za Ciebie umrzeć! (sadzają ją — Margarita płacząc, klęka przy niéj i tamuje jéj krew).

Don Rodryg. O! to dzień przeklęty. (Zakrywa twarz i tak stoi).

Izabella. Rodrygu! ja umrę? (Słabnie).

Don Rodryg. Wiem, wiem — ty umrzesz za mnie. Z początku chciałem ci odebrać honor, a skończyło się na tém, że tylko tracisz życie, — to jeszcze pół biedy.

Izabella. Oh! ratujcie mię.

Don Rodryg. Ratujcie ją — czemuż jéj nie ratujecie. (Przystępuje do Don Pedra i bierze go silnie za rękę). Starcze! czemuż stoisz jak skamieniały? czyż ty nie widzisz, że ten szaleniec córkę twoją zabił?

Don Pedro (przychodząc do siebie). Zabił? kto, kogo? Mój syn zabił moją córkę, brat zabił siostrę, bo chciała piersiami swemi zasłonić rozpustnika, którego kocha — to nie prawda: kłamiesz człowieku bez Boga i sumienia — toś ty ją zabił — ty, któryś

mnie chciał oddać na stos a jemu odebrał rozum. Myślałeś, że co rozpusta zepsuje, to upamiętanie naprawi? Widzisz że to nieprawda.

Taki koniec dramatu; prawda, że Fernando niedostępny pobłażającemu uczuciu, powodowany zemstą tylko, zostaje ukarany śmiercią siostry, zniszczeniem pokoju całéj rodziny, Izabella ukarana za winę, że przyjęła miłość nie z woli ojca idącą; Rodryg śmiercią kochanki i własną odpowiada za lekkomyślność rozpustną, kierującą jego kroki. Mimo to jednak nie zdołamy się oprzeć przerażającemu wrażeniu, jakie taki koniec na nas wywiera. Czyżby zdanie starego Don Pedra miało być prawdą, że upamiętanie się nie naprawi tego, co rozpusta zaczęła; i to tak nieubłaganą i niecofnioną, jak ją nam autor przedstawia? Może tak być czasem, ale nie widzimy konieczności, i twierdzimy: że dramat byłby piękniejszy, gdyby się inaczéj kończył. Tak jak jest, przypomina wszystkie melodramata z teatrów bulewarowych paryzkich.

Budnik. Obrazek przez Józefa Ign. Kraszewskiego. Warszawa 1848. w drukarni Stanisława Strąbskiego.

Powieść ta drukowana częściowo w Bibliotece Warszawskiéj zeszłorocznéj, osobno późniéj wydaną została. P. Kraszewski ze zwykłą zdolnością dał nam w niéj epizod z życia ubogich budników polskich, pomieszczony śród obrazów rozpusty i swawoli młodzieży szlacheckiéj. — Te ustępy stanowią główną treść powiastki; śród nich giną i maleją szczegóły o budnikach, odmianie ludu naszego najmniéj może znanéj a zamieszkującéj lasy Polesia wołyńskiego. —

Treść powieści jest następująca: Bartosz ubogi budnik, poczciwy w swojém ubóstwie, pracuje w pocie czoła, aby choć w połowie na wyżywienie Pawłowéj, wdowy po swym przyjacielu, córki własnéj 15letniéj Julisi i syna najstarszego głupowatego Macieja zarobić. Piękna Julisia wpada w oko młodemu Jasiowi, paniczowi zepsutemu i lekkomyślnemu, którego postać do rzędu pospolitych w rzeczywistości i w powieściach typów należy. Wspierany intrygami służących i przyjaciół a korzystając z oddalenia Bartosza, którego dla podejrzenia o udział w kradzieży koni niewinnie uwięziono, sprowadza Jaś Pawłową, którą był ujął sobie, wraz z Julisią do dworu matki, ślepo go jako jedynaka miłującéj. Nie mogąc postawić na swojém we dworze, przenosi Julisię napowrót do chaty leśnéj, tam otacza ją dostatkami i wygodą, tam uwodzi biedną dziewczynę. Tymczasem Bartosz za wstawieniem się wszystkich budników z okolicy i za ich poręką

wypuszczony, wraca do domu, w którym ze zdziwieniem widzi zamożność, w porównaniu do dawniejszej nędzy, panującą. Julisię zastaje obłąkaną z rozpaczy i bojaźni; i zaraz domyśliwszy się wszystkiego, wypędza od siebie Pawłowę, zabiera córkę, którą swoją poczciwie nabytą siermięgą okrywa, zapala chałupę i do lasu się chroni. W kilka dni potém, Bartosz zaczaja się na Jasia polującego w lesie, chce go zabić, strzela; ale go tylko rani wystrzałem. Julisia umiera, umiera wkrótce po niéj Bartosz, którego Jaś upamiętawszy się w końcu od więzienia wyzwolił.

Autor przedstawił nam nędzę ludzi szlachetnych i nieugiętych w biedzie, wystawionych na klęski najdotkliwsze, na zamachy złych i zepsutych bogaczów. Jak wiemy, jest to często powtarzana historya i bodaj niewiele się wysilił p. Kraszewski, żeby ją jeszcze raz odtworzyć. Historya Julisi nie daje jeszcze powieści wartości miejscowego obrazka. Pięknym w téj mierze ustępem jest dopiero obraz poświęcenia i szacunku budników dla Bartosza. Szkoda że takich ustępów więcéj się nie napotyka. Zręcznie téż, z dowcipem i ironią przedstawia p. Kraszewski gapiowatego Macieja. Jak zwykle tak i w **Budniku** napotyka się nieprzyzwoite szczegóły wcale do malowania charakterów niepotrzebne. Kiedyż autor zrozumie, że przez to godności swego powołania pisarskiego ujmuje. Z ostatnich słów obrazka wskazalibyśmy stanowisko, z którego autor zapatruje się na świat i ludzi. „Macieja zrobiono leśniczym, a Burek (pies) dotąd się za nim „włóczy, i często mógłby się sprawiedliwie użalać na nie„wdzięczność swojego pana, gdyby psy nie były daleko po„czciwsze od ludzi a nadewszystko cierpliwsze! Prawda, że „téż to psy tylko!”

Rzeczy takiéj trudno inaczéj jak żartem utrzymywać. Bądź co bądź, podkreślamy te słowa dla tego, że P. Kraszewski rzadko stawia zasady stałe i pewne i raczéj zapatruje się na ludzi z ironią jak z miłością.

Polemika.

Szanowny Wydawco.

Otrzymałem tu późno w Paryżu zeszyty twojego pod tylą względami zaleconego pisma, i dla tego późno dostało mi się czytać numer jego marcowy, w którym raczysz się zajmować osądzeniem dwóch kazań mianych tu przezemnie na końcu przeszłego roku.

Gdyby te kazania były zupełnie z druku wyszły i puszczone były w obieg, miałbyś był do tego niezaprzeczone prawo. Ale wiesz dobrze, że jeszcze dotychczas tak się nie stało, tém samém nie były one ogłoszone, kiedyś o nich pisał. Jeślim ci je posłał w arkuszach z pierwszego odbicia, tedy posłałem ci je jako przyjacielowi, z którym radzi dzielimy się wszystkiém co mamy, dostatkiem i ubóstwem, szczęściem i nędzą, złém i dobrém. Ale czyż zaraz wypadało o nich mówić i pisać? Czyż dla tego, że kto dziennik pisze już mu nie można nic po przyjacielsku i osobno udzielać; lecz się trzeba wciąż i przedewszystkiém obawiać, aby z rzeczami naszemi przed całym światem nie wystąpił?

Raczże tedy przyjąć, Szanowny Wydawco, ten mój żal; i nie tylko go przyjąć ale do publicznéj podać wiadomości; bo z twojéj winy to się stało, że publiczność przyszła do poznania tych kazań i ich treści nie w taki sposób w jaki ich sprawca zamierzał i pragnął, aby do ich poznania przyszła. Przyłączał bowiem do nich przedmowę i pewne dodatki, które objaśniały co mniéj jasnego, prostowały co na pierwszy widok zdawało się w tych kazaniach mniéj prostego znajdować. A teraz zamiast tych potrzebnych i usłużnych pomocników musiały się one, w skutek niespodziewanego wyprowadzenia swego przez ciebie na ulicę, surowo i bez przygotowania przed ludźmi pokazać.

Może się to da poprawić. Ale nim mi pozwoloném będzie te mowy z właściwym ich przyborem puścić na widok publiczny, już dzisiaj pilno mi bardzo sprostować sąd téj saméj publiczności, którąś niejako w błąd wprowadził. Ty z twojéj strony zechcesz równie przyczynić się do tego sprostowania, nie tylko przez wzgląd na przyjaźń ale i na sprawiedliwość, umieszczając jak najdokładniéj to moje odwołanie się do ciebie.

Przeciwko twojemu ocenieniu zasad w tych mowach wyłożonych, nic niemam, a to nie tak dla tego, że się zgadzasz na te zasady, jak raczéj dla tego, żeś je wiernie i dostatecznie wystawił. Nie tak atoli rzecz ma się z tém, coś napisał o zastósowaniu tych zasad do sprawy wiedeńskiéj w tych mowach uczynioném. Powiedziawszy naprzód, że uważam sprawę wiedeńską za sprawę świętą, za sprawę prawdziwéj wolności, i ledwie napomknąwszy, że czynię jakieś wyjątki, przytaczasz, jak to mówią na dobitkę, te moje słowa: że plamy na sprawie wiedeńskiéj niema, że jest cała święta i boża; i to wszystko kończysz wnioskiem, który sam za tém idzie, a który jest sądem i wyrokiem, że „po kapłanie chrystusowym wymagamy „pewniejszego sądu, dojrzalszéj roztropności. Cóż po doskonałości zasad, jeśli je mylnie stosujemy w życiu?“

Czynisz mi tutaj, szanowny nie już przyjacielu, ale dziennikarzu i sędzio, zarzut ciężki i dosyć bolesny, gdyby był prawdziwy. Szczęściem, że prawdziwym nie jest. Jakim zaś sposobem stać się mogło, żeś niesłuszny mi zarzut uczynił, to sobie łatwo tłómaczę; twój zawód dziennikarski uchronić się od tego nie może, i tylko ubolewać potrzeba nad koniecznością, w jakiéj się znajdujesz wraz z innymi dziennikarzami wydawania za każdym numerem ze dwudziestu wyroków na rozmaitych ludzi i ich dzieła, które aby zawsze mogły być słuszne, wydaje się mi niepodobieństwem.

Jakkolwiek z resztą ma się rzecz z twojemi innemi wyrokami, przeciwko temu atoli, któryś na moje mowy wydał, mam najzupełniejsze prawo oświadczenia się.

Skarżę się naprzód i głównie na to, żeś nie wystawił rzeczy tak jak przezemnie była wystawiona. Wystawiłeś sprawę wiedeńską, czyli raczéj nie sprawę wiedeńską, ale jéj szumowiny i osad, któreś nazwał sprawą wiedeńską, wystawiłeś tedy ją po swojemu; rzekłeś, że tam wrzały „wszystkie szały „i namiętności, błędy i urojenia, małości i nieudolności burzą-„cego radykalizmu; — i że tam tylko gminowładztwo stoczyło „z możnowładztwem walkę o panowanie.“ A jakby tu sprawa inaczéj pojętą i wystawioną być nie mogła i jak gdybym ja w mowie mojéj żadnych nie uczynił rozróżnień i żadnych nie dał dowodów innego znaczenia i prawdziwéj właściwości téj sprawy w tém jéj odosobnieniu i rozróżnieniu od przymieszanych do niéj złych żywiołów, całą sprawę jednym ryczałtowym sądem na potępienie wskazałeś i wraz z nią moją jéj obronę i pochwałę.

Cóż byś rzekł, szanowny wydawco, a raczéj co mówisz o tych politykach, których tu niestety w Paryżu mnóstwo napotykamy, co patrząc na to jak Polacy dowodzili w Badeńskiém, jak się bili w Genui, jak koczowali po Włoszech i w Rzymie, wrzeszczą i łają nie już Polaków, ale sprawę polską, ale cały nasz naród; i nazywają nas rozsiewaczami bezrządu, podpalaczami rewolucyi, ożogami gminoburstwa; w których wrą wszystkie szały i namiętności, błędy i urojenia burzącego radykalizmu; a którzy imienia swéj sprawy, imienia Polski używają jedynie za pokrywkę szalonych swoich i burzycielskich zamachów? Cóżbyś rzekł o podobném wystawieniu naszéj sprawy? Czyżbyś niepowiedział, że pomięszano czego się mięszać nie godzi? Że co innego jest sprawa Polski zawsze sprawiedliwa, zawsze święta; a co innego wyskoki niektórych jéj przyrodzonych obrońców, niektórych Polaków, które być mogą często nieroztropne, a często nawet przestępne?

Otóż, mojém zdaniem, takeś postąpił ze sprawą wiedeńską. Wyrzekłeś, że to sprawa radykalizmu i gminowładztwa, opierając się na takich samych poznakach odstępujących od rzeczy, jakiemi są wyprawy badeńskie i włoskie w stosunku do sprawy polskiéj. W obec tego sądu twojego, jak utrzymywałem w mowie, tak tu utrzymuję w téj odezwie: że sprawa wiedeńska jest sprawą wolności. A ponieważ nie ma między nami powątpiewania, czy sprawa wolności jest sprawą świętą, ztąd wypływają wszystkie następstwa w mowie wskazane. Idzie o to tylko, abym ci dowiódł, że sprawa wiedeńska jest sprawą wolności, a na to nie potrzeba mi innych dowodów jak te, którem w saméjże mowie umieścił.

Trzy są chwile, trzy okresy w wypadku wiedeńskim. Pierwszą chwilą jest wybuch powstania, drugą jest postawienie się sejmu na czele ruchu, trzecią jest jego usunięcie się od przewodnictwa. Pierwszéj chwili i pierwszego okresu ani chwalę ani bronię; i to powiedziałem najwyraźniéj: „początków „nie chwalę, rzekłem, i w ogóle morderstw nie chwalę.“ Przyznaję, że to podniosłeś z moich rozróżnień i zastrzeżeń; ale też tylko to jedno. Nie wiem czy czujesz całą wagę tego wyjątku. W tym początku, którego nie chwalę, leży całe piętno radykalizmu i gminowładztwa, jakie się przymięszało do wypadku wiedeńskiego; ale się on prędko od niego oczyścił przez przystąpienie wszystkiego, co stanowi wybór narodu, szczególnie przez przystąpienie sejmu. Początki jakiéj rzeczy a tém bardziéj powstania mogą być nienajlepsze, ale raz rzecz zaczęta może się przemienić, i tak się zwykle dzieje w powstaniach. Zapewne sameś się nie zgadzał na początki powstania zamierzonego u nas w roku 1846; a jednak gdyby się było udało przez przystąpienie narodu, byłoby się zupełnie odmieniło, i następstwa byłyby inne były aniżeli początki. Odrzucam przeto wszystko, co było radykalnego i gminoburskiego w początkach wiedeńskiego powstania i tego nie chwalę.

Druga chwila, od któréj i drugi okres zaczyna się, jest postawienie się sejmu na czele ruchu. Tu dopiero uważam sprawę wiedeńską za sprawę wolności, i to jak najwyraźniéj powiedziałem, (o czém ani słowa nie wspominasz), nie tylko w osobnym przypisku, gdzie są te słowa: „całe wystawienie sprawy wiedeńskiéj odnosi się do téj sprawy, jak się ona rozwinęła i stanęła pod wpływem sejmu wiedeńskiego;“ ale w saméjże mowie, w długim ustępie, gdzie porównywam wydatne i cechujące znamiona obu stron, a czyniące, że jedna jest sprawą bożą a druga sprawą piekielną. W tym ustępie także daję cechy spraw obu. Pierwsza: że na czele sprawy wiedeńskiéj stał sejm państwa, sami narodu ojcowie;

druga: że przy niéj stali i jéj bronili najszlachetniejsi obywatele, sam kwiat narodu; potrzecie: że była sprawiedliwość w żądaniach, powstrzymałość i umiarkowanie w postępowaniu; kiedy przeciwnie z drugiéj strony naprzód stała na czele kupa dworaków, powtóre, broniło jéj płatne żołdactwo, potrzecie, na sprawiedliwe żądania odpowiedziano wściekłością i zajadłością. Oto w jakich granicach postawiłem sprawę wiedeńską, i jakie jéj dałem cechy, i rzeczywiście te są jéj granice i te jéj cechy. Teraz się pytam: czy to wszystko nie prawda? Czy te cechy są dowolnie wymyślone, z niebywałych rzeczy usnute, a nawet czy są w czémkolwiek podrobione, lub przenicowane? Oczywista, że nie; oczywista, że są istną prawdą. A jeżeli są prawdą, czyż nie wskazują z drugiéj strony jak najmocniéj, czém jest sprawa wiedeńska; czy nie pokazują, że jest sprawą wolności, a zatém sprawiedliwą, świętą i bożą?

W szczegóły nie wchodzę, boby mi czasu i miejsca zabrakło. Ale chciéj proszę sam przypomnieć całe postępowanie sejmu, cały ogłoszony przezeń system federacyjny tak słuszny i tak rozsądny, wszystkie jego poselstwa do cesarza, wszelkie wstrzymywanie od krwi rozlewu i t. d. Cały ten okres sprawy wiedeńskiéj jest niepokalany, jest nawet dziwnie piękny, jest szczytny. Proszę zważyć, bo to mi będzie potrzebne do dalszego użytku, że Jełowicki, z którego powodu cała ta mowa o sprawie się wiedeńskiéj wytoczyła, służył jéj tylko w przeciągu tego okresu.

Otóż jeżeli sprawa wiedeńska w tym swoim okresie nie jest sprawą wolności, nie wiedziałbym doprawdy, gdzie szukać sprawy wolności na tym naszym starym świecie. Nie wiedziałbym nawet zgoła, gdzie jéj szukać: boby mnie wszystkie znaki myliły, i niewiedziałbym już, po jakich znakach sprawę wolności rozpoznać.

Trzecia nareszcie chwila sprawy wiedeńskiéj i trzeci jéj okres wtedy ma miejsce, kiedy się sejm od przewodnictwa téj sprawy usunął, odpowiedzialności za krwi przelew brać na siebie nie chcąc. Ten okres zapewne nie przedstawia podobnéj, jak on drugi rękojmi komuś, co szuka wszelkiego zabezpieczenia się względem słuszności i świętości jakiéjś sprawy. — Ale w tym okresie trzeba starannie rozróżnić dwie rzeczy: słuszność i świętość sprawy, a słuszność i świętość walki. Sprawa być może najsłuszniejszą i najświętszą, a jednak walka za nią może być w pewnych okolicznościach zgubną, szkodliwą, a przeto naganną, a przeto niesłuszną i nieświętą. Tak i sprawa wiedeńska w tym ostatnim swoim okresie nie przestawała być równie słuszną i świętą, jaką była

dotąd, ale walka za nią tych samych cech na sobie nie nosiła, bo nie była uchwaloną przez naczelników sprawy, bo przez to zostawało miejsce do wątpienia, azali jest potrzebną, azali nię będzie szkodliwą, azali można do niéj sumiennie należeć? Chociaż zważywszy na wszystkie okoliczności, zważywszy na to szczególnie, że sama sprawa bez żadnéj wątpliwości była słuszną i świętą; a potém na to z drugiéj strony, że kiedy wszystko gotowe do wojny za sprawę słuszną i świętą, nie tak łatwo wtedy, a nawet po prostu nie podobna jest, zważać na powody od wojny wstrzymujące; zważywszy mówię na te okoliczności, nie waham się wziąść na siebie obrony samejże walki, i twierdzić, że ci, którzy mieli w niéj udział, mogli to wszyscy święcie i sumiennie uczynić. Tak tedy chociaż walki wiedeńskiéj saméj nie pochwalam, bronić jéj jednak żadną miarą nie waham się.

Taką jest sprawa wiedeńska w swoich trzech okresach i taki sąd, na jaki zasługuje: W okresie jéj pełnego rozwinięcia bronię ją i chwalę; w okresie jéj walki nie chwalę jéj ale bronię, w okresie zaś jéj początków ani chwalę ani bronię.

Oto, co o sprawie wiedeńskiéj utrzymuję; a to się w niczém nie różni od tego, co jest w mojéj mowie. Owszem to samo tam się wyraźnie zamyka, choć w mniéj obszernym wywodzie niż tutaj. W tém tedy mam żal do ciebie, żeś dla pospiechu na to wszystko nie zwrócił uwagi. Ale teraz nie wątpię, że się pokwapisz z usunięciem zarzutu, jakiś mi uczynił, i że nie będziesz wymagał po mnie pewniejszego sądu i dojrzalszéj roztropności, których zresztą bardzo słusznie wymagasz po kapłanach Chrystusowych. Przyznasz, że prawdy, na których sąd mój oparłem były dosyć pewne, a tém samém były dobrym gruntem, na którym roztropność wzrość i stać się dojrzałą mogła. Przyznasz, o co mi najbardziéj chodzi, żem się nie rozminął z obowiązkami kapłana chrystusowego, i że w mowie mojéj, nie tylko przyniosłem prawdziwe zasady, ale zarazem i prawdziwe ich zastosowanie w życiu. Zarzut twój, powiedziałem wyżéj, byłby ciężkim i bolesnym, gdyby był prawdziwym. Ale na szczęście, oto się pokazuje, że prawdziwym nie jest.

Teraz przychodzę do wynurzenia innego żalu, który mam do ciebie szanowny wydawco, z powodu twoich uwag, a ten drugi żal jest jeszcze bardziéj rzeczywisty i głęboki. Spowodowany on jest nie już przez cokolwiek bądź tyczącego się mojéj mowy, ale przez uwagi wymierzone na osobę, któréj moja mowa była poświęcona. Bądź pewien, że byłbym ani słowa nie powiedział na pochwałę Jełowickiego, gdybym nie był przekonany, że on na nią zasłużył; owszem,

bądź pewien, żem każde słowo ważył nim je wymówiłem, a ważyłem nie tylko przed sądem ludzkim, lecz przedewszystkiém w sumieniu przed sądem bożym; i że po takiém dopiero rozważeniu i osądzeniu wynurzyłem to przekonanie, o którém czytelnikom twoim napomykasz tylko, a które przecie jest treścią całéj mojéj mowy: „że ręka opatrzności przy„prowadziła Jełowickiego do Wiednia, i że Bóg go wybrał „na męczennika (owszem na ofiarę) za sprawę wolności.“ Pewno, że w podobnych rzeczach ścisłych dowodów nie ma; ale jeśli tych niema, to są jednak domysły, i te niekiedy zupełnie zastępują miejsce dowodów. Otóż rozumiem, że podobnym a téj rzeczy odpowiednym sposobem dowiodłem mojéj rzeczy zupełnie. Cóż ty, szanowny wydawco, na takie uroczyste mniemanie i na jego oświadczenie niemniéj uroczyste, albowiem stanowiące treść i znaczenie całéj mowy pogrzebowéj? Oto w obec niego kładziesz natychmiast twoje własne oświadczenia: „w obec tego grobu, powiadasz, jeszcze „niezarosłego, w obec zwłok zacnego i szlachetnego człowie„ka, miejmy odwagę powtórzyć to, co już wielokroć mówili„śmy. Nie, niegodzi się Polakom odbiegać szeregów narodo„wych ..... nie, nie wolno im wznawiać kawalerskich oby„czajów, — złudzeniem jest, opuszczać obowiązki w kraju ... „krew i zdrowie oddając obcym, myśleć, że się na wolność „dla ziemi swojéj zarabia.“ Czyż to się godzi w obec najszczytniejszego znamienia, którém mówca pokrył pamięć sławionego nieboszczyka, znamienia ofiary za sprawę świętą, na które on tak pięknie zasłużył, nie dbać na to więcéj, jak na jaką igraszkę krasomowczą; i dawać natychmiast do zrozumienia, a nawet po prostu twierdzić: że ten mąż tak sławiony był zbiegiem z ojczystych szeregów, był wznawiaczem kawalerskich obyczajów czyli inaczéj błędnym rycerzem, był odstępcą obowiązków swoich i t. d. I wnet się za tém puszczasz w dalszy wykład twojéj myśli: „że myśl wojny dla „wojny błąka umysły, drażni fantazyą narodową; że przede„wszystkiém wewnętrzna praca, praca usilna, nieprzerwana, „ufająca w siebie i wyrzekająca się szczerze świetnéj nagrody, „uratować może.“ Jak gdyby właśnie Jełowicki nie był w całém życiu swojém wzorem takiéj pracy, wzorem wyrzeczenia się i poświęcenia się we wszystkiém co czynił, aż do ostatniego tchnienia swego.

Co cię przyprowadziło do takiéj niesprawiedliwości, to nic innego jak żeś sprawę wiedeńską źle i niesłusznie osądził. Za tą pierwszą niesprawiedliwością poszły inne. Boć zaiste, jeżeli sprawa wiedeńska jest sprawą radykalizmu i demagogii, tedy służyć jéj jest to służyć sprawie obcéj, jest to

odbiegać narodowych szeregów. Ale teraz musisz raz przypuścić, że ta sprawa nie jest sprawą radykalizmu i demagogii, ale jest sprawą wolności, chociaż rozumie się w takiém pojmowaniu téj sprawy, w jakiém ją wyżéj wystawiłem, w jakiém ją pojmował i w jakiém jéj służył Jełowicki. Otóż ta sprawa tak pojmowana jest niezawodnie sprawą wolności. Ale sprawa wolności jest znowu niezawodnie sprawą świętą, owszem jest dzisiaj (uważając ją w stosunku do całéj ludzkości) główną sprawą świętą, i pod pewnym względem jedyną. Otóż służyć sprawie świętéj, a takiéj szczególnie, która całą ludzkość obchodzi, nietylko jest godziwą rzeczą, ale często konieczną i obowiązującą. Jeżeli przeto taką jest sprawa wiedeńska, czyż jest godzien nagany Jełowicki, że jéj służył i życie swe za nią naraził?

Niezawodnie sprawa wiedeńska jest sprawą wolności a sprawa wolności jest sprawą świętą. Że sprawa wiedeńska jest sprawą wolności, o tém między nami już nie ma wątpliwości po tém wszystkiém cośmy wyżéj powiedzieli, i gdzieśmy tę rzecz dokładnie rozebrali. — Że zaś sprawa wolności jest sprawą świętą i taką, od któréj dzisiaj zbawienie ludzkości zależy, to podobnież wątpliwości nie podpada. Dowiodłem tego w mojéj mowie licznemi dowodami, których tu powtarzać nie ma potrzeby, a których treść w tém się zamyka, że jak dawniéj (w średnich wiekach) Pan Bóg przychodził do panowania nad społeczeństwem przez powagę (auctoritas), tak dzisiaj przychodzi do tego przez wolność. Albowiem Pan Bóg panuje zawsze nad społeczeństwem przez wiarę, w którém to panowaniu jest całe przeznaczenie i szczęście ludzkości; lecz do wiary a zatém do przeznaczenia i szczęścia swego dzisiaj ludzie przychodzą przez wolność, kiedy dawniéj przychodzili przez powagę. Tak tedy wolność jest potrzebną Panu Bogu do panowania nad społeczeństwem, a społeczeństwu do przeznaczenia i szczęścia swego; i sprawa wolności jest dzisiaj niezawodnie sprawą najświętszą: bo z jednéj strony sprawą Bożą a z drugiéj sprawą społeczeństwa.

Ale teraz całą mocą tego niezbitego wniosku obracam się przeciwko twoim twierdzeniom, szanowny wydawco, i naprzeciwko nich twierdzę, że służyć sprawie świętéj, sprawie Bożéj i sprawie społeczności nie jest odbieganiem narodowych szeregów, nie jest wznawianiem błędnéj rycerki; że nieść życie w takiéj sprawie, nie jest bynajmniéj złudzeniem, i że wolno tu myśleć, iż się na wolność dla ziemi swojéj zarabia. Nie, to wszystko nie jest błędem, to nie jest złudzeniem. I choćby nawet przyszło na chwilę zapomnieć o ojczyźnie dla Boga i społeczności, to takie zapomnienie jest

święte, jest szczęśliwe, jest błogosławione; a nawet przy tém wszystkiém dla saméjże ojczyzny straconém nie jest, lecz się jéj obficie wynagrodzi. Nie trzeba się zamykać w kole niższego interesu, kiedy nas wyższy powołuje. Nad interesem pojedynczego człowieka jest interes rodziny, nad interesem rodziny jest interes ojczyzny, ale nad interesem ojczyzny jest interes społeczeństwa i Boga. Nie odbiega ten pewno rodziny, kto o niéj na chwilę zapomni dla ojczyzny, ani téż ten ojczyzny odbiega, kto o niéj dla Boga i społeczeństwa na chwilę zapomni. A bądź pewien, szanowny wydawco, że na tém ani rodzina ani ojczyzna nie stracą: owszem to się im w trójnasób i w dziesięciornasób nagrodzi. Tak postąpił Jełowicki, tak każdy prawy chrześcianin postąpić powinien.

Kiedy podczas wojen krzyżowych wszystkie narody chrześciańskie rzucały domy swoje i posady, a szły daleko, za morze, do innéj części świata odzyskiwać ziemię obiecaną, któréj posiadanie przez pogan nie mogło się zgodzić z chrześciańskiém uczuciem, nie byłże to wielki, ogólny interes społeczeństwa i Boga, który kazał wznieść się tym licznym narodom nad wszystkie inne względy i interesa choćby święte, aby dojść do ziszczenia tego najświętszego? I któżby się odważył to ganić, nawet dzisiaj, a cóż wtedy? Otóż tą ziemią obiecaną, na któréj pozyskanie dzisiaj społeczeństwo się wybrało, a którą pozyskać równym jest interesem i Boga i społeczeństwa, tą ziemią obiecaną jest dzisiaj wolność. Wprawdzie nie możemy w dzisiejszych okolicznościach ogłaszać w tym celu wojny krzyżowéj, bo na to potrzebaby było, aby wszyscy żołnierze mieli wiarę, a dzisiaj wiary w społeczeństwie nie ma; jednakże każdy z tych, co wiarę mają, gdy się na tę wojnę wybiera, może na duszy swojéj naznaczyć się krzyżem, jak się w onych dawnych wojnach znaczyli na szatach, i być w duchu krzyżowym rycerzem. Taki tedy prawdziwy żołnierz krzyża świętego ma za cały cel swojego żołnierstwa Boga i Jego królestwo; a ponieważ wolność jest jedyną prawdziwą drogą dojścia do tego celu, więc wolność ma za pierwszy cel swoich znojów i walki. Walczy tedy dla pozyskania wolności, jak on dawny krzyżowiec dla odzyskania ziemi świętéj; walczy na ziemi własnéj, kiedy mu Bóg tego dozwoli, walczy i na obcéj, kiedy go tam do dzieła tenże Bóg powoła. Owszem chętnie opuści swoją ziemię, zniesie trudy pochodów i pielgrzymowania, głód, niewczasy, i wszelkiego rodzaju przeciwności, aby tylko odpowiedział powołaniu swemu. Jedném słowém, poświęca wszystkie inne względy i interesa choćby święte dla ziszczenia tego najświętszego. I któż się odważy to naganić? I któż raczéj czoła nie ugnie

przed rzeczą najświętszą, przed celem najwznioślejszym, przed najczystszém poświęceniem?

Dawni krzyżowcy bili się za wiarę, dzisiejsi biją się za wolność; ale tak ci jak i tamci, czy się bili za wiarę, czy się za wolność biją, bili się i biją za Boga. Któż dawniéj z chrześcian mających wiarę w duszy rzucał kamieniem na krzyżowca wiary? Któż równie dzisiaj z mających wolność w sercu rzuci kamieniem na krzyżowca wolności?

Wiem, że nie każdy, co się za wolność bije, już jest tém samém krzyżowcem wolności, jak niekażdy co ciągnął do Jerozolimy i znaczył się na piersiach znakiem zbawienia, już był tém samém krzyżowcem wiary. Wiem dobrze, że dzisiaj szczególnie, kiedy wiara w społeczeństwie już uschła i zamarzła, a jeszcze nie odrosła i nie odkwitła, przez ten brak wiary często i zbyt często się dzieje, że mnóstwo tych, co się biją za wolność, bije się za nią wcale nie dla tego, że to sprawa Boża; i owszem przechowuje w duszy bardzo niepobożne i nieświęte zamysły. Wiem to dobrze, ale czy to sprawę odmienia? Czyż dla tego, że ktoś kładł krzyż na siebie i szedł do ziemi świętéj w nadziei zysków i łupów, marząc o bogactwach a nawet o królestw nabyciu, czyż dla tego ta sprawa przestawała być tém czém była, to jest sprawą świętą, czystą i niepokalaną, sprawą Bożą? Tak i sprawa wolności nie przestaje być sprawą Bożą choć się za nią biją ludzie niepobożni. Nam tylko, przyjaciołom prawdziwym téj sprawy o to chodzić powinno, aby ją oczyścić od tych wszystkich naleciałości i przymięszek, od tego sojuszu z obrońcami, którzy nietylko nie są jéj godni, ale są jéj obcy; i do których się ona żadną miarą przyznać nie może. A jak się tego dostąpi? Oto z jednéj strony wystawiając w swojém prawdziwém świetle sprawę wolności, a szczególniéj, że powinna być uważana jako sprawa Boża; z drugiéj zaś strony wystawiając obowiązek służenia jéj takiego a nie innego, to jest służenia jéj jako sprawie Bożéj. Przez to oczyści się ta sprawa od wszelkich brudów z jakiemi ją mięszają, a następnie uczyni się jéj inna przysługa, to jest, da się jéj służba równie czysta jak i ona; dadzą się sprawie świętéj sługi święte.

I czyż można to lepiéj uczynić jak wystawiając przed oczy słuchaczów żywy wzór takiéj rzeczy ku ich oświeceniu, ku podziwieniu, ku naśladowaniu? Szczęśliwy nauczyciel ludzi, kiedy taki wzór znajdzie, szczęśliwy kapłan, nauczyciel wiernych, kiedy go znajdzie równie doskonały jak go znalazł w Jelowickim.

Jednémsłowem cała moja obrona Jełowickiego przeciwko

twoim twierdzeniom, szanowny wydawco, sprowadza się do tego, naprzód, że służył sprawie świętéj; powtóre, że sprawie świętéj służył jako sługa święty. Trzecia zaś rzecz, która się go równie tyczy, ale która już nie ku obronie lecz za ozdobę i za wieniec mu służy, jest, że za sprawę świętą zabity został jako ofiara Bogu przyjemna.

Myślę, że potém wszystkiém com powiedział nie pozostaje wątpliwości, że Jełowicki służył sprawie świętéj, że sprawa za którą życie swoje położył jest sprawą Boga i społeczeństwa. Myślę tedy, że się zgadzamy na ten punkt najważniejszy mojéj obrony. Z tego zaś jednego wszystko inne własnym pędem wypływa. Jak z twojego niesprawiedliwego pojmowania sprawy wiedeńskiéj wypływało, że Jełowicki źle uczynił takiéj sprawie służąc, tak przeciwnie z odmiennego téjże sprawy pojęcia wypływa, że świętéj sprawie służąc święcie uczynił. Ale to następstwo stanie się prawdą niezaprzeczoną, jeśli sobie przypomnimy to, com w mowie mojéj powiedział, jak Jełowicki pojmował i wykonywał cnotę polityczną, jak według wyższego Bożego światła oceniał, co jest świętém i dobrém w polityce; a szczególniéj kiedy zważymy, jak właśnie według tegoż samego światła pojął, ocenił sprawę wiedeńską i o tyle tylko jéj służył, o tyle do niéj należał, o ile prawdziwie była świętą, czystą, niepokalaną i Bożą. Napomknąłem wyżéj, ale tu zwracam całą na to uwagę: że Jełowicki miał udział w sprawie wiedeńskiéj tylko w jéj drugim okresie, to jest w okresie jéj niewątpliwéj czystości. Już w trzecim, do którego mógł był sumiennie należeć, jednakże nie należał, usunął się publicznie; w czém zapewne musiał niejedną trudność zwyciężyć, ale wszystkie zwyciężył; tak jego delikatne sumienie nie mogło się pogodzić z najmniejszą wątpliwością o świętości sprawy. A cóż dopiero mówić o pierwszym téj sprawy okresie, pod czas którego zamyślał o wyjechaniu z Wiednia? Widzisz tedy, szanowny wydawco, jak Jełowicki służył sprawie wiedeńskiéj, widzisz, i zapewne wraz zemną przyznasz bez wahania się, że nam zostawił wzór nieoszacowany jak sprawie świętéj ma się służyć święcie.

Otóż ten wielki przykład, ten piękny wzór mądrości i cnoty publicznéj trzeba nam należycie pojąć, wdzięcznie przyjąć, wiernie przechować. Smutnaby to rzecz była, gdybyśmy nie umieli cenić podobnych rzeczy, gdybyśmy poznać nie chcieli a nawet poniewierali darami, jakie Pan Bóg nam zsyła w miłosierdziu swojém! Tego się nam przedewszystkiém strzedz trzeba: niepoznania darów i łask Bożych i poniewierania niemi; a oto się przedewszystkiém starać: jak je poznać i jak z nich korzystać.

Takim darem i łaską publiczną dla nas ze strony Bożéj jest niezawodnie śmierć Jełowickiego; i cieszę się z tego, że ona mię przyprowadza do wystawienia tak ważnéj prawdy i nauki. W téj szczególnie chwili, kiedy wszystko tak jest wzburzoném, kiedy wszystkie strony ścierają się z sobą, wszystkie sprawy zdają się być pomięszane, w téj szczególnie chwili prawda ta i nauka są koniecznie potrzebne. Ta prawda i nauka na tém się zasadzają, że naprzód trzeba poznać sprawę świętą, trzeba ją oczyścić od wszystkich naleciałości i przymięszek nieświętych; a powtóre, że potrzeba jéj służyć jako takiéj, służyć w czystym zamiarze, służyć święcie. Taką naukę na takiéj prawdzie opartą zostawił nam w zgonie swoim Jełowicki, a raczéj Bóg miłosierny dał ją nam przez niego. Tę naukę, tę łaskę Bożą trzeba nam przyjąć i wiernie z niéj korzystać.

A jakże ona jest płodna w następstwach swoich! Jakże dobrze może nam służyć za przewodnika w prowadzeniu się naszém co do sprawy tak nas wszystkich blisko obchodzącéj, co do sprawy naszéj ojczystéj! Zapewne, że sprawa Polski jest sprawą świętą. Ale czyż i z nią nie mięszają tyle rzeczy nieświętych? Czyż patrząc na to, co ci lub tamci chcą z Polską zrobić, włosy na głowie ze zgrozy nie wstają? Pierwszą tedy jest rzeczą oczyścić sprawę Polski od tego wszystkiego, co ją nieczystą czyni, i postawić ją wyłącznie w tém jéj świetle sprawy Bożéj. Drugą potém rzeczą jest, aby jéj służyć nie inaczéj, tylko jako takiéj sprawie, aby jéj służyć święcie, a gdziekolwiek się zdarzy, że służba stanie się nieświętą tam jéj nie służyć: bo taka służba nie tylko że nie pomoże, ale z pewnością całą sprawę zabije. — Oto święte następstwo ze świętéj a wielkiéj nauki, jaką nam zostawił Jełowicki.

Na tém się kończy, Szanowny Wydawco, obrona moja, która mimowolnie przez powiązanie rzeczy przeszła w wychwalanie i w naukę. Ale nie narzekam na tę konieczność, owszem cieszę się z niéj: bo tu nie tak chodziło o obronę mojéj mowy, ani nawet o obronę osoby Jełowickiego, jak raczéj o obronę prawdy Bożéj, przyświecać nam mającéj, o obronę dobra i daru Bożego zesłanego nam przez Boga dla większéj korzyści naszéj, a którą prawdę i które dobro przez pospiech i omyłkę nie poznałeś Szanowny Wydawco i nie uszanowałeś jak się należało.

Ale jest jedna rzecz, która wprawdzie do obrony nie należy, a która jednak bardzo mię obchodzi, tak że nad nią muszę się nieco przed zakończeniem zatrzymać. Poważnie i głęboko zastanawiając się nad wszystkiemi wypadkami, które poprzedziły i towarzyszyły zgonowi Jełowickiego, przysze-

dłem do tego mocnego przekonania, że Pan Bóg wybrał duszę Jełowickiego na ofiarę przebłagiwającą za sprawę, w któréj poległ. Przekonanie to jasno wyraziłem w mojéj mowie i uczyniłem z prawdy, o któréj byłem podobnie przekonany, koniec niejako całéj mojéj pochwały nieboszczyka, ozdobę i koronę cnót jego i żywota. To przekonanie jest głęboko we mnie wkorzenione, i mnóstwo szczegółów, które mię potém doszły o jego przedostatnich i ostatnich chwilach, wszystkie, jak gdyby spisały się na to, potwierdzają to przekonanie. Dwóch rzeczy potrzeba do tego, aby można było z pewnością powiedzieć, że taka dusza stała się ofiarą za taką sprawę. Naprzód potrzeba, aby czystą, aby godną była być ofiarą; powtóre, aby zginęła nie zwykłym trybem śmierci, ale jakby umyślnie i w wyraźném połączeniu ze sprawą, dla któréj zginęła. Co do tego drugiego, śmierć Jełowickiego, nosi na sobie wszystkie podobne ogólne cechy, a owe inne szczegóły, o których wspominałem, i które za długo byłoby po jednemu wyliczać, lub może nawet mniéj potrzebnie obok tamtych cech ogólnych; owe wszakże szczegóły razem wzięte, dają coraz większe piętno pewności temu rodzajowi i temu znaczeniu śmierci Jełowickiego. Co zaś do tego, jak ta dusza czystą i godną była, aby być ofiarą, wypływa to ze wszystkiego cośmy o jego życiu powiedzieli w naszéj mowie. Wszakże dostateczném to jeszcze nie jest dać o niéj dokładne wyobrażenie; bo wartość wewnętrzna i istotna jakiéjś duszy tak się często na dnie kryje, że ją tam tylko oko boże wyśledzi lub się jéj tam domyśli wzrok taki tylko, co ze światłem bożém jest spoufalony. Wnosić się przeto godzi, że daleko większa była czystość i wartość téj duszy wewnątrz, aniżeli nawet można było sądzić z jéj czynów zewnętrznych, chociaż i te o niéj tak wysokie świadectwo składają. A więc i przymioty duszy i rodzaj śmierci Jełowickiego obficie zamykają w sobie wszystko, co nas o tém przekonać może, że z niego Bóg obrał ofiarę sobie miłą za sprawę świętą.

O téj czystości i wartości wewnętrznéj duszy jego, która się często jaśniéj odbija w drobnych i powszednich rzeczach, miałem także rozmaite szczegółowe wiadomości, które tu pomijam. Żeby jednak dać jakiekolwiek wyobrażenie o téj pięknéj i wzniosłéj duszy, i o całéj téj stronie jego życia niepublicznéj przed ludźmi i przed tym światem, ale publicznéj przed Bogiem i przed wiecznością, przyłączam tu list jednego z zacnych kapłanów polskich, ks. Franciszka Mikulskiego zakonu ś. Franciszka, penitencyaryusza przy Najświętszéj Pannie Loretańskiéj, napisany przezeń do brata nieboszczyka, a którego przeczytanie jestem pewien, że sprawi przyjemność

i tobie, szanowny wydawco, i twoim czytelnikom. Opisuje on kilka chwil z życia tego męża przepędzonych w Loreto na parę lat przed śmiercią. Te kilka chwil pokażą, jakiém było całe życie.

Że to wszystko podniósłem i podnoszę, jedna i ta sama zawsze jest tego przyczyna: a tą jest, abyśmy rzeczy drogie i święte znać i cenić umieli; i skorośmy mieli szczęście posiadać skarb taki, jakim była dusza Jełowickiego, abyśmy także należycie czcić umieli jego pamiątkę; i nareszcie, ponieważ wszystko nas przekonywa, że ją Pan Bóg wziął na ofiarę, abyśmy za to Bogu dziękowali, korzystając z zasług, jakie ma przed Bogiem, swoje do nich przyłączając, naśladując go i czyniąc jak on.

Oto jest wszystko com ci miał powiedzieć, szanowny wydawco. Jeżeli ten list umieścisz, uspokoisz wszystkie moje żale, zadość uczynisz sprawiedliwym moim wymaganiom, i odpowiesz przyjaźni i szacunkowi jaki chowam dla ciebie i dla twojego pisma.

Pisałem w Paryżu, 5 Sierpnia 1849.

Ks. P. ***Semeneńko.***

ANNEXA.

List X. Franciszka (Ojca Bonawentury) Mikulskiego zak. ś. Fran. do X. Aleksandra Jelowickiego.

z Loretu d. 1 Lutego 1849

Szanowny i drogi mi Ojcze.

Nie takich smutnych i bolesnych wiadomości od ciebie spodziewałem się. Prawda, że w epoce trudnéj i brzemiennéj wielkiemi wypadkami żyjemy, przeto nic już nie zadziwia. Daj Panie Boże, aby ofiara z twego brata była ostatnią ofiarą błagalną przed miłosierdziem Bożém za Polską. Jeżeli taką nie będzie, niewiem już jakich Bóg zażąda! Co do mnie, powiem Ci a pewnie i na pociechę twoją, że od 1830 Polska pod nogi Chrystusowe nie rzuciła świetniejszéj i czystszéj ofiary nad twego brata. Mówię ci to z pewnością, z całém przekonaniem, bo byłem powiernikiem najskrytszych uczuć i tajników jego sumienia. Jak ci bowiem wiadomo, dwa lata temu będzie w Maju, przejeżdzał on przez Loreto i bawił w niém przez parę tygodni. Nie tylko mnie, ale całe miasto budował pobożnością nie dzisiejszą, ale pierwszych chrześcian. Wyliczę kilka jego postępowań i czynów. Naprzód, kilka razy na klęczkach obczołgał się około domku przeniesionego cudownie z Nazaretu, odmawiając po kilka pozdrowień anielskich

za wszystkich swoich przyjaciół, krewnych a szczególniéj za braci, ojca i matkę. Nieborak, z całą prostotą duszy chrześciańskiéj a otwartością żołnierską odprawiwszy to czołganie powiedział mi: że cała kampania afrykańska pod księciem Orleańskim tak go nie zmordowała jak ten marsz chrystusowy. Do mszy św. prawie co dzień usługiwał nie tylko mnie ale i innym kapłanom. Chłopaczkom do mszy usługującym, by mu mszała odstąpili lub też dopomagali w téj mustrze nie kawaleryi ale kalwaryi (są to jego słowa), płacił po 20. bajoków. W pierwszych dniach jego tu pobytu wyszliśmy na przechadzkę, którą co dzień późniéj odprawialiśmy Nie daleko od Loretu stał nie domek ale szałas, nie szałas ale psia buda, w którym leżał 80letni starzec, sam jeden, pozostawiony bez żadnéj ludzkiéj pomocy, przejeżdżający czasami rzucali mu po bajoku. Wtedy kiedyśmy go nawiedzili nie jadł już od dwóch dni i czekał póki śmierć nie zakołacze i nie skończy żywota przykrego i bolesnego. Widok starca i jego nędzy tak ś. p. Edwarda poruszył, że kilka łez uroniwszy dał mu skuda, późniéj połowę swego obiadu (to co mógł w papier obwinąć) z wielkiém podziwieniem gospodyni brał w kieszeń i daléj do starca. Postępowanie to tak w kościele jak za kościołem uderzało niemało Włochów. Chodzili za nim, przypatrywali mu się; a dowiedziawszy się od służącego Grocholskich, który tu osiadł, Gustawa, że to był wielki pan i bardzo waleczny półkownik, dodawali: „per Bacco! e cosi buono, umile, cristiano?“ Widać że mało panów a szczególniéj półkowników widzieli tu do mszy służących i obiad swój ubogim noszących. . . . .
. . . . To co powiedziałem na początku, na końcu listu powtarzam: że kiedy tak czyste (po chrześciańsku to rozumiem), tak czyste ofiary Polski padają pod austryackim toporem widać, że miara gniewu Bożego nad Polską już wypróżnioną i że na nią wkrótce rzuci okiem miłosierdzia i miłości, że ją wkrótce zbawi. —

P. S. Myślę że obok tego świadectwa osoby duchownéj czytelnicy z przyjemnością i z niemałym interesem usłyszą wynurzenie uczuć, osoby odzianéj zupełnie innym charakterem, a która dzisiaj tak piękną, tak szlachetną, a nawet tak wielką i opatrzną rolę na świecie spełnia, a po któréj Ojczyzna nasza tyle się spodziewa. Tą osobą jest jenerał Dembiński, a jego uczucia zamykają się w następnym liście napisanym również do brata nieboszczyka. Czytelnicy to zauważą, że ten list był pisany znacznie przed wyjazdem jenerała do Węgier, i że przepowiednia w nim się zamykająca nosi na sobie cechę niezwykłą.

List Jenerała Dembińskiego do ks. Aleksandra Jełowickiego.

Paryż, ulica Roquepine, 8.
dnia 18. Listopada 1848.

Szanowny księże Jełowicki,

W niepewności czy cię zastanę w domu udając się do ciebie, lub czy będę mógł się widzieć z tobą, piszę te kilka słów, aby ci powiedzieć ile czuję, ile czujemy wszyscy, którzyśmy czcigodnego brata twego Edwarda znali, bolesną stratę, którąśmy ponieśli przez ten szczytny ale smutny jego zgon.

Wynurzać ci uczuć moich nie mam potrzeby. Wiesz, ile czuję wszystko co się Polski tycze. Strata dla Ojczyzny staje się niejako stratą osobistą każdego z nas; a taką jest śmierć brata twojego.

Tłumię uczucia sercu twojemu zapewne obce: chcę mówić o uczuciach zemsty; *ale mam nadzieję, że mi Bóg jeszcze kiedykolwiek pozwoli przyłożyć się do ukarania tych, którzy nie wzdrygnęli się od dopełnienia tak krzywdzącéj ich zbrodni.*

Przyjmij, jeżeli cię nie będę miał slodyczy widzieć, najczulsze moje wyrazy; i chciéj wierzyć, że szacunek mój i poważanie dla twéj osoby, przez tak bolesne twoje nieszczęście, podwojony został. Niech Bóg najwyższy dodaje ci sił.

Szczery przyjaciel
Henryk Dembiński, *Jrał*

Na list powyższy musimy choć w krótkości odpowiedzieć.

Szanowny ks. Semeneńko zarzuca, żeśmy nadużyli jego zaufania, zdając sprawę z kazań drukowanych wprawdzie, ale jeszcze nieogłoszonych. Żeby oskarżenie to odeprzeć, wyłożymy poprostu, jak się rzeczy stały. Ks. Semeneńko przysłał nam dwa swoje kazania publicznie w Paryżu powiedziane i już na czysto odbite. Z tych pierwsze nieco pierwéj, drugie nieco późniéj rąk naszych doszło. W liście, który między jedną a drugą przesyłką odebraliśmy, uczynił ks. Semeneńko wzmiankę, że kazanie wtóre chce nieco poprawić, zresztą nie było tam żadnego ostrzeżenia, żadnego zalecenia. Skoro otrzymaliśmy drugie kazanie i zobaczyliśmy niektóre rzeczy przekreślone, inne z boku podopisywane, pomyśleliśmy sobie, że to są właśnie zapowiedziane odmiany. Sądzić, że

o kazaniach ks. Semeneńki nie należy jeszcze wspominać, nie mieliśmy powodu; owszem nam się zdało, iż jak się to często dzieje, szanowny kaznodzieja chce dobrą wolę naszemu pismu pokazać, i dla tego wcześnie nam mów swoich udziela, byśmy o nich najpierwsi powiedzieć coś mogli. Omyłkę z naszéj strony zrozumieć snadnie. Gdyby Ks. Semeneńko był nam swoje chęci wyraźniéj objawił, niezawodnie bylibyśmy się do nich skrupulatnie zastosowali.

Rzecz tę przedwstępną wyjaśniwszy, przechodzimy do innych punktów spornych.

Ks. Semeneńko utrzymuje, żeśmy drugie kazanie niewiernie skrócili i że tym sposobem jego pojęcia zostały źle wyłożone. Pozwolimy sobie zrobić uwagę, że często się zdarza, iż ktoś co zdaje sprawę z pisma jakiego, nawet przy najtroskliwszéj sumienności, by następstwo myśli dobrze wskazać, inaczéj ważność rozumowań, jak sam autor ocenia i często pomija rzeczy, które się autorowi godne zastanowienia wydają; to samo i w niniejszym razie zaszło. Zkądinąd przypominamy, że z najważniejszych nawet dzieł rzadko wybieramy tyle przytoczeń, ileśmy ich z dwóch kazań Ks. Semeneńki wybrali.

Pominęliśmy tedy rozróżnienie trzech epok w dziejach powstania wiedeńskiego. Nam się to rozróżnienie wydało zbyt subtelne, zbyt oderwane (jakkolwiek potrzebował go X. Semeneńko.) W chwilach gwałtownych wstrząśnień, kiedy najprostsze wyobrażenia najrozmaiciéj bywają przez uczciwych ludzi tłomaczone i stosowane, kiedy maxyma *salus populi suprema lex esto* zwykle inne pewniki poważnéj polityki przygłusza, trudno jest dla współczesnych zwłaszcza, o prawności lub nieprawności wypadków wyrzekać; cóż dopiero jeśli się zechce wyszukiwać momentów prawności w pojedynczych wypadkach. Smiało powiedzieć można, że nie ma teoryi, któréjby się zastosowanie pośród rozmaitych objawów nieuporządkowanego poruszenia nie znalazło. My powstanie wiedeńskie inaczéj jak ks. Semeneńko oceniamy. Było w Wiedniu zgromadzenie narodowe, mające missyą zasadnicze pra-

wa uchwalić. Rząd patrzał na nie okiem niechętném, ale choć ociągając się, postanowienia jego przyjmował. Niecierpliwym radykalistom zachciało się rzeczy do ostateczności popchnąć. Porozumieli się oni ze stronnictwem swojém w całych Niemczech, porozumieli się z częścią Węgrów i nie oglądając się na prawność powstanie zrobili. Sejm pokazał słabość zupełną. Nie śmiał wyrzec się solidarności z ruchem ulicznym, nie śmiał téż na czele ruchu stanąć i rewolucyi wyraźnie nie przyznał, raczéj chciał pośredniczyć między Wiedeńczykami a dworem. Deputowani czescy, i niektórzy słowiańscy ustąpili, inni zostali z obawy, z niepewności, doznając ciągłego przymusu moralnego ze strony auli. Sejm usunął się w końcu z widowni, skoro spostrzegł, że pośrednictwo jest niepodobne. Tym czasem radykaliści nie przestali ruchu do swoich celów kierować i poszli daléj na wywrotne drogi. Gdzież w tym całym chaosie, śród szałów z jednéj, nieudolności i braku siły moralnéj z drugiéj strony, chwilę prawności rzeczywistéj wynaleść. Powtarzamy cośmy już raz powiedzieli: „Były w Wiedniu szlachetne instyn-„kta, chwilami pojawiały się piękne myśli; ale w głębinach „wrzały wszystkie namiętności burzącego radykalizmu.“ Wiedeńscy radykaliści narazili sprawę prawdziwéj wolności, ułatwili zwycieztwo absolutyzmowi, i drogę wpływom Rosyi utorowali, sejm zaś nie miał siły złemu zaradzić. Boli mówić przeciw ludziom, którzy prawda srodze przewinili, ale dziś cierpią wielkie prześladowanie; czasy zresztą dzisiejsze nie są czasami sądów historycznych; nie mogliśmy przecie uniknąć konieczności wypowiedzenia wyraźnie naszego zdania.

Robi nam jeszcze na inném miejscu ks. Semeneńko zapytanie, czy sprawa wiedeńska była sprawą radykalizmu i demagogii, czy sprawą wolności. Jeśli, powiada, o zwycięztwo radykalizmu tam chodziło, nie godziło się jéj służyć, jeśli o wolność słuszna, że Polacy w szeregach stawali. Sam sobie odpowiadając twierdzi kaznodzieja, że w gruncie Wiedeńczycy za wolność walczyli i tak daléj rozumuje: Sprawa wolności jest rzeczą świętą,

główną, jedyną, rzeczą Boga i społeczności — zarabia się na wolność własnego kraju, służąc Bogu i społeczności — dla takich wysokich pobudek można nawet na chwilę o ojczyznie zapomnieć. Ks. Semeneńko przypomina nawet w tym ustępie wojny krzyżowe.

Wszystko to nie wydaje nam się ani dosyć ścisłe ani bezpieczne. Wiemy co jest wolność dla ks. Semeneńki; ależ w zastosowaniu maxyma jego nie tylko stronnikom wolności godziwéj służyć będzie. Nie dość na tém. Dziś trzeba reguły, prostéj, wyraźnéj, niekryjącéj się za piękne ogólniki. Polakom chodzi o niepodległość, chodzi także o wolność innych krajów. Czy mogą rozpraszać swoją czynność, czy są dosyć silni, żeby sobie wybierać między obowiązkami? Czy wszelakie obowiązki bezwzględnie, wyraźnie ich obchodzą? Czy im się godzi zawsze i wszędzie brać udział w wypadkach? O tém wielekroć obszernie mówiliśmy. Teraz nic nam innego nie pozostaje, jak odwołać się na dawniéj oświadczone zdania. —

„Każdy naród, były nasze słowa, jest sędzią konie-„czności i stosowności gwałtownych przemian, jakie się „u niego zdarzają. Ludziom innego narodu nie może być „wolno w te sprawy się mięszać; nie mają oni ani do-„statecznéj znajomości, ani dostatecznego uczucia potrzeb „cudzych, nie mają także bezinteresowności, którąby da-„wała rękojmię prostoty i szczerości w zamiarach. Pra-„wda, narody chrześciańskie są do pewnego stopnia so-„lidarne jedne z drugiemi; ale jest rzeczą oczywistą, że „właśnie dla tego, iż nie ma ogólnéj równowagi położe-„nia politycznego, iż pomimo wspólnéj religijnéj oświaty „wielkie rodowe i historyczne spotrzegać się wszędzie „dają różnice, iż wyprzedzać czasów nie należy, w koń-„cu przez wzgląd, iż tylko ten ma prawo na odmianę „pracować, kto równie podlega karze za omyłkę lub nie-„sumienność, jak korzysta z nagrody za pomyślny obrót „zdarzeń, słuszniejsza jest, roztropniejsza i ze wszystkie-„mi zasadami zgodniejsza do spraw wewnętrznych obce-„go narodu się nie mięszać. Ani w Rzymie, ani w Pa-

„lermo, ani w Paryżu, ani w Badeńskiém, ani nawet w Ber-„linie i w Wiedniu nie ma pola działania dla Polaków. „Ile razy tam występują, czy do walki ulicznéj, czy na „plac boju, choć myślą niezawodnie, że sprawie ojczyzny „służą, mylą się, błądzą, i jeśli nie klęski materyalne to „moralny uszczerbek na sprawę narodową przywodzą. „Inaczéj się ma w kwestyi narodowości. Wolno nam „samym w porze stosownéj za broń uchwycić, wolno „nam też pomagać ruchom narodowym obcym, szczegól-„niéj kiedy te ruchy przeciw naszym bezpośrednim nie-„przyjaciołom są wymierzone."

Dodamy jeszcze tutaj, że w Wiedniu i Berlinie rozumiemy Polaków tylko jako jawnych nieprzyjaciół. albo jako ludzi z konieczności na polu legalném narodowości swojéj i godziwych interesów broniących. Wszelkie inne położenie jest niedobre.

Ksiądz Semeneńko powtarza raz jeszcze, że ręka opatrzności przyprowadziła Edwarda Jełowickiego do Wiednia i że Bóg go wybrał na męczennika za sprawę wolności. Przypomina też, że Jełowicki służył sprawie wiedeńskiéj dopóty tylko, dopóki sejm jéj nie opuścił.

My czcimy także pamięć Jełowickiego; wiemy, że przedewszystkiém chciał coś dla kraju zrobić, że miał szlachetną niecierpliwość poświęcenia się dla ojczyzny, że dla téj nadziei wszystko za granicą opuścił; z wzruszeniem i uszanowaniem słuchamy szczegółów o jego religijnych i narodowych uczuciach; mniemamy tylko, że wolno nam jest przypomnieć, iż nikt nie ma prawa wyraźnych zamiarów opatrzności (nie zaś prostego dopuszczenia bożego) w jego ostatnich czynach upatrywać.

„Czy się godzi, mówi ks. Semeneńko, w obec najszczy-„tniejszego znamienia, którém mówca pokrył pamięć sła-„wionego nieboszczyka, dawać natychmiast do zrozumie-„nia, a nawet po prostu twierdzić, że ten mąż tak sła-„wiony był zbiegiem z ojczystych szeregów, był wzna-„wiaczem kawalerskich obyczajów, czyli inaczéj błędnym „rycerzem, był odstępcą obowiązków swoich."

Tu przesada jest wyraźna. Nigdyśmy zacnego nie-

boszczyka ani zbiegiem, ani odstępcą nie nazwali. Powiedzieliśmy rzecz ogólną i godziło nam się ją, zwłaszcza w owych czasach powiedzieć. Nie jeden tylko Jełowicki zginął w obcych szeregach, nie jego tylko krew obce pole zrosiła. W obec tylu strat, tylu omyłek, tylu bolesnych wydarzeń, nie byłoż naszym obowiązkiem, właśnie z serca żalem przepełnionego, odezwać się z gorzką prawdą do narodu? Sumienie nam powiada, żeśmy wówczas dopełnili obowiązku jakkolwiek przykrego i trudnego.

Tak tedy nic nie mamy do odwołania w uwagach, jakieśmy nad kazaniami ks. Semeneńki przed kilkoma miesiącami zrobili.

Z naszéj strony, w sporze dzisiejszym o jednę tylko rzecz nam chodzi. Dbamy o to, żeby odeprzeć oskarżenie nieuszanowania dla uczciwych zasług Edwarda Jełowickiego, oskarżenie tak namiętnie w nas wmawiane. Powiedzieliśmy kiedy indziéj: „Bolesną jest rzeczą myśleć, „ile się krwi polskiéj na wszystkich polach walk rewolucyj„nych w ciągu ostatniego roku przelało. Krew ta mo„dli się do Boga o sprawiedliwość dla Polski.“ To jest nasze przekonanie i co do śmierci, jaką poniósł w Wiedniu nieboszczyk, którego pamięć zawsze dla nas drogą pozostanie.

Pismo Przyjaciel Ludu które od jakiegoś czasu nieregularnie i z niewłaściwą datą wychodzi, umieściło w numerach 36 i 37, r. 1848., które dopiero teraz rąk naszych doszły, następujący artykuł P. Maciejowskiego:

Poszyt drugi Przeglądu Poznańskiego z bieżącego roku, już w miesiącu Lutym, jak okładka poświadcza, wydany, w tych dniach dopiero doręczony nam został. Nie mogliśmy przeto odpowiedzieć wcześniéj, na zrobione w nim zapytanie; nie mogliśmy wcześniéj usprawiedliwić się z nowo uczynionych nam zarzutów, a usprawiedliwić równie przed Redakcyą rzeczonego pisma, jak przed światłą publicznością. Niemogliśmy uczynić nad zamiar i postanowienie nasze, a uczynić dla tego, iż Przegląd podjął się daléj toczyć spór rozpoczęty, aczkolwiek nie wytoczył go, jak przyrzekł na poważnéj naukowéj

drodze, lecz dał mu krój i barwę poufnéj, niegrzecznie prowadzonéj rozmowy. Gdy jednakże rozmowa ta wielce się różni od mianéj z nami poprzednio (do czego się sam przyznał, odwoławszy z całą, jak się wyraził, prostotą, co w niéj raziło najwięcéj), przeto postanowiliśmy i my cofnąć, cośmy w odpowiedzi poprzednio mu danéj 1) rzekli, oświadczywszy, „że dopóki się w potrzebne do sporu naukowego, który rozpoczął, nie opatrzy wiadomości, wdawać sią z nim w literackie nie możemy sprzeczki.“ Tak więc spór nasz, mimowolnie z właściwego zbity toru, na poważną naukową sprowadzamy drogę, z tém atoli zastrzeżeniem, iż jeżeli się do prośby, przy końcu rozwiązanego pytania zaniesionéj do siebie, Przegląd przychylić nie raczy, rozmawiać z nim daléj nie możemy; w przeciwnym zaś razie zawsze mu dotrzymamy kroku, kiedykolwiek i jak długo sam zechce.

W odpowiedzi Przeglądowi poprzednio danéj, powiedziałem: „że wcześniéj jak powszechnie mniemano, boską swą siłą wsparło polskości ducha chrześciaństwo, i tak dalece pierwiastek jego narodowości słowiański wzmocniło, iż dotąd o własnych stoi ona siłach, utrzymuje się i żyje: że chrześciaństwo to przyszło nam od wschodu, kiedy jeszcze kościół katolicki trwał w jedności, że było katolickie, i że takowe, a żadne insze, panowało u nas po wszystkie wieki, z tą różnicą, iż gdy niegdyś wspierało się toż chrześciaństwo na pewnych słowiańskim ludom przez papieżów przyznanych prawach (tak zwany obrządek słowiański), następnie z wielką dla polskiéj narodowości szkodą, prawa te utraciło.“ Rzecz tę oparłem na postrzyżynach i na świadectwie dyplomatu, granice arcybiskupstwa Metodyuszowego a następnie biskupstwa morawskiego i praskiego opisującym, a więc należącym do roku 885., w którym umarł Metodyusz, i do roku 976., w którym istniało morawskie biskupstwo, nakoniec do roku 982—997, w których to latach Wojciech św. praskim był biskupem, mając dyecezyą z dwóch biskupstw, praskiego i morawskiego, składającą się 2). Dyplomat ten ma poparcie w rękopisach XII. i XIII. wieku, świadczących o granicach owych dyecezyi, do których, poznańskie wyjąwszy, należały i polskie biskupstwa (szląskie snadź i krakowskie) przed utworzeniem r. 1000 archidyecezyi gnieźnieńskiéj łacińskiego obrządku, za sprawą Bolesława Chrobrego 3). Świadectwa te (jeżeli je kto obali,

1) W Przyjacielu ludu roku 1847, w Nr. 24, 25.

2) Pamiętniki moje I., 103, 137, 138 następ.

3) Wszystko, com w téj mierze w Pamiętnikach i pismach peryodycznych powiedział, zebrawszy razem, wyraziłem pokrótce w Pier-

cały mój wywód rzeczy o słowiańskim w Polsce obrządku udaremni przez to), objaśniły mi wiele innych współczesnych rzeczonemu obrządkowi w dziejach naszych napomknień o hierarchicznych i liturgicznych porządkach w Polsce tylekroć wspomnionego obrządku, i gdyby je był znał ksiądz Alzog, który toż samo co ja o słowiańskim obrządku obecnie objawił zdanie, nie byłby się pewno na insze, od tych daleko słabsze, co do Polski powołał świadectwa. I on bowiem wyrzekł, że od wschodu, czyli z Carogrodu, przyszło do Morawian za sprawą Cyryla i Metodyusza światło chrześciańskiéj wiary, a było katolickie, podlegające Rzymowi, aczkolwiek za takowe nie chciał go uważać arcybiskup salcburski (i moguncki), chcąc wraz z swoimi sufraganami posieść morawską archidyecezyą. I on rzekł, że oskarżonego przez tychże Metodyusza, iż słowiańskiéj używa liturgii, łaskawie wysłuchawszy papież, prawowiernym go katolikiem być uznał, i liturgii téjże 4) nadal używać mu dozwolił. Co się dotyczy Polski, powiedział ks. Alzog, że sam Metodyusz opowiadał jéj ewanielią świętą, i że Ziemowit, tudzież następcy jego, aż do Mieczysława I., sprzyjali chrześciaństwu: w czém się częścią pomylił, częścią niedokładnie rzecz wyłuszczył. Nie Metodyusz bowiem, lecz uczniowie jego kazywać mogli przodkom naszym słowo Boże, Ziemowit zaś i jego następcy postrzyżyny odbywając, tém samém chrześcianami byli 5), samego nawet Bolesława Chrobrego nie wyjąwszy, który się postrzygł w siódmym roku życia, jak się o tém grobowy króla tego wyraził napis, co do tego szczegółu od pana Lelewela objaśniony mylnie 6). Żal bierze, iż obrządek ten, folgując Niemcom, uchylili następnie 7) papieże, przez co ogromne dla naszéj narodowości wynikły szkody. Wprawdzie mimo upadku jego utrzymywała się ona czerstwo, wykształcała siebie logicznie i postępowo, ale cóż, kiedy się to stało z takiém wysileniem, z taką niemal za-

---

wotn. Dziejach 112 następ. W odpowiedzi na uwagi, bez któréj się nie obejdzie może, gotowane przez Przegląd na to dzieło, wytłomaczę się *o polonizmie nad brzegami Wisły, który dla starości głos utracił.*

4) Według badań pana Szaffarżyka, ma się ona dotąd w rękopisie znajdować. Porównaj w Czasopis. Czesk. Muzeum *artykuł o pismach Cyryla i Metodyusza.*

5) Czytałem w tłomaczeniu francuzkiém dzieło ks. Alzog: *Histoire universelle de l'Église. Paris* 1846, trzy tomy. Porównaj II., 116, 117, 120, 121.

6) Polska średn. wieków II., 315. następ.

7) Roku 1059, a więc w lat pięć po rozerwaniu się za sprawą Cerularego, patryarchy carogrodzkiego, roku 1054, jak wiadomo, kościoła.

gładą cywilizacyi swojskiéj, iż ta cudem tylko przetrwała jakkolwiek. Ten sam król, który w miejsce słowiańskiego łaciński zaprowadził obrządek, i jednością europejskiego monarchizmu wzmocnił rządy kraju, (zkąd odniósł rząd, ale nie narodowość polska, wielkie korzyści), który przez kościół rzymsko-katolicki połączył lechickie ludy, naraził Polskę na straty, wprawiwszy przez to w przykre położenie nie tylko lud polski, lecz i duchowieństwo. Mimo obrządku słowiańskiego byliśmy zawsze i bylibyśmy dobremi katolikami, i w tém samém, żeśmy nimi byli, miał zachód rękojmię, dobrego w nas ku sobie i swéj cywilizacyi usposobienia. Lecz cesarze niemieccy nie przestali na tém: chcieli mieć liturgią zmienioną, by nam mogli swoich nasyłać księży, chcieli by Chrobry zostawszy sprzymierzeńcem cesarstwa, zupełnie się przechylił na stronę jego polityki. Stało się zadosyć życzeniom, zkąd spadły na Polskę wielkie korzyści, a przy tém i szkody, zwłaszcza, gdy jedno zwykle bywa nieodstępnym drugiego towarzyszem. Zaraz po zawarciu umowy przez Bolesława Chrobrego z Ottonem III., którą papież zatwierdził (wpływał więc do niéj), spostrzegli się cesarze, że się daléj poszło w zamiarach niż chciano. Żałowali Niemcy, że postawili Polskę w rzędzie państw europejskich, królestwem ją od cesarstwa niezawisłém uznawszy; przeczuwał Chrobry przy skonie, iż przez zaprowadzone w politycznym stanie kraju odmiany, wojnę mu domową zgotował 8). Jednakże szczęśliwie wybrnął polski naród z tak przykréj, którą mu zgotowano doli, co boskiéj naprzód opatrzności, a następnie czerstwéj narodowości swéj zawdzięczyć winien. Wypróbowawszy siebie kolejami nieszczęść, (które był przeszedł od czasów niepamiętnych wielorako, mięszając się z różnymi ludami od wieków panującymi nad sobą, lub z którymi się dobrowolnie pomięszał,) mógł się puścić na nowe przygody, bez szkodliwych ztąd dla swéj narodowości skutków. Wszelako sztuki téj dokazać potrafił sam tylko naród, czyli szlachta: lud uległ pod ciężarem feudalnych form, które wraz z reformą państwa, przez Chrobrego rozpoczętą, upowszechniały się w Polsce, a upadł tak nisko, iż mimo najszczerszych chęci wiślickiego prawodawcy, mimo przechwałek protestantów, iż dolę ludu polepszą, podźwignięty być nie mógł, z przyczyny różnych okoliczności, które nań wpłynęły szkodliwie. Takiegoż losu, ale pod innym względem, byłoby doznało duchowieństwo, gdyby i jemu nie była w pomoc przyszła czerstwość narodowości, i

---

8) Dowody na to są w Pierwotn. Dziej. 122 nast., 220 następ. 240 następ.

(w czém jego największa zasługa leży), nie było téjże narodowości pielęgnowało troskliwie, w duchu pierwotnych apostołów działając, jako następcy Cyrylla i Metodyusza, którzy według zeznania biskupa Piaseckiego dali pierwsi (przez uczniów swych rozumie się) Polakom poznać słowo Boże 9). Wziąwszy się z całą gorliwością do nauk, usposobiało się polskie duchowieństwo do piastowania stopni w swéj hierarchii, a idąc torem Czechów, w wierze i chrześciańskiéj oświacie dalszych, za powództwem Dąbrówki, Mieczysława I. małżonki, naszych nauczycieli, piśmiennictwo pielęgnowało ojczyste godnie, dbało o Polskie szkoły i t. p. 10). Szkoda wielka, że w chwalebném przedsięwzięciu tém nie mogło wytrwać nasze duchowieństwo, co przecież za winę poczytaném mu być nie może. Wiemy bowiem z dziejów, że taż sama okoliczność, która Czechów i Polaków w końcu XIV. i w ciągu XV. wieku ku przypomnieniu sobie obrządku słowiańskiego wiodąc, jednoczyła ich, wpływem obczyzny długo nieprzyjazne sobie serca, że Jana Hussa reforma, która jak wiadomo, nie miała bynajmniéj na celu odłączenia się od papieża, stała się następnie dla polskiego duchowieństwa powodem, iż wbrew temu idąc, co samo niegdyś zdziałało, stało się obojętném dla oświaty narodowéj, w polskim rozszerzanéj języku. Skoro albowiem Huss przez sobór konstancyeński, mimo przedstawień polskich na tenże sobór wysłanników, uwięziony i następnie za heretyka uznany będąc, spalony został, mogłoż polskie duchowieństwo nie uznać dobrém, co najwyższa kościoła władza postanowiła? Mogłoż mimo najszczerszéj chęci pisywać w języku ludu, gdy właśnie szeroce rozlani po krajach polskich husyci, jego się głównie jęli, by obznajmiać Polaków z zasadami swéj sekty? Zaniechaną przez duchowieństwo polskie na czas niejaki, bo nie na długo, ojczystą mowę opanowawszy oni, wojowali z niém i tąż samą polszczyzną, którą tak wysoce cenili niegdyś kapłani nasi, przez którą dali narodowi poznać w XIII., XIV. wieku pismo święte, pisali mu w XIV. kazania po polsku, dzieła nabożnéj układali treści na początku XV. wieku, a nawet modlitwy przez celebrującego kapłana przy mszy świętéj odmawiane, na polski wytłoma-

---

9) Pamiętniki moje I., 196 następ.

10) Zapobiegając przez to, by się toż samo co na Szląsku nie działo w Polsce za sprawą cudzoziemskich księży, Bolesław Srogi, książę szląski, *inductus vesania dyabolica et suasu teutonicorum quorum regebatur consilio*, jak mówi Baszko, wyrządzał największe przykrości duchowieństwu. Tameczni niemieccy mnisi wytępiali polskich, o czém mówią: Urkunden zur Geschichte des Bisthums Breslau von G. A. Stenzel, Breslau 1845. Porównaj 152 nast.

czyli język r. 1422; pierwsi dawszy tym sposobem polot ojczystéj literaturze, jak to z czasem przy pomocy Boga, udowodnimy drukiem. Jak tylko zobojętniało duchowieństwo dla polskiéj literatury, przestawszy działać w duchu pierwotnych apostołów słowiańskich, wnet husyci naprzód, a następnie inni sekciarze opanowawszy polszczyznę, szermowali nią, dziwne przy tém plotąc bajdy o jakowymś apostolskim niegdyś u Słowian kościele, który jako upadły niby odbudowywać chcieli, by tak wznieść polską narodowość. To znowu pobudziło duchowieństwo do działania, czyli oddziaływania, co sekciarze psowali, lecz się mu nie udawało. Skamieniały bowiem serca wiernych, ostygł zapał dla katolickiego kościoła, duch przeciwieństwa opanował umysły, rozum wpadł w obłęd, a trudno było o dobrego lekarza, któryby uleczył naród z powszechnie grassującéj choroby. W tém przybyli do Polski jezuici, którzy, że twierdzili, iż mają na tę chorobę lekarstwo, odebrali polecenie wyrwać naród od zguby. Zaczęli wykonywać swą sztukę, i tak nas leczyli, żeśmy ztąd wpadli w cięższą chorobę. Poróżniwszy nas z Rusią, wywołali wojny kozackie, których wypadek wiadomy. Nie byłoby tego wszystkiego, gdyby przyznane niegdyś obrządkowi słowiańskiemu od papieżów prawa nie były utraciły swéj mocy, wtedy bowiem nie byłoby potrzeba reform żadnych, a Polska obrządkiem słowiańskim podwójnie do zachodniéj cywilizacyi, bo przez kościół i monarchizm zbliżana, mając w liturgii podstawę ojczystéj oświaty, byłaby ją w duchu rozwijała czasu, bez żadnéj ztąd dla swojéj narodowości szkody.

Chcąc dojść z dziejów, co znaczą owe polskich sekciarzy przechwałki o odbudowaniu istnieć niegdyś u Słowian mającego kościoła apostolskiego, wziąłem się do zbadania tychże dziejów, a zbadawszy je i przekonawszy się o tém, że kwestya kościoła jest właśnie owym kluczem, który utajonego w dziejach ducha narodowości polskiéj objawia światu, i postęp naszéj cywilizacyi ludowéj tłomaczy zasadnie, loicznie i postępowo, wystawiłem na jaw com zbadał. Wyniki poszukiwań tych, są mojém i tych, którzy wchodzą w ich ducha, zdaniem, nader ważne. Wykazują bowiem, że po przejściu Polaków z pogaństwa do chrześciaństwa, panowała u nich zawsze katolicka wiara, która w miarę jak na wewnątrz działać mogła swobodnie, zewnętrznemi przyczynami mącona nie będąc, loicznie i postępowo rozwijała cywilizacyą polskiego ludu, w duchu czasu i stopniowo, religijnie naprzód, a następnie świecko wykształcając się. Wszyscy albowiem wielcy pisarze polscy, albo byli z powołania kapłanami, albo świeckimi katolickiéj religii wyznawcami. Zewnę-

trzne przyczyny, wciskając się w polityczny stan kraju (niby woda w nowo zbudowany a jeszcze nie wypróbowany statek), i szkodliwie na tęż cywilizacyą wpływając, przykro uczuć dawały się temu tylko, kto nie miał dosyć siły odeprzeć ich napaść, gdyż zresztą nie były one o tyle mocne, ażeby i słabego zniszczyć zupełnie mogły; bowiem czerstwość narodowości więcéj mniéj krzepko podtrzymywała naród i lud. Jako katolik, winienem był zadać fałsz głosicielom istnienia kiedykolwiek u nas jakowegoś apostolskiego kościoła, i zwrócić uwagę publiczności na to, że jeżeli słowiański chcą oni przez to rozumieć obrządek, mylą się wielce. Obrządek bowiem ten był katolickim, i za takowy przez papieżów uznany został. Gotowi byli ciż papieże uznać wschodni kościół za prawowierny, byle się poddał pod władzę Rzymu; głównie bowiem o to po oddzieleniu się wschodniego kościoła od rzymskiego chodziło, bynajmniéj zaś o dogmata; albowiem sobor florencki nawet owo *filioque* wschodniemu pozostawił, dogmatem go być prawowiernym uznawszy, zwłaszcza, gdy kościół grecki, jak mówi ks. Alzog, główny powód oddzielenia się, spór o dyecezye i nieuznanie papieża rzymskiego swą głową porzuciwszy, poddał się pod władzę Rzymu 11). Jako Polak winieniem był zauważyć, że gdyby był u nas odbudowanym przez protestantów został mniemany ów kościół apostolski, nie byłby wzniósł, lecz i owszem do reszty osłabił naszę przez ich sekciarstwa wielce nadwerężoną narodowość; że chociaż z wielką dla polskiéj narodowości szkodą, przyznane sobie przez papieżów prawa utracił słowiański obrządek, przecież nie ich w tém, lecz okoliczności winić należy; boć to wiadomo, że niemieccy biskupi, chcąc ten obrządek zniszczyć i przez to dyecezyą powiększyć swoję, wręcz oświadczyli papieżowi, że gwałtem przywiodą słowiański obrządek pod swą władzę, chociażby i do rozlewu krwi przyjść miało 12). Winienem był wykazać, że jak zewnętrzne okoliczności wpłynąć mogły na przyjęcie owego obrządku w Polsce, tak znowu téż same okoliczności niewolić musiały Mieczysława I. i Bolesława Chrobrego, zamienić go na łaciński; co tém łatwiéj dało się uskutecznić, gdyż nie potrzebowano jak tylko liturgią odmienić,

---

11) Alzog „Histoire universelle de l'Église" II., 252 następn. 532. Porównaj zgodność i różność między wschodnim i zachodnim kościołem roku Pańskiego 1831, mianowicie od stronnicy 266 począwszy.

12) Porównaj listy przez arcybiskupów i biskupów niemieckich r. 889, 900 do papieża pisane, u Boczka codex diplomaticus et epistolaris Moraviae I., 62, 67

ażeby z słowiańskiego rzymskim zostać katolikiem 13); zwłaszcza, gdy i w obrządku tym ochrzceni i zmarli świątobliwi mężowie, jak Wacław święty 14), który przez papieża kanonizowany został, wchodzili w poczet Świętych katolickiego kościoła. Miałże Mieczysław czekać, aż gwałtem powiodą go ku swojéj dyecezyi Niemcy, Polskę, pod pozorem religii, zawojowawszy? Miałże Belesław Chrobry wypuścić z ręki okoliczność wyniesienia swéj monarchii do państw europejskich pierwszego rzędu, i uwolnienia jéj przez to od daniny? Czyż nie ten powód niezawisłości od cesarstwa przywiódł jego praprawnuk, gdy go Henryk V. najechał, i o daninę się od niego jako od swojego upominał wazala? 15). Jako człowiek, który się dziejami zajmuje, winienem był wyjaśnić prawdę, i wykazać jak się rzecz o słowiańskim obrządku miała istotnie. Nie przeczuwałem wtedy, że się mogą znaleść ludzie, którzy nicując myśli i słowa moje, ośmielą się twierdzić: „żem na źródłach pomysłów moich nie oparł, gdyż ich nie wymieniłem; żem zrobił sobie domysł, a po domyśle, że nadeszła pewność, na któréj wykazanie pozwoliłem sobie wszystkiego, nawet oskarżania i przekreślenia całéj naszéj historyi, któréj początki oznaczając fałszem i skrzywieniem, oczywiście, że jéj na zakończenie samo nieszczęście dać muszę: że zamieszanie, rozerwanie, nieopisane a jeszcze nie wyczerpnięte nieszczęścia religijne i polityczne, weszły między Słowian przez to, co nazywam błogosławieństwem bożém: że z badań moich wynika oczywiście ten wniosek, że Polska powinna zwątpić, czyli właściwie uczyniła, kiedy przyjęła religijne, polityczne, cywilizacyjne spólnictwo zachodu, i że ma obowiązek oddalić to, co jéj przyniosło ogromne szkody, katolicyzm, a przywołać to, co jéj dać miało, czyli ma dać, nieocenione korzyści, wschodnie greckie wyznanie: że chociaż nawiasowo i zdaleka, nasuwam przecież sposobność odstępstwa, i tak wprowadzam do umysłu Polski pomieszanie, niepewność, i zakłócam jéj sumienie historyczne: że tak twierdząc, widocznie okazuje, iż jeszcze wewnątrz siebie nie ustanowiłem pewności, co mam uważać za prawdziwy żywiół polskiéj historyi, nachylając się ku wschodniemu kierunkowi, gdzie widzę spoczywające błogosławieństwo boże: że Dobrowski stanowczo oświadczył, iż do Polski obrządek słowiański nigdy nie wstąpił, i że jego widoki przyjmuje ka-

13) Pierw. dziej. 118 następn.

14) Którego siostra, a pierwsza Mieczysława I. małżonka, utwierdziła w Polsce ten obrządek.

15) Pierw. dziej. 122.

tolickie duchowieństwo, które chociaż milczy, jednakowoż gotowe jest zająć się tym przedmiotem, skoro mu na to wyjednam u władzy pozwolenie: że domniemania moje są złudzeniami, są sny, które, że są takowemi, ma Przegląd Poznański prawo wykazywać, gdyż to jest ważniejszy jego nawet, aniżeli umiejętny, bo narodowy obowiązek, gdyż krytyka przez swoje powołanie obowiązana jest prostować, oświecać, wskazować fałszywy kierunek, a najpilniéj czuwać, aby nic nie psowało i nie wykrzywiało historycznéj zasady naszego istnienia." Nie przeczuwałem, mówię, gdym Pamiętniki pisał, żeby nawet sami jezuici śmieli o naukowe badania inaczéj jak naukowo staczać ze mną boje, gniewliwi i na mnie o to, że im wyrzucam, iż: (stosując tu słowa Mikołaja Reja) „wziąwszy od przodków naszych Rzeczpospolitą jako malowanie najpiękniejsze, jeno już przez starość nieco zeszłe, nie tylko, że go odnowić zaniedbali, ale i tego nie uczynili, aby się był przynajmniéj wizerunek jego a zwierzchnie linije zachowały;" a gniewliwi niesłusznie. Nie ja albowiem, lecz historya wyrzuca im krzywdy narodowi polskiemu wyrządzone: nie ja, lecz ona przeciwko nim świadcząc, nie zamilknie i wówczas, gdy ludzie o jezuitach milczeć będą. Zamiast się z prawdą rozprawić, obeszli ją, i uderzyli na tego, który ją ogłosił, a uderzyli nie wprost, lecz przez nasadzone osoby. Zaraz bowiem w kilka miesięcy po wyjściu dzieła mego na publiczny widok, odebrawszy list od ś. p. Kopitara z Wiednia pod 11. Września datowany, w którym napisał, że sam i drudzy wystąpią wkrótce przeciwko dziełu mojemu, i w którym natrącił takież same myśli, jakie poprzednio i obecnie objawił o niém Przegląd Poznański, ujrzałem co się święci, i zaraz wniósłem, że starszyzna jezuicka nie zostawi mnie w pokoju, ale podburzy na moje dzieło swoich zwolenników duchownego i świeckiego stanu. I tak się téż stało. Pisano przeciwko Pamiętnikom, ale nie odpowiedziano na nie. To albowiem, co ś. p. mąż i co obecnie bezimienny napisał o nich w Przeglądzie, uważam i uważają ci, którzy w kraju i za granicą mojego są zdania (p. Wiszniewskiego i lwowskich uczonych, p. p. Lelewela, Trentowskiego, Dethier, powołuję na świadków), za czcze deklamacye. Nie muszą być pomysły moje złudzeniami i snami, gdy się na nich wspierają ci, którzy bądź o słowiańskiéj liturgii w Polsce, bądź o innych przedmiotach, dzieje polskie wyświecających, toż samo co ja piszą, Przeglądu Poznańskiego nawet (oprócz artykułów które z pod pióra przeciwnika mego wychodzą, rozumie się,) nie wyjąwszy. Czekam więc krytyki, którą, gdy nie tylko w kraju, lecz i za granicą, imiennie, lub bezimien-

nie napisać można; nie sądzę być potrzebném wyjednywać na nią pozwolenie u władzy. Niechaj ją jak chce napisze uczony teolog, niech ją umieści gdzie chce, dojdzie mnie ona nieochybnie i zreplikowaną będzie. Niech ją nawet przyśle na ręce moje, postaram się sam o wydrukowanie jéj u nas, lub gdzieindziéj, to tylko zastrzegając sobie, iż jeżeli nic więcéj nad to, co w téj mierze dotąd powiedziano, zawierać ona nie będzie, odeszlę ją do Przeglądu Poznańskiego, by w nim stała obok artykułu, na który odpowiadam obecnie. Krytyka ta udowodnić zapewne nie zaniedba, iż Dobrowski przeczył istnieniu w Polsce słowiańskiego obrządku, na źródłach mniemanie swoje oparłszy. My albowiem tyle tylko wiemy, iż obrządku tego do Czech naprzód nie dopuszczając, 16) odwołał swe zdanie następnie, przyznawszy, iż on musiał i u nas istnieć, gdyż go ztamtąd przez Dąbrówkę mieliśmy odnowiony; że tenże Dobrowski sam dostarczył dowodu na to, iż Polska do archidyecezyi Metodyusza należała, powoławszy się na świadectwa XIII. wieku, które obecnie o kilka wieków wstecz posunąć mi się dały 17). Te świadectwa, tudzież postrzyżyn wywód, niech zbije krytyka, i wykazawszy przytém, iż wzmianki w dziejach te, które zdaniem naszém na rzeczony wskazują obrządek, bynajmniéj z nim nie zostają w związku, tém samém dopnie zamierzonego celu, przekona, że się mylę, i do milczenia mnie zmusi. Inaczéj nie poprzestanę utrzymywać, że com napisał, napisałem dobrze, a ci, którzy temu gołém przeczą słowem, są w wielkim błędzie. Przedstawiamy Przeglądowi, mówiąc jego słowy, pole do krytyki historycznéj; przedstawiamy mu kwestyą sporną jasno i mocno, kładąc ją jak dawniéj, tak i teraz na właściwym gruncie, sprowadzając do niéj wszystkie argumentacye z dziejów i rozumowań wyprowadzić się dające: niechaj je zbije, a zrzuci z siebie zarzut, że napadł na nas w skutek reklamacyi czyjéjś. Nie oskarżam ja o to Polski, że porzuciwszy słowiański obrządek, przyjęła spólnictwo zachodu, owszem wyznaję, iż dla własnego dobra przyjąć go była powinna; uważam tylko, że zyskawszy na tém wiele, również wiele utraciła, bez żadnéj ztąd dla religii korzyści. Cóż albowiem Rzym zyskał na tém, że słowiański uchylił obrządek? Katolikami miał dawniéj Polaków, katolikami miał ich następnie. Nie nasuwam téż myśli odszcze

---

16) Co nie tylko nasze Pamiętniki, lecz i pana Palackiego świeżo wydane dzieło: „Dejiny narodu Czeskego, w Praze 1848.“ (porównaj I., 136 następn.) poświadcza.

17) Pierw. dzieje 119.

pieństwa, bo i od czegóżbyśmy się dziś odszczepiać mieli i po co? Przestawszy być rzymskimi, jakimiż zostalibyśmy, lub zostać mogli katolikami? Bluźniłbym przeciwko Bogu i prawdzie, gdybym chciał utrzymywać, że przez owo błogosławieństwo boże, które nam po dwa kroć, za życia Metodyusza i po jego skonie, obrządek słowiański zachowało w całości, przyszły nam same nieszczęścia; następca bowiem świętego Piotra uznając go być prawowiernym i zasłaniając dyecezyą jego, zapewnił nam szczęście wieczne i doczesne, nie dozwoliwszy niemieckim biskupom ciągnąć nas gwałtem pod swoje prawa. Powtarzam więc, że jako katolik, jako Polak, jako człowiek, który się dziejami zajmuje, powinienem był usłużyć Bogu, ojczyznie, ludzkości, wystawując ziomkom: że wielkiéj łaski dostąpiliśmy nieba, katolikami z pogan zostawszy, że słowiański obrządek na łaciński zamieniając, nic przez to na wieczném nie utraciliśmy szczęściu, a na doczesném zyskaliśmy wiele, mimo strat nie małych dla narodowości i ludowości, które jednakże z czasem powetować się dały, gdyż łaska Boga wlawszy czerstwość w naród, broniła go od złego, gdyż lud Polski, któremu szatan najwięcéj nabroił złego, wyzwolił się szczęśliwie z feudalnych stosunków. To dwoje, narodowość i ludowość, czyli szlacheckość i gminność, uważając ja za prawdziwy żywioł polskiéj historyi, w nich się rozpatruję, rozważam je i badam; co jeżeli Przegląd uważa ze przekreślenie całéj naszéj historyi, i nieszczęściem być mieni; jeżeli twierdzi, że przez to wprowadzam do umysłu Polski pomięszanie, niepewność; jeżeli mniema, że czyniąc tak, zakłócam jéj sumienie historyczne, nie pozostaje mi, jak wezwawszy światłą publiczność na świadka, powołać go przed historyą, która jest sądnym dniem człowieka i świata.

Uczepiwszy się nas, chciałby wplątać w zatargi z kościołem wschodnim, pytając, kto i jakiém prawem, wschód, czyli zachód, dał powód do rozerwania? Niech o to historyi popyta, zajrzawszy do dzieła księdza Alzoga; niech bojuje i z kościołem greckim, jeżeli ma siły po temu (zauważyliśmy wyżéj, jakie ma o dogmatach kościoła wschodniego wyobrażenie), wydarłszy poprzednio kartę z historyi tegoż kościoła, gdy zostawał pod panowaniem Tatarów, Turków i t. p. ludów, a nam niech święty da pokój, nie sprowadzając nas z raz obranego stanowiska.

Według niego „stanowisko to nie jest polskie, i dopiero wtedy być niém zacznie, gdy w dalszych poszukiwaniach swych przyjmiemy taki kierunek, jaki Polska objawiła i jaki koniecznie zatrzymać musi, czyli, gdy nasze dzieje zaczniemy

oceniać i miłować ze stanowiska Polski i katolicyzmu. Według niego jest to stanowisko, którem wespół z P. Lelewel zajął za podrzędne, gdyż obadwa mamy wstręt przyjęcia Polski takiéj, jaka była, jaką sama siebie przedstawiła historycznie; gdyż jest w nas skłonność naprawiania jéj, nakręcania, ubolewania, wyszydzania i znieważania nawet; gdyż nie ma téj religijnéj, téj historycznéj pobożności, jaka towarzyszyć powinna każdemu wstępującemu do przeszłości, do grobu Polski, a do jakiéj, jak się jemu zdaje, P. Dominik Szulc nakłonił swoje serce.“ Chociaż zeznaje: „że sami uważamy prace nasze za poszukiwanie, jako materyał, jako pierwszy krok do napisania dziejów, nie przyznając sobie nieomylności, pewności, wykończenia,“ i „wątpi, czy mamy przymioty konieczne polskiemu Tacytowi;“ chociaż „spostrzega w nas dowód niemocy pojęcia samego siebie, polskich i powszechnych dziejów,“ i stanowczo twierdzi, żeśmy jeszcze nie zrozumieli dziejów Polski, że na ich zrozumienie nie odebraliśmy ani powołania, ani poświęcenia,“ jednakże „nie odrzuca nadziei, że je właściwiéj zrozumiemy, i że wtedy nie będzie uczuwał głębokiego ztąd żalu, że naukowe skarby, które pilnie nagromadziliśmy, nie przyniosły użytku pod najważniejszym względem co do zasadniczéj myśli, jaka zapłodniła i rozwijała polskie dzieje.“ Ale, pytamy, jestże w tém nasza wina? Nie powinienże był Przegląd z góry zapowiedzieć, jak chce, by Polskę i katolicyzm, czy w duchu prawdy historycznéj, czy w duchu sekciarstwa, uważano? Wtedy ktoby zechciał, pisałby mu historyą według danéj sobie skazówki, darząc świat dziejami, będącemi nie wynikiem badań, lecz zdań przesądnie powziętych. Na pisanie takich dziejów nie odebraliśmy ani powołania, ani poświęcenia, i nie odbierzemy go nigdy; niech mu takowe pisze kto inny, my nie możemy. My rozważając dzieje narodowe aż do czasu zjawienia się u nas jezuitów, przekonaliśmy się o tém, że ówczesną Polskość i katolicyzm duch obywatelskości i tolerancyi owiewał, że samolubstwo i sekciarstwo psując tego ducha, usiłowało go niszczyć, ale daremnie. Powody tego z całą szczerością i zupełném przeświadczeniem o prawdzie opowiedzieliśmy i opowiemy, sumiennością pobudek własnych i odwagą cywilną zasłaniając się jakoby tarczą, przeciwko wszelkim napaściom, jakieby ktoś miał o to na nas czynić, żeśmy (powtarzamy to) w duchu obywatelskości, w duchu tolerancyi pojęli Polskę, zauważając przytém, jak i przez czyją winę duch ten psuć się zaczynał od czasu przybycia do nas jezuitów. Uważać, jak się co i czemu tak stało, nie jest wyszydzać a nawet znieważać prochy przodków (brzydki to ptak, który

własne kala gniazdo), również jak taić co i jak było, nie jest pobożnym być w historyi. Jeżeli Przegląd z innego stanowiska Polskość i katolicyzm uważa, niech wystąpi na niém, i swój rozwinie system, którego dotąd w nim nie widzimy, upatrując to jedynie, iż w duchu wstecznych, fałszywych i sprzeczynych z sobą pojęć, iż przesądnie zdaje sprawę z czytywanych przez siebie dzieł, co on krytyką zowie. O wszystkich (jak się zdarzy) całego świata krajach rozprawiając w swém piśmie, Polski zaniedbuje, gdyż ani jednego artykułu nie napisał o niéj, ogólnikami, powierzchownemi zbywa ją uwagami, zamiast czerpać ze źródeł i poznawać rzecz w samym jéj gruncie. Mimo to jednak zdanie swe daje o pracach naukowych z źródeł wyczerpniętych, i jeżeli ich kto nie w jego zbadał duchu, wyrokuje wtedy o niemocy pojęcia siebie samego, polskich i powszechnych dziejów, sam ustanawiając się sędzią w swéj sprawie. Odrzucamy sąd taki, nie pochodzi bowiem od człowieka prawdy, rzemiosła i sztuki, nie ma w nim sądu, gdyż się na dowodach nie opiera. W takowe, prosimy, niech się zaopatrzy, jeżeli nas i historyczne nasze stanowisko sądzić zechce, a czczemi nie uracza nas pogadankami, gdyż na to czasu nie mamy. Inaczéj bowiem zniewoliłby nas do przemówienia tymże co poprzednio tonem. Możnaż albowiem wymagać, by delikatnie i pięknie mówiono o naukowych badaniach do tego, który nie delikatnie i nie względnie zabiera czas próżną gadaniną? Pojmujemy, do czego to zmierza, i nie damy się łudzić. Kiedy był młodym autor artykułów pisanych o nas w Przeglądzie Poznańskim, unikał tego, by ucząc się, nie uczuwał z strony naszéj niewypowiedzianych mąk, które, według jego twierdzeń, młodocianym zadawaliśmy umysłom. Teraz inaczéj myśli i chętnieby się chciał poddać tym mękom. Próżne oczekiwania! wszystko ma swój czas i godzinę, dziś nie pora po temu, dziś inne czekają nas zatrudnienia. Pochlebiamy sobie jednakże, iż mimo to mieć będzie dla nas tę, co i poprzednio, względność, że pamiętając na dawne związki, i przyjmując do swojego pisma obecnie napisany artykuł, wyrazi w spisie rzeczy, iż się on istotnie w niém mieści. Ostrożności téj przy przedruku odpowiedzi nie zachowawszy, mimowolnie naraził nas na pomówkę, żeśmy Przeglądowi odpowiedzieć nie chcieli, co nas wielce bolało, bośmy nigdy nie zostali dłużni podzięki, zwłaszcza téż dawnym przyjaciołom naszym, których bez względu na to, jakiego teraz są zdania, kochaliśmy zawsze i kochamy.

Pisałem w Warszawie, w miesiącu Październiku, 1848.

Wacław Aleksander Maciejowski.

Spór naukowy z p. Maciejowskim odnowimy w chwili sposobnéj. Teraz zrobimy tylko kilka krótkich uwag nad ogólnym charakterem jego polemiki.

P. Maciejowski dawniéj szorstko i wprost, dziś z omówieniami i z daleka zaczepia nas o jezuityzm, o jezuickie dążności, o uleganie wpływom jezuickim. Taka sama potwarz nie raz się już nieśmiało tu i owdzie w pismach polskich pojawiała.

Zarzut jezuityzmu, wedle znaczenia, jakie doń przywiązują ci, ktorzy go robią, jest tak niski, że długo sądziliśmy, iż godność osobista nie pozwala nań odpowiadać.

Jeśli dziś chcemy się z nim w krótkich wyrazach rozprawić, to dla tego, że nas uderzyła uwaga w książce *O naśladowaniu Chrystusa* zrobiona.

Pobożny a mądry pisarz chrześciański powiada tam (księga III. roźdz. 36.): „Ś. Paweł czynił dosyć, bo czynił „wszystko, co było w jego mocy, dla zbudowania i zba- „wienia drugich; lecz nie mógł temu zapobiedz, ażeby „niekiedy przez nich potępionym, lub wzgardzonym „nie był.

„A przeto wszystko poruczył Bogu, który wie wszy- „stko; a cierpliwością tylko i pokorą zastawiał się prze- „ciwko złym i kłamliwym językom, miotającym fałsze i „potwarze.

„Jednakże niekiedy odpowiadał, ażeby milczenie jego „nie stało się powodem zgorszenia ludziom ułomnym i „słabym.“

Wszelką, choćby najdalszą analogią odsuwamy, byłaby ona grzeszną i małą; wszakże zdaje nam się, że tak wielki przykład, choć z daleka powinniśmy naśladować.

Oświadczamy więc dla ludzi dobréj woli, że nie mieliśmy wcale, że nie mamy żadnych bezpośrednich ani pośrednich stosunków z jezuitami.

Zdania nasze o jezuitach wypowiedzieliśmy (Przegląd z Grudnia r. 1847). Nic nie odwołujemy w téj mierze.

Nie uważalibyśmy za złe, żeby kto miał związki z jezuitami, zakonem przez kościół katolicki przyznanym, ale

surowobyśmy potępiali człowieka, któryby mając te związki starał się je ukrywać. — We wszystkich sprawach a zwłaszcza religijnych, cenimy tylko drogi szczerości i prostoty.

Uczciwe sprawy, (nie mówimy tu o wyjątkowych politycznych położeniach, choć sami wszelkie sprzysiężenia za rzeczy nieużyteczne uważamy) wcale skrytości, zmów i knowań nie potrzebują.

My jawnie, na słonecznych szlakach zdań naszych bronimy.

Żadnych téż wpływów, żadnych dyrekcyi pismo nasze nie zna. Wydawca główny wedle swojego własnego sądu przyjmuje lub odrzuca artykuły. Ma współpracowników, których koło jest nie zamknięte, nie ma kierowników ani cenzorów.

Spodziewamy się, że ludziom uczciwym to jasne oświadczenie wystarczy.

P. Maciejowski robi nam zarzut, że nie podpisujemy artykułów. Jakkolwiek sposób angielski niekładzenia nazwisk pod artykułami bardzo nam się podobał, uznajemy, że są czasy i położenia, w których jest lepiéj śmielszą odpowiedzialność przyjąć. Czytelnicy nasi uważali pewnie, że zmieniliśmy w tym roku obyczaj naszego pisma. Jeśli zupełnéj zmiany nie wprowadziliśmy, to mieliśmy do tego ważne, z położenia kraju wynikające powody, któreby zapewne i p. Maciejowski uznał.



Omyłki w poszytach VIII. i IX. Przeglądu.

Str. 221	w tytule		zamiast	wydanie pośmiertne	zrobił czytaj	wydał.
„ 222	wiersz	23	zam.	godnie	czytaj	nie.
„ 230	„	20	„	nadużycie	czytaj	nadużycia.
„ 235	„	5	„	przenoši	„	przenosił.
„ 325	„	44	„	1823	„	1723.
„ 347	„	25	„	formę	„	normę.

Na końcu poszytu paginacya jest fałszywa: zamiast stronnic 343, 344 i 445 powinny być stronnice 349, 350 i 351. — Na stronnicy 344 (350) zam. czysto czyt. często.

